

Linda Howard

Odważni, męscy, wspaniali

Barrie, zielonooka

PROLOG

Wolf Mackenzie ostrożnie wysunął się spod kołdry, podszedł do okna i wyjrzał na świat zalany srebrnym światłem księżyca. Mary spała, wydawało się, że snem głębokim, wiedział jednak, że długo to nie potrwa. Nawet w najgłębszym śnie Mary wyczuje jego nieobecność. Zacznie się wiercić, wzdychać, szukać ręką ciała męża. A jeśli miejsce obok niej okaże się puste - obudzi się natychmiast. Usiądzie na łóżku, rozkosznie półprzytomna, sennym gestem odgarnie z czoła swoje miękkie, pachnące włosy i kiedy dojrzy go przy oknie, ani sekundy dłużej nie wytrzyma samotności. Podejdzie i złoży głowę na jego piersi.

Przelotny uśmiech złagodził twardą linię męskich ust. Och, ta Mary! Przytuli się, taka ciepłutka od snu i wiadomo, że wrócą zaraz do łóżka. Naturalnie, nie po to, żeby zasnąć. Przecież dobrze pamiętał, że Maris została poczęta takiej właśnie pięknej księżycowej nocy. Wolf wtedy też nie mógł spać, bo jego najstarszy syn, Joe, gdzieś tam za Oceanem, wyruszał na swoją pierwszą akcję. Wolf był tak samo spięty, jak kiedyś, kiedy to on ruszał do walki podczas wojny w Wietnamie.

Na szczęście, minął już czas, gdy spontaniczna namiętność mogła zaowocować nowym potomkiem. Teraz ktoś inny w klanie Mackenziech przejął pałeczkę, a Wolf i Mary byli dumnymi dziadkami. W końcu dziesięcioro udanych wnucząt to plon nie najgorszy...

Dziś wieczorem był bardzo niespokojny. Stary wilk, przywódca stada, nie może pograżyć się we śnie, jeśli nie wie, gdzie są jego młode. Nieważne, że to już ludzie dorośli, samodzielni, a niektórzy z nich mają swoje potomstwo. Dla Wolfa jego dzieci... No, to po prostu jego dzieci. Był zawsze dla nich, gdy go potrzebowały i lubił wiedzieć, gdzie stoi łóżko, w którym przyjdzie im się przespać. Nigdy jednak nie żądał informacji na tematy intymne, dyskretne, uważał, że pewnych rzeczy nawet rodzice nie powinni wiedzieć. Ale taka wiadomość, na przykład, w którym ze stanów Ameryki teraz się znajdują, zadowoliłaby go w zupełności. Niestety, często nie wiedział nawet, do jakiego kraju jego dzieciaki wysłano...

O Joego był spokojny. Wiadomo, gdzie przebywa jeden z naczelnych dowódców sił zbrojnych Stanów Zjednoczonych. Oczywiście jest w Pentagonie, za biurkiem... Znając jednak Joego, był święcie przekonany, że wolałby teraz zapiąć pasy w stalowym ptaku i polecieć wysoko! Jakież wspaniały był z niego pilot! Gdyby kazali mu lecieć na blacie od biurka, też by poderwał go z ziemi i wyciągnął z niego, co najlepsze. Choć podobno największym wyzwaniem w jego życiu było małżeństwo z Caroline. Joe twierdził, że większym niż powietrzna walka z czterema przeciwnikami jednocześnie.

Caroline... Po surowej twarzy Wolfa znów przemknął uśmiech. Synowa geniusz! IQ, czyli iloraz inteligencji, niebywale wysokie, dwa doktoraty, z fizyki i informatyki. Troszkę arogancka, troszkę zmanierowana. I niebywała. Zaraz po urodzeniu pierwszego syna zrobiła licencję pilota. Ot, po prostu. Żona pilota wojskowego musi umieć wzbic się w powietrze. Uzyskanie licencji pilota małych odrzutowców zbiegło się z narodzinami trzeciego syna. Urodziła ich w sumie pięciu, po czym oświadczyła mężowi stanowczo, że na tym poprzestaną. Ona pięć razy dała mu szansę zostania ojcem córki, a on tej szansy nie wykorzystał...

Joe błyskawicznie wspinał się po szczeblach kariery wojskowej. W którymś momencie zasugerowano mu delikatnie, czy nie lepiej by było, gdyby małżonka zrezygnowała z pracy w spółce, która bardzo intensywnie zaangażowana jest w kontrakty rządowe. Tak dla świętego spokoju, żeby nikt nie zarzucił kumoterstwa.

Dla Joego problem nie istniał.

- Panowie - oświadczył zwierzchnikom, a jego jasnoniebieskie, nieruchome spojrzenie miało siłę lasera. - Jeśli mam wybierać między żoną a karierą, to już dziś składam rezygnację.

Nie takiej odpowiedzi oczekiwano, tym niemniej na ten temat nigdy już więcej nie było żadnych uwag.

O Michaela Wolf również się nie martwił, tego najbardziej zasiedziałego spośród jego synów. Własne ranczo to miejsce, które przykuwa na zawsze. A Michael bardzo wcześnie oznajmił, że chce być ranczerem. Teraz dumny właściciel olbrzymiej połaci ziemi w pobliżu Laramie z powodzeniem hodował bydło, no i dwóch synów.

Mike tylko raz zrobił zamieszanie wokół swojej osoby, kiedy ogłosił, że żeni się z Sheą Colvin. Wolf i Mary dali im swoje błogosławieństwo, ale matka Shei, Pamela Hearst Colvin nie była zachwycona, jako że ona sama, wbrew woli ojca, spotykała się kiedyś z Joem. A teraz dziadek był wściekły, że jego ukochana wnuczka, nomen omen, chce wyjść za Mackenziego. Mike, jak to Mike, chciał po prostu mieć Sheę, reszta go nie obchodziła, ale łagodna, czuła Shea była w rozterce. Znalazła jednak dość siły, żeby stanąć okoniem, kiedy dziadek zażądał, aby odwołała ślub. W końcu całą sprawę ucięła Pam. Kiedy Hearst grzmiał, że wydziedziczy wnuczkę, jeśli wyjdzie za jednego z tych przeklętych indiańskich mieszaińców, Pam - a działo się to na środku sklepu jej ojca Hearsta - wypaliła mu prosto w twarz:

- Proszę bardzo! Ze swoim testamentem możesz robić, co chcesz! A nami nie będziesz rządził! Kiedyś już zabroniłeś mi spotykać się z Joem, choć był to jeden z najprzystojniejszych chłopaków, jakich znałam. I nie mam zamiaru dopuścić, żeby teraz przez ciebie cierpiała moja córka. Shea kocha Michaela i będzie go miała. A ty możesz dalej karmić się swoją nienawiścią. Nie zdziw się tylko, jeśli wnuczka odsunie się od ciebie, i nie będziesz miał okazji poznać swoich prawnuków!

Mike poślubił Sheę, a stary Hearst, choć nadal gderał i narzekał, swoich dwóch prawnuków po prostu uwielbiał i okropnie rozpuszczał. Druga ciąża Shei była trudna, przebiegała z wielkimi komplikacjami. Omal nie skończyła się tragicznie, i dla matki, i dla dziecka. Lekarze oświadczyli, że Shea nie powinna już więcej rodzić. Na szczęście Shea i Mike marzyli tylko o dwojce i to marzenie już się im spełniło. W rezultacie więc na ranczo, w otoczeniu koni i bydła, rosło dwóch małych zuchów, a Wolfowi do dziś zdarzało się uśmiechać i z niedowierzaniem kręcić głową. Bo kto by to pomyślał. Prawnuki Hearsta nosiły jego nazwisko! Nazwisko Mackenziech!

Z Joshem też nie ma problemu, wiadomo gdzie jest - w Seattle, razem z małżonką i trzema synami. Josh, podobnie jak Joe, urodził się po to, żeby latać. Wybrał jednak służbę w marynarce, prawdopodobnie nie chciał być posądzany o to, że odnosi sukcesy

tylko dlatego, że jego brat jest generałem i pracuje w Pentagonie. Josh, zawsze pogodny i otwarty, różnił się od swoich poważnych braci, ale nigdy nie brakowało mu żelaznej konsekwencji i determinacji w dążeniu do osiągnięcia celu. Sztywna noga była pamiątką po katastrofie, z której cudem udało mu się ująć z życiem. O dalszej karierze w wojsku nie było mowy. Josh, jak zwykle, podszedł do tego bardzo pogodnie. Żadnego rozdierania szat, cały czas miał świadomość, że wszystko jeszcze przed nim. W tamtym konkretnym momencie było jeszcze przed nim zakochanie się w Loren Page, bardzo urodziwej, wysokiej pani doktor, która zajmowała się jego pogruchotaną nogą. Josh, dotychczas raczej odporny na wdzięki niewieście, ruszył w zaloty, leżąc jeszcze na łożu boleści. Do ślubu szedł o kulach. Obecnie ta para ma już trzech synów. Josh pracuje w przemyśle lotniczym, zajmuje się konstrukcją myśliwców nowego typu, a Loren robi specjalizację w szpitalu miejskim w Seattle.

Maris też można bez trudu zlokalizować. Jest w Montanie, układa i trenuje konie tamtejszych hodowców, rozważa też najnowszą, ciekawą propozycję pracy - w Kentucky, przy folblutach. I tak jak chłopcy do samolotów, Maris urodziła się do koni. Potrafiła ułożyć najbardziej oporną bestię, miała niesamowitą rękę i Wolf, jej ojciec i nauczyciel, w skrytości ducha przyznawał, że uczeń chyba już zdołał prześcignąć mistrza. A mistrz kochał swoją jedynaczkę nad życie, od tej pierwszej chwili, kiedy w wieku dziesięciu minut spojrzała na niego sennymi oczkami. Maris zresztą, jako jedyna z jego dzieci, miała oczy ciemne, jak on. Chłopcy, choć ciemnowłosi, wzięli oczy po matce, jasnoniebieskie. Ale Maris, z kolei, mimo koloru oczu, była do matki bardzo podobna. Też drobniutka, niewysoka, miała te same połyskliwe, brązowe włosy, jasną, prawie przezroczystą cerę, no i żelazną siłę woli. O, tak.

Joe, Mike, Josh i Maris... O tę czwórkę stary wilk nie musi się martwić. Sen z powiek spędza mu zupełnie kto inny.

Chance. To chłopaczysko nieustannie gnało gdzieś w świat. Ściślej - gnał go tam wymóg chwili i nigdy nie było wiadomo, w którą stronę. Ale o Wyoming nie zapominał, wracał do domu na wzgórzu, do jedynego domu rodzinnego, jaki znał. Dziś zresztą dzwonił z

Belize z wiadomością, że wkrótce przyjedzie. Chciałby troszkę odpocząć przed następnym... wyjazdem. Wolf odszedł ze słuchawką jak najdalej, żeby Mary nie mogła dosłyszeć, i jak najciszej spytał, czy rana nie jest groźna.

- Nie jest źle — odparł lakonicznie Chance.

- Kilka szwów, tyle samo przetrąconych żeber. Dali nam trochę popalić.

Wolf o nic więcej nie pytał. Chance, as wywiadu, wykonywał dla rządu zadania natury bardzo delikatnej. O swej pracy mówił rzadko, prawie nigdy. A z ojcem mieli niepisaną umowę. Przed Mary zawsze wszystko jest O.K., żadnego niebezpieczeństwa i żadnych ran.

Odłożył słuchawkę, odwrócił się, i napotkał, niestety, przeszywające spojrzenie niebieskich oczu żony.

- Czy rana nie jest groźna! - powtórzyła Mary przeciągle, biorąc się pod boki.

Wolf wiedział, że żadne kłamstwo nie miałyby sensu. Zamiast więc kręcić, przytulił drobniutką, groźną żonę do siebie i pogłaskał po miękkich włosach. Jego miłość do żony była wręcz powalająca. Niestety, nie potrafił uchronić jej przed zmartwieniem.

- Powiedział, że nie jest źle. Reakcja była natychmiastowa.

- Chcę, żeby był tutaj.

- Wiem, kochanie. Ale wiemy też oboje, że Chance nigdy nie kłamie. I jeśli mówi, że nie jest źle, to mówi prawdę.

Przytulił ją jeszcze mocniej i westchnął. Chance to Chance. Był jak pantera, szybka, czarna, bezszelestna i nie tolerująca żadnych więzów. Przywiązali go do siebie miłością, niczym innym nie dałoby się go oswoić. Nauczył się akceptować granice, jakie wyznacza cywilizacja, ale w środku pozostał sobą. Tylko jednej osobie udawało się go zniewolić do końca. Mary. Był bezradny wobec jej przeogromnej miłości i choć w jego oczach widać było panikę, pozwalał potulnie, aby mu dogadzała, rozpieszczała, w razie potrzeby pielęgnowała, opatrywała, jednym słowem tłamsiła matczyną opieką.

Mary troszczyła się, naturalnie, o wszystkie swoje dzieci. Ale Chance był dzieckiem szczególnym. Kiedy Mary go znalazła, miał

już czternaście i pół roku. Nie pamiętał, czy ktoś kiedyś dał mu jakieś nazwisko, czy miał jakiś dom. On właściwie od zawsze był na jakimś niekończącym się „gigancie”, wymykając się skutecznie opiece społecznej, która miała wobec niego jak najlepsze zamiary.

Wszystko, co było mu potrzebne, po prostu kradł - jedzenie, ubranie, pieniądze. Dzięki nadzwyczajnej inteligencji sam nauczył się czytać z gazet i czasopism, które wyciągał z koszy i śmietników. Kiedyś zajrzał do biblioteki i wsiąkł w to. Lubił tam przesiadywać, oczywiście, czytając. Korciło go też, żeby zadekować się tam kiedyś na noc. Ale tylko na jedną, bo nie wyobrażał sobie, że w jednym miejscu mógłby spędzić więcej niż jedną noc.

I może by jakoś dotrwał tak do wieku dorosłego, gdyby nie wyjątkowo podstępna grypa. Powaliła go z nóg na poboczu tej właśnie drogi, którą Mary Mackenzie wracała z pracy do domu. Był wyższy od Mary o dobre dwadzieścia centymetrów, zdołała go jednak jakoś wtłoczyć do swojego vana i zawieźć do najbliższego lekarza. Doktor Nowacki stwierdził, że grypa przeszła w obustronne zapalenie płuc i Chance'a zabrano do szpitala, oddalonego o dobre sto kilometrów.

Mary pojechała do domu, opowiedziała wszystko Wolfowi i kazała się natychmiast zawieźć do tego szpitala. Chance leżał na oddziale intensywnej terapii. Pielęgniarki nie chciały wpuścić Wolfa i Mary, nie byli przecież rodziną. Szpital zawiadomił opiekę społeczną i podobno odpowiednia osoba była już w drodze. Pielęgniarki były bardzo uprzejme, ale nieugięte, no, ale Mary była jeszcze bardziej nieugięta. I nawet buldożerem nie dałoby się jej usunąć ze szpitala. W końcu państwa Mackenziech wpuszczono do chorego. Jedno spojrzenie na nieprzytomnego chłopca wystarczyło, aby Wolf pojął, co jego żonę tak w tym chłopcu ujęło. Otóż musiał on mieć w sobie indiańską krew. Był tak podobny do ich własnych synów, że Mary nie mogła o nim zapomnieć. Bo to byłoby tak, jakby zapomniała o własnym dziecku.

Doświadczone oko Wolfa natychmiast dokonało oceny. To nie jest pół-Indianin, chłopak ma w sobie tylko domieszkę indiańskiej krwi, może jedną czwartą, nie więcej. Ale na pewno ma, to nie ulega

żadnej wątpliwości. Dłonie ciemne, a paznokcie wydają się prawie białe. A paznokcie białego Amerykanina, nawet opalonego na brąz, zawsze będą miały odcień różowy. Poza tym włosy. Bardzo ciemne, prawie czarne, wyjątkowo grube, gęste i proste. Kości policzkowe osadzone bardzo wysoko, nos wydatny, z lekkim garbkiem, usta duże, bardzo wyraziste.

Ladniejszego chłopaka Wolf w swoim życiu nie widział.

Mary podeszła do chłopca, który leżał, taki duży i bezbronny, na białym prześcieradle. Położyła dłoń na jego czole i pogłaskała po głowie.

- Wydobrzejesz, chłopcze - powiedziała cicho. - Ja się tym zajmę.

Powieki chłopca drgnęły, uniosły się i Wolf po raz pierwszy zobaczył jego oczy. Jasnobrażowe, prawie złociste, otoczone ciemniejszą obwódką. Chłopak przez sekundę wpatrywał się w Mary, potem spojrzął na Wolfa i w jego oczach pojawił się strach.

Wolf podszedł do łóżka, stanął z drugiej strony, naprzeciwko Mary.

— Nie bój się, chłopcze — powiedział głosem jak najłagodniejszym. - Jesteś w szpitalu. Jesteś chory, masz zapalenie płuc.

A potem, odgadując, co jest przyczyną lęku, dodał:

- Nie pozwolimy, żeby oni cię zabrali.

Chłopiec jakby się odprężył. Jeszcze przez chwilę wpatrywał się w ciemną, surową twarz Wolfa, potem powieki mu opadły i zasnął.

Stan chłopca poprawiał się z dnia na dzień, a Mary podjęła już decyzję. Żadne instytucje, nawet najlepsze, nawet na jeden, dwa dni-wykluczone. Chłopiec musi się znaleźć w normalnym domu. Pociągnęła za odpowiednie sznurki, przed kilkoma osobami wygłosiła płomienne przemówienia, i nawet, co nie było w jej zwyczaju, poprosiła Joego, aby wykorzystał swoje znajomości. Jej wytrwałość okazała się skuteczna.

Prosto ze szpitala mogli zabrać go do swojego domu na wzgórze. I nie trzeba było nadzwyczajnej wyobraźni, aby uzmysłwić sobie, że ten chłopiec nikomu nie będzie wdzięczny, nikomu też nie okaże ani życzliwości, ani odrobiny zaufania.

Nie rozmawiał z nikiem. Na pytania odpowiadał, owszem, ale najchętniej jednym tylko słowem. Przyzwyczajał się do nich bardzo

powoli i opornie. Przecież dotychczas zawsze był sam, a teraz nagle wstawiony został w sam środek licznej, wesolej i bardzo żywej ze sobą rodziny. Po raz pierwszy w życiu miał dach nad głową, i to co noc. Miał pokój tylko dla siebie i pełny brzuch. W szafie wisały ubrania na zmianę, kupione dla niego, a na nogach miał nowe buty.

Był jeszcze zbyt słaby, aby uczestniczyć w codziennych domowych zajęciach, ale Mary od razu zaczęła go edukować. Chance nie stawiał oporu, ciągnął do książek jak głodny szczeniak do suki. Ale tylko do książek, bo od ludzi trzymał się z daleka, co najmniej na długość ramienia. Ale jego bystre, przenikliwe oczy notowały każdy szczegół wzajemnych stosunków w rodzinie. I w końcu kiedyś, kiedy poczuł się dostatecznie bezpiecznie, wyznał nagle, że on ma jakieś tam imię. Ludzie zawsze wołali na niego „Sooner”*. Jak na jakiegoś kundla.

- Wcale nie, chłopcze. I to jest jakiś trop - zaprotestował Wolf. - Dobrze wiesz, że masz w sobie krew indiańską. „Soonerami” nazywa się ludzi z Oklahomy, a więc ty masz w sobie krew Indian z plemienia Czerokozów.

Chłopiec milczał, ale jego twarz pojaśniała.

Stosunki Chance'a z poszczególnymi członkami rodziny układały się rozmaicie. Mary, nie zrażając się niczym, od pierwszej chwili matkowała mu w sposób jak najbardziej naturalny. Chłopiec był speszony, ale nie okazywał niezadowolenia. Po prostu w jej rękach miękł.

Wobec Wolfa zachowywał jak największą ostrożność, jakby zakładał, że ten wielki mężczyzna w każdej chwili może rzucić się na niego z pięściami. Wolf oswajał go tak, jak to się robi z dzikimi końmi.

Dał mu czas, żeby się do wszystkiego przyzwyczaił i poczuł bezpieczny, potem zaoferował mu szacunek i męską przyjaźń. A na końcu, jak najostrożniej - ojcowską miłość.

Michael uczył się wtedy w college'u. Kiedy przyjechał do domu, od razu wyznaczył chłopcu miejsce w kręgu rodzinnym. Sooner od samego początku w towarzystwie Mike'a czuł się odprężony, wyczuwając jego spokojną akceptację.

* *Sooner (ang.) - wcześniej, prędzej - tak nazywano osadników, którzy zajmowali ziemię przed urzędowym nadaniem. Soonera-mi nazywa się do dziś mieszkańców Oklahomy.*

Tak samo nie było problemu z Joshem, pogodnym i serdecznym, na którego po prostu nie można się było bocyć. Josh sam obarczył siebie zadaniem wprowadzenia Soonera w tajniki pracy na ranczo, i to on nauczył go jeździć konno, choć był najsłabszym jeźdźcem w rodzinie. Nie znaczy to, że był jeźdźcem złym. Po prostu inni byli od niego lepsi, zwłaszcza Maris. Josh nie przejmował się tym, on i tak swoje serce, podobnie jak Joe, oddał samolotom. A ponieważ się nie przejmował, więc może dlatego stać go było na więcej cierpliwości niż kogoś innego.

Maris, drobnutka dwunastolatka, od pierwszej chwili zajęła stanowisko, że Sooner należy do niej tak samo jak jej bracia. Niezrażona jego małomównością, zagadywała nieustannie, przekomarzała się z nim, robiła różne psikusy, od których młodsze siostry nie potrafią się powstrzymać. Sooner obserwował Maris bardzo podejrzliwie, ponieważ mała kobietka zachowywała się zupełnie inaczej niż ta druga, nieco większa i starsza, zadręczająca go nieustanną troską. Ale to Maris swoimi głupimi żarcikami wywołała na twarzy Soonera jego pierwszy uśmiech i nauczyła go, jak rozmawiają ze sobą członkowie jednej rodziny. Do dziś zresztą Maris zajmowała w sercu Chance'a miejsce szczególne. Tylko ona jedna mogła troszkę się z niego pośmiać, mogła go nawet wkurzyć, jednym słowem pozwalał jej na więcej niż pozostałym członkom rodziny.

Naprawdę skomplikowane stosunki wytworzyły się między Soonerelem i Zane'em. Obaj chłopcy byli w jakiś sposób bardzo do siebie podobni. Zane też był czujny, opanowany i też miał w sobie ducha wojownika. Bardzo wysoki i silny, poruszał się jak kot, bezszelestnie i z nieprawdopodobną zręcznością. Wolf wszystkie swoje dzieci uczył samoobrony. Zane zabrał się do tego z taką łatwością, jakby nakładał stare, wychodzone buty, jakby samoobrona została wymyślona specjalnie dla niego. A kiedy zaczęła się nauka strzelania, okazało się, że ma oko snajpera i nadludzką cierpliwość.

Instynkt wojownika podpowiadał Zane'owi jedno: bronić. Od pierwszej chwili, kiedy intruz wtargnął do domu, na święte terytorium rodziny, Zane był w stanie najwyższej gotowości. Nie

dokuczał Soonerowi, nie wyśmiewał go ani nie był wobec niego nieuprzejmy. To nie byłoby w stylu Zane'a. Nie odrzucił go, ale też i nie powitał z radością. Zachowywał dystans, a Sooner przyjął taką samą taktykę. Ignorowali siebie nawzajem...

Kiedy dzieci same wypracowywały swoje relacje z Soonerem, Wolf i Mary energicznie pchali do przodu sprawę adopcji. Naturalnie, spytali chłopca, czy on tego chce. Sooner, jak to Sooner, wzruszył ramionami i odparł krótko bezbarwnym głosem: - Jasne.

A ponieważ powiedział to nie kto inny, tylko Sooner, Mary nie miała wątpliwości. Było to namiętne błaganie i Mary podwoiła wysiłki.

Tego samego dnia, kiedy Sooner oficjalnie zgodził się na swoją adopcję, on i Zane załatwili sprawę między sobą.

Wolf zauważył kłęby kurzu, wzbijające się za ogrodzeniem padoku. Ale na ogrodzeniu siedziała sobie spokojnie Maris, nie było więc powodu do niepokoju. Na pewno któremuś z koni zachciało się uwalić w piach. Wolf zabrał się znów za swoją robotę, po paru minutach jednak do jego uszu dobiegły dziwne głuchoe odgłosy, przypominające odgłosy uderzeń.

- Co się dzieje, Maris? - spytał, szybkim krokiem podchodząc do córki.

- Oni chcą to z siebie wybić - powiedziała, nie odwracając nawet głowy.

Wkrótce dołączył Josh i wszyscy obserwowali walkę. Obaj chłopcy byli wysocy, umięśnieni, bardzo silni jak na swój wiek. A zasady walki były osobliwe. Chłopcy stali przed sobą i kolejno dawali sobie w twarz. Pięściami. Kiedy któryś z nich został znokautowany, natychmiast podnosił się z ziemi i na chwiejących się nogach znów stawał przed przeciwnikiem..

Maris zsunęła się z ogrodzenia i stanęła obok Wolfa, biorąc go za rękę. Czuł, jak za każdym ciosem mała ręka drży, ale twarz dwunastolatki była skupiona i poważna, jak pani nauczycielki. Maris Elisabeth Mackenzie miała wszystko pod kontrolą. Dała im pięć minut.

- Hej, hej! - zawołała dźwięcznym głosikiem.

- Kończymy, chłopcy! Za dziesięć minut kolacja wjeżdża na stół!

Odwróciła się i wolnym krokiem ruszyła do domu, w pełni przekonana, że walkę na padoku wstrzymała. Po prostu już koniec. Chłopcy poprzytkali się, jak to w rodzinie, a teraz trzeba iść na kolację.

Walka jednak nie dobiegła jeszcze końca. Obaj chłopcy odprowadzili wzrokiem oddalającą się niewielką postać, potem Zane odwrócił się do Soonera, i łypnąwszy zapuchniętym okiem, warknął:

- Jeszcze raz! - I rąbnął Soonera w twarz.

Sooner upadł. Pozbierał się z ziemi i odplącił pięknym za nadobne. Teraz Zane wylądował na ziemi. Wstał, otrzepał się z kurzu i wyciągnął rękę. Uścisnęli sobie obolałe dłonie i obaj wolnym krokiem podążyli na kolację.

Przy kolacji Mary przekazała Soonerowi wiadomość, że w sprawie adopcji uzyskali zielone światło. Nie odpowiedział nic, ale jasnobrązowe oczy w zmaltretowanej twarzy rozblęły.

- A więc jesteś już prawdziwym Mackenzie - oświadczyła Maris z wielką satysfakcją. - Teraz powinieneś wybrać sobie jakieś prawdziwe imię.

Nie przyszło jej do głowy, że wybór imienia wymaga nieco czasu do namysłu. Ale co powiedziała, to powiedziała. Wzrok Soonera przemknął po twarzach członków rodziny, którą zesłał mu dobry los, i na opuchniętych ustach pojawił się krzywy uśmiech.

- Chance.*

W ten sposób bezimienny chłopiec został Chance'em Mackenzie.

Walka na padoku nauczyła Zane'a i Chance'a wzajemnego szacunku. Przyjaźń rodziła się powoli, ale bardzo skutecznie. Z biegiem lat stali się sobie nadzwyczaj bliscy, prawie jak bracia bliźniacy. Stoczyli ze sobą jeszcze niejedną walkę, ale w Ruth, w stanie Wyoming, powszechnie było wiadomo, że jeśli ktoś zamierza zdrzeć z którymś z chłopców, musi liczyć się z tym, że będzie miał i z drugim do czynienia. We dwóch byli w stanie znokautować każdego.

Obaj wstąpili do marynarki wojennej. Zane wylądował w jednostce specjalnej SEAL, Chance w wywiadzie. Chance odszedł z marynarki, ale dalej zajmował się wywiadem, działając już w innej strukturze, a Zane dowodził teraz SEAL-em.

* *Chance (ang.) - szansa, okazja, sposobność.*

Zane...

Nagle Wolf pojął, dlaczego jest taki niespokojny. Znow nie wiedział, gdzie jest Zane, a jednocześnie doskonale wiedział, co to jest SEAL. Widział ich w akcji, kiedy był w Wietnamie. Zespół nieprawdopodobnie zgranych ludzi, ludzi najlepszych, najsilniejszych, najlepiej wyszkolonych. Ale ci ludzie nie byli nieśmiertelni.

Szkolenie w SEAL-u potwierdziło i rozwinęło wrodzone cechy Zane'a. Zrobiło z niego perfekcyjną maszynę bojową, w większym jednak stopniu korzystającą z mózgu niż z siły mięśni. Stał się jeszcze silniejszy, jeszcze bardziej niebezpieczny, ale nauczono go też, jak siebie kontrolować i działać rozważnie. W rezultacie większość ludzi, z którymi się stykał, nie miała pojęcia, że ten oto poważny, opanowany mężczyzna potrafi zabić gołymi rękami na dwadzieścia różnych sposobów.

Ze wszystkich dzieci Wolfa to właśnie Zane najlepiej potrafił obronić samego siebie. Jednocześnie to jednak on narażał się na największe niebezpieczeństwo.

Od strony łóżka dobiegł go cichutki szept i szelest prześcieradeł. Odwrócił się. Mary wysuwała się z pościeli. Podeszła do męża, objęła jego twarde, krzepki tors i złożyła głowę na jego piersi.

- Zane?- Myślisz o nim, prawda- - spytała cicho.

- Tak... o nim.

- Sądzę, że wszystko z nim w porządku. Gdyby coś się działo, czułabym to, jak każda matka.

Wolf uniósł jej twarz, pocałował, najpierw delikatnie, potem z coraz większą żarliwością. Objął ją mocniej, czuł, jak zadrzała. Od pierwszego spotkania łączyła ich wielka namiętność, a upływ czasu niczego tu nie zmienił. Wziął ją na ręce, zaniósł z powrotem do łóżka i z ulgą wtulił się w jej ciepłe, miękkie ciało. Kochali się, tak samo namiętnie jak zawsze. Czas naprawdę niczego nie zmienił.

Ale kiedy Mary zasnęła, Wolf znow długo spoglądał w okno.

Gdzie jest Zane?

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Zane Mackenzie był bardzo niezadowolony.

Zresztą nikt na pokładzie lotniskowca Montgomery nie był zadowolony, no, może tylko kucharze. Choć oni pewnie też nie, ponieważ mężczyźni, których obsługiwali, byli bardzo posepni. Wszyscy byli posepni - marynarze, radarowcy, kanonierzy, dowódca dywizjonu, piloci i tak dalej, i tak dalej. Ale niczyje niezadowolenie nie dorównywało temu, co czuł komandor, porucznik Zane Mackenzie.

Kapitan Udaka przewyższał go rangą, Mackenzie zwracał się do niego z pełnym szacunkiem, ale kapitan wiedział, że jego kariera wisi na włosku. Sąd wojskowy może mu i nie groził, ale też i nie będzie żadnych awansów, od tej pory otrzymywać będzie rozkazy, delikatnie mówiąc, niepopularne. Czyli będą go dręczyć, póki nie przejdzie na emeryturę albo sam wcześniej nie zrezygnuje.

Ludzie z SEAL-u generalnie działali kapitanowi na nerwy. Nie ufali ani im samym, ani ich metodom operacyjnym, zdecydowanie nie mieszczącym się w ramach żadnego regulaminu. A ten konkretnie facet z SEAL-u, ich dowódca, wzbudzał w kapitanie tylko jedno pragnienie: po prostu wolałby go w ogóle nie oglądać.

Widzieli się już wcześniej, na odprawie przed ćwiczeniami. Ćwiczenia miały na celu sprawdzenie, czy okręt jest dostatecznie zabezpieczony przed niespodziewanym atakiem terrorystów, których dzisiaj nie brakuje. Ludzie z SEAL-u, a dokładniej grupa antyterrorystów, miała przedostać się chyłkiem na pokład lotniskowca i przejąć nad nim kontrolę. Dzięki temu będzie można wyłapać ewentualnie jakieś słabe punkty i braki w zabezpieczeniu lotniskowca. Takie ćwiczenia przeprowadzano już nieraz, niestety, zawsze coś tam wykryto, bo ludzi z SEAL-u nie udawało się wyprowadzić w pole, choć kapitanów okrętów o takich ćwiczeniach zwykle sprzedano z góry.

Na odprawie Mackenzie był spokojny i uprzejmy. Większość ludzi z SEAL-u ma w sobie coś dzikiego, a Mackenzie był inny. Biel munduru, opanowanie i kurtuazja budziły zaufanie. Kapitan Udaka czuł się bardzo swobodnie i był pewien, że komandor porucznik

Mackenzie jest raczej biurokratą i nie ma nic wspólnego z tymi dzikusami w czarnych kominiarkach.

Niestety, bardzo się mylił.

Opanowanie i kurtuazja pozostały, biały mundur wyglądał tak samo nienagannie. Ale w głębokim głosie słychać było furie, tak samo można było ją dojrzeć w zimnych, szaroniebieskich oczach błyszczących teraz jak światło księżyca na ostrzu noża. Czyli, niestety, nie był to żaden gryziپیórek, lecz mężczyzna, wokół którego należało chodzić na palcach. I kapitan czuł się tak, jakby to lodowate spojrzenie obdzierało go żywcem ze skóry. Jeden paseczek za drugim.

- Panie kapitanie! - zagrział komandor porucznik Mackenzie, wkraczając do kajuty kapitańskiej.

- Pan był na odprawie przed ćwiczeniami i wszyscy na okręcie zostali powiadomieni, że moi ludzie nie będą mieli przy sobie żadnej broni. A więc, dlaczego, do cholery, dwóch moich ludzi zostało postrzelonych!?

Kapitanowi kołnierzyk wydał się nagle za ciasny, choć przecież pierwszy guzik i tak był rozpięty.

- Tak. To niewybaczalne - odparł, starając się, aby jego głos zabrzmiał surowo. - Podejrzewam, że wartownicy strzelili bez zastanowienia. Albo jakiś macho chciał wam udowodnić, że nikomu nie udasie wedrzeć na pokład. W każdym razie nie ma dla nich żadnego usprawiedliwienia. - Zrobili to ludzie, którzy są pod jego rozkazami, i on już dobił się im do skóry. Fakt, że jakaś tam kara już ponieśli. Bo ludzie z SEAL-u, choć nieuzbrojeni i w zmniejszonym składzie, i tak opanowali pokład, a po drodze zdążyli stłuc niesubordynowanych wartowników bardziej niż porządnie. Teraz wartownicy leżeli w lazarecie, tak samo jak i tych dwóch, których postrzelili.

Najpoważniej zraniony został porucznik Higgins. Dostał kulę w pierś i kiedy jego stan się ustabilizuje, zostanie przetransportowany do szpitala w Niemczech. Drugi ranny oficer, o nazwisku Odessa, dostał w udo, też miał być przewieziony do szpitala. Stan jego był stabilny, ale nastrój bynajmniej. Lekarz pokładowy zmuszony był zaaplikować mu silny środek uspokajający, jako że Odessa swoją

wściekłość zamierzał wyładować na sponiewieranych wartownikach, którzy zresztą jeszcze nie odzyskali przytomności.

Pięciu pozostałych antyterrorystów ulokowano w pokoju, który potocznie nazywano pokojem Planowania Misji. Miotali się tam, jak ranne tygrysy, czyhające na kogoś, kogo uda im się rozszarpać na strzępy. Niestety, porucznik Mackenzie wydał rozkaz, że tego pomieszczenia nie wolno im opuszczać. Załoga okrętu obchodziła wiadome drzwi szerokim łukiem, a kapitan Udaka bardzo chętnie zrobiłby to samo w stosunku do Mackenziego.

Nagle Udaka usłyszał cichy dzwonek telefonu i z ulgą, oznaczało to bowiem choć sekundową przerwę w zmaganiach z Mackenzie, warknął do słuchawki:

- Mówiłem, żeby nie przeszkadzać! - Potem jednak słuchał uważnie, nie spuszczać oczu z Mackenziego. - Dobrze, zaraz tam będziemy - rzucił pospiesznie, zrywając się z krzesła. - Panie komandorze, jest do pana jakaś bardzo pilna wiadomość. Przez satelitę. Pan pozwoli ze mną...

Zane wysłuchał wiadomości z wielką uwagą, a jego umysł już zaczął pracować nad planem logistycznym.

On też przekazał informację.

- Sir! Dwóch moich ludzi odpadło, Higgins i Odessa. Zostali ranni podczas ćwiczeń.

- A niech to szlag - mruknął admirał Lindley i spojrzał na mężczyzn, którzy razem z nim siedzieli w biurze Ambasady Stanów Zjednoczonych w Atenach. W sumie trzech. Ambasador Lovejoy, wysoki, dystyngowany mężczyzna, zwykle pewny siebie, jak każdy, kto większość swego życia spędził w luksusie. Teraz jednak brązowe oczy ambasadora pełne były największego niepokoju. Obok siedział szef miejscowej agendy CIA, Art Sandefer, mężczyzna wyglądający raczej nijak, po prostu - krótko ostrzyżone włosy i zmęczone, ale bardzo inteligentne oczy. I, na koniec, Mack Prewett, w hierarchii miejscowego CIA drugi po Sandeferze. W niektórych kręgach Prewett miał przydomek Mackie Majcher, ale generalnie cieszył się opinią człowieka, który wszystko doprowadza do końca, a poza tym lepiej nie wchodzić mu w drogę. Był stanowczy, zdecydowany, co wcale jednak nie oznaczało, że nie

lubił „pokowboić sobie”, jak mówił, a więc czasami zbyt pochopnie narażał życie swoich ludzi.

Admirał już na początku rozmowy z porucznikiem Mackenzieм włączył głośnik, dzięki czemu wszyscy mężczyźni usłyszeli niepomysłną wiadomość o stanie grupy.

- Trzeba będzie znaleźć kogoś innego - powiedział Art.

- Ale my nie mamy ani chwili do stracenia! - krzyknął ambasador. W jego głosie słychać było rozpacz. - Boże wielki! Może ona już...

- Sir! - rozległ się dźwięczny, zdecydowany głos Zane'a. - W takim razie ja dołączę do grupy. Za godzinę będziemy gotowi do wymarszu.

- Pan? - spytał admirał, nie kryjąc zdumienia.

- Przecież pan nie bierze już udziału w akcjach w terenie, od chwili...

- Od chwili mojego awansu - dokończył Zane oschle. Ten awans wychodził mu już uszami. Nienawidził papierkowej roboty i poważnie się zastanawiał, czy nie rzucić tego wszystkiego w diabły i nie przyłączyć się do Chance'a, który prawie bez przerwy był w akcji, i to właśnie w terenie.

- Trenuję z moimi ludźmi na bieżąco. Wydaje mi się, że nie zarzewiałem.

- Nie wątpię - przytaknął admirał. - A czy sześciu ludzi poradzi sobie z tą misją?

- Sir! Gdybym nie był pewien, że damy radę, nie ryzykowałbym życia moich ludzi.

Admirał spojrział na Arta Sandefera, potem na Macka Prewetta. Twarz Arta nie mówiła nic, ale Mack lekko skinął głową. Admirał Lindley błyskawicznie rozważył wszystkie „za” i „przeciw”. Z grupy SEAL-u odpadło dwóch ludzi, ale może dołączyć ich dowódca. Ten oficer co najmniej od roku nie brał udziału w żadnej akcji. Na szczęście, tym oficerem był Zane Mackenzie, którego admirał znał od kilku lat. I wiedział doskonale, że lepszego człowieka do tej misji trudno byłoby znaleźć.

- Dobrze, a więc bierzcie się za to!

Kiedy admirał odkładał słuchawkę, ambasador wybuchnął:

- Jakże to tak? To nie można znaleźć nikogo innego?- Przecież tu chodzi o życie mojej córki! Jeśli ten człowiek od dawna nie bierze udziału w akcjach, na pewno nie jest w formie!

- A czy zdaje pan sobie sprawę, że poszukanie innych ludzi zajmie trochę czasu? A szanse na odnalezienie pańskiej córki maleją z minuty na minutę - odparł admirał Lindley, starając się mówić jak najbardziej uprzejmie. Ambasador Lovejoy nie należał do jego ulubieńców. Ot, taki snobistyczny pyszałek. Ale jedno nie ulegało wątpliwości. Ambasador bardzo kochał swoją córkę. - A poza tym, panie ambasadorze, do tej roboty nie znajdzie pan lepszego człowieka niż Zane Mackenzie.

- Pan admirał ma rację - wtrącił się Mack Prewett. - Mackenzie jest najlepszy. Jeśli chce pan odzyskać córkę, niech pan nie protestuje.

Ambasador nerwowo przygładził włosy, gest prawie nie do pomyślenia u kogoś, kto zważa prawie na każdy swój ruch. Ale to świadczyło o jego niezwykłym wzburzeniu.

- Ale jeśli coś się nie uda... - zaczął ochryplym głosem i urwał. Nie wiadomo, czy był to okrzyk rozpacz czy groźba.

Mack Prewett pozwolił sobie na nikły uśmiech.

- Czasami rzeczywiście coś może się nie udać. I jeśli ktokolwiek potrafi temu zaradzić, to tylko Zane Mackenzie.

Zane przemierzał sieć korytarzy, kierując się do wiadomego pomieszczenia, głupio nazywanego pokojem Planowania Misji. Szedł szybko, czując już w sobie ten rozkoszny skok adrenaliny. Energicznie otworzył drzwi do sporej kajuty, zawieszanej mapami, wykresami i zastawionej sprzętem elektronicznym. Przy okrągłym stole, stojącym na środku, siedział tylko jeden mężczyzna. Santos, lekarz, chyba najspokojniejszy z całej grupy. Podporucznik Peter Greenberg, zwany Rockym, zastępca dowódcy, zwykle opanowany i zorientowany na szczegóły, stał oparty o ścianę. Ręce skrzyżowane na piersiach, a w oczach śmierć. Antonio Withrock, pseudonim Bunny, przemierzał pokój wzdłuż i wszerz miękkim krokiem skradającego się głodnego drapieżnika. Jego smagła twarz była

ściągnięta z tłumionej wściekłości. Paul Drexler, snajper, siedział na stole. Długie nogi zwisały z blatu, ręce pieszczotliwie przecierały miękką szmatką części ukochanego remingtona kaliber 7.62. Ale Zane'owi na ten widok nawet nie drgnęła powieka. Jego ludzie podczas ćwiczeń mieli być nieuzbrojeni. A Drexler... No cóż, przecież nie użył broni, a rozłączać go z jego ukochaną zabawką...?- Nie, to po prostu nie mieściło się w głowie.

- Zamierzacie zająć okręt? - spytał Zane, starając się, aby jego głos brzmiał łagodnie.

Drexler uniósł głowę i przez sekundę wpatrywał się w niego swymi zimnymi, niebieskimi oczami.

- Kto wie... - mruknął.

Winstead John, czyli „Spooky”*, siedział na podłodze, oparty plecami o ścianę. Na widok Zane'a poderwał się, bezszelestnie i zwinnie jak kot. W ciemnych oczach widać było błysk ciekawości, ale ust, jak zwykle, nie otworzył. Spooky odzywał się bardzo rzadko i koledzy nauczyli się po prostu odczytywać z jego twarzy targające nim emocje.

Minęły może trzy sekundy. Cała piątka mężczyzn z wielkim napięciem wpatrywała się w swego dowódcę.

- Co z Bobcatem, szefie? - spytał w końcu Greenberg.

I Zane pojął. Jego ludzie byli przekonani, że Higgins nie żyje.

- Jego stan już jest stabilny – poinformował szybko. Znał swoich ludzi na wylot, wiedział, jak są ze sobą związani. Zresztą tak powinno być, tu wszyscy powinni mieć do siebie bezwzględne zaufanie. - Zabierają go do szpitala. Dość z nim cienko, ale stawiam na niego. Z Odim też będzie okej. A teraz posłuchajcie, chłopaki...

Przysiadł na brzegu stołu i spojrzał na nich błyszczącymi oczami, które, gdy tylko wszedł, zwróciły uwagę Spooky'ego.

- Parę godzin temu porwali córkę ambasadora. Jedziemy po nią do Libii.

Sześć ubranych na czarno postaci przemykało wyludnioną uliczką niedaleko nabrzeża w Ben Ghazi, największym porcie libijskim.

* *Spook (ang.) - duch, zjawia.*

Szli w rozsypce, ukradkiem dając sobie znaki ręką albo szepcząc cicho do mikrofonów, ukrytych pod wełnianymi czapkami. Ich celem był duży czteropiętrowy budynek licowany kamieniem, gdzie na czwartym piętrze przetrzymywano Barrie Lovejoy. O ile, naturalnie, wywiad zrobił dobrą robotę.

Zane czuł skok adrenaliny. W jego przypadku, jak zwykle, przekładało się to na nadzwyczajne opanowanie i maksymalną koncentrację. Czuł się świetnie. Do diabła, jak mu tego brakowało! Już był gotów odejść z marynarki, a tu proszę - jaka niespodzianka. Jest znów w terenie, zmysły wyostrome, spokój żelazny, promieniujący od środka. Tak zawsze było. Im bardziej ryzykowna akcja, tym większy spokój. I wszystko rozgrywa się jak w zwolnionym tempie. Widzi każdy szczegół, słyszy najcichszy dźwięk. Zbiera to wszystko, analizuje, przewiduje skutki i podejmuje błyskawiczną decyzję. A wszystko to dzieje się w ułamku sekundy. Potem przystępuje do działania. Adrenalina strzela, ale umysł pozostaje jakby osobno. Mówili mu, że jego twarz jest wtedy przerażająco nieruchoma, wygląda jak maska.

Grupa sunęła do przodu. Każdy wiedział, co ma robić i co mają robić inni. Morderczy trening, trwający dwadzieścia sześć tygodni, wytworzył między nimi nadzwyczajną więź, dzięki której wspólnie osiągali więcej, niż się po nich spodziewano. W SEAL-u praca zespołowa nie była pustym słowem. Oni stawiali właśnie na to.

W Libii znaleźli się przypadkiem. Nie było takiego planu jeszcze kilkanaście godzin temu. No cóż, trzeba mieć nadzieję, że dla panny Lovejoy będzie to szczęśliwy traf, a dla porywaczy nadzwyczaj niefortunny. Zgarnęli ją z ulicy, w Atenach, jakieś piętnaście godzin temu. Gdyby lotniskowiec Montgomery nie zakotwiczył na południe od Krety, a na jego pokładzie nie przebywali akurat antyterrorysty z SEAL-u, stracono by wiele cennych godzin na znalezienie innej grupy antyterrorystów.

Ambasador miał na punkcie córki prawdziwego hople, ale można było to zrozumieć. Przed piętnastoma laty stracił w zamachu terrorystycznym żonę i syna. Po tym tragicznym wydarzeniu ojciec wysłał dziesięcioletnią wtedy córkę do najlepszej szkoły z internatem. Po ukończeniu college'u panna Lovejoy wróciła do ojca.

Oficjalnie występowała jako towarzysząca mu osoba, oprócz tego pracowała w ambasadzie. Zane podejrzewał, że została zatrudniona jedynie dla zachowania pozorów i nigdy się tak naprawdę nie napracowała. A ojcu chodziło o to, żeby nie spuszczać jej z oczu.

Wszystko funkcjonowało bez zarzutu, aż do dzisiaj. Panna Lovejoy, razem z przyjaciółką, wybrały się na zakupy. Na ulicy napadło na nią trzech mężczyzn, wciągnęli ją siłą do samochodu i odjechali.

Przyjaciółka natychmiast zgłosiła to, gdzie trzeba. Niestety, mimo że nakazano wzmożoną czujność i na lotnisku, i w porcie, z lotniska w Atenach wystartował mały prywatny samolot i poleciał prosto do Ben Ghazi. A Zane podejrzewał, że władze greckie działały po prostu zbyt opieszale.

Dzięki błyskawicznej akcji przyjaciółki Barrie, bardzo szybko nawiązano kontakt z odpowiednimi osobami w Ben Ghazi. Uzyskano informację, że kobietę, której rysopis się zgadzał, wyprowadzono z samolotu, przewieziono do miasta i wprowadzono do tego budynku, do którego teraz zmierzał Zane i jego ludzie.

Tak, to na pewno była ona. W Ben Ghazi rudowłosa biała kobieta jest rzadkością. Mógłby się założyć, że to Barrie Lovejoy. A zakład idzie o jej życie.

ROZDZIAŁ DRUGI

W pokoju panowała całkowita ciemność. Jedyne okno przesłonięte było ciężkimi zasłonami, skutecznie blokując dopływ światła. Gwar, dobiegający z ulicy, stopniowo zanikał i w końcu zrobiło się zupełnie cicho, czyli zapadła noc. Porywacze poszli sobie gdzieś, prawdopodobnie odpocząć. Pewni, że ich zdobycz nie umknie. Leżała przecież na tym łóżku zupełnie naga, ręce i nogi wyciągnięte, przywiązane do łóżka. Nie mogła się poruszać. Bolało ją wszystko, każdy mięsień, a najbardziej ręce. Bolało tak bardzo, że chciała krzyczeć, błagać, żeby ktoś przyszedł i rozciął te przekłete sznurki. Ale milczała, bo jedynymi ludźmi, których mogła przywołać, byli porywacze.

Czuła zimno, straszliwe zimno. Nie narzucili na nią żadnego koca, czy chociażby jakiejś szmaty. Dygotała na całym ciele, ale i tak próbowała zignorować ból, nie upadać na duchu. Nie wiedziała, gdzie się znajduje, nie wiedziała, jak mogłaby stąd uciec. Ale gdyby pojawiła się choć najmniejsza możliwość, natychmiast by z niej skorzystała. Dzisiejszej nocy na pewno nie ucieknie, te więzy zaciśnięto zbyt mocno. Ale jutro... Boże, daj, żeby chociaż jutro... Przerazenie ścisnęło ją za gardło, prawie zadławiło. Oni jutro tu wrócą, i ma być z nimi ktoś jeszcze, ktoś, na kogo oni czekają. Boże wielki... Zimny dreszcz wstrząsnął jej ciałem. Przypomniała sobie szorstkie, wstrętne ręce, które ją dotykały, biły, popychały, dręczyły... Czuła, że robi jej się słabo...

Nie, ona tego nie wytrzyma. Musi stąd uciec.

Cóż jednak może zrobić, związana jak indyk, szykowany na Dzień Dziękczynienia?

Nie zgwałcili jej, ale dręczyli, robili takie rzeczy, które miały ją upokorzyć, przerazić i załamać. Na razie zostawili ją w spokoju. Ale jutro ma przybyć ten ich przywódca, jutro na pewno ją zgwałcą. Po tym strasznym przeżyciu będzie przerażona, gotowa zrobić wszystko, aby drugiego gwałtu uniknąć. Tak, oni na pewno tak to sobie zaplanowali.

O, nie! Tak się nie może stać!

Kiedy pochwycili ją na ulicy i wrzucili do samochodu, była

półprzytomna z przerażenia. Teraz jednak, leżąc w ciemnościach, czuła, jak strach nagle znika, i razem z nim znika jej dotychczasowy charakter. Zawsze była spokojna, nieskora do gwałtownych emocji. Do dziś. Bo to, co narastało w niej teraz, to była wściekłość, niepohamowana, wydobywająca się jak lawa z wnętrza ziemi i zmiatająca wszystko, co napotka po drodze.

Dotychczasowe życie nie przygotowało jej do tak mocnych przeżyć. Po śmierci matki i brata zawsze otoczona była czułą opieką ojca, chroniona bardziej niż inne dzieci. Mogła przecież porównać. Wiele jej koleżanek szkolnych było zanedbywanych przez rodziców, ale nie ona. Jej ojciec wprost ją uwielbiał. Interesował się wszystkim. Czego Barrie się uczy, jakich ma przyjaciół. Kiedy zapowiedział, że zadzwoni - dzwonił, dokładnie o umówionej godzinie. Co tydzień przysyłał jakiś drobiazg, niedrogi, ale przemyślany. Barrie wiedziała, dlaczego ojciec wysłał ją do ekskluzywnej szkoły w Szwajcarii. Tu była bezpieczna, a przecież oprócz niej ojciec nie miał już nikogo więcej, kogo mógłby stracić.

Była wszystkim dla swego ojca, a on dla niej. Kiedy ich rodzina zmniejszyła się o połowę, dziesięcioletnia wówczas Barrie nie odstępowała ojca na krok, płakała, kiedy wychodził z domu. Ten paniczny lęk, że zły los zabierze i jego, znikł z czasem, ale nadopiekuńczość ojca utrwaliła się jako wzorzec ich wzajemnych stosunków.

Teraz Barrie miała dwadzieścia pięć lat, była dorosłą kobietą i mimo że ojcowska opieka zaczynała ją drażnić, za bardzo cieszyła się każdą chwilą swego życia, aby naprawdę zaprotestować. Praca w ambasadzie, na razie w niepełnym wymiarze godzin, bardzo jej się podobała i zaczynała zastanawiać się, czy nie poświęcić się na serio pracy w dyplomacji. W tym hermetycznym świecie poruszała się znakomicie. Lubiła oficjalne wystąpienia, protokoły dyplomatyczne miała w małym palcu. Była taktowna, dyskretna i wyrobiona, no i odebrała jak najlepsze wykształcenie. A więc czemu nie? W czasach współczesnych coraz częściej zdarzają się kobiety w roli ambasadorów.

Przyszła pani ambasador... Naga na jakimś obcym, brudnym łóżku, a jej zmaltretowane ciało całe pokryte jest siniakami...

Zasłony w oknie poruszyły się. Uchwyciła to kątem oka. Odwróciła twarz ku oknu, raczej odruchowo, bez ciekawości. Było jej już tak zimno, że ten wiatr, który poruszył zasłonami, nie mógłby jej bardziej oziębic.

Ale ten wiatr był czarny i miał kształt...

Wstrzymała oddech. Coś wielkiego i czarnego, bezgłośnego jak cień, wsuwało się przez okno. To nie mógł być człowiek. Ludziom, którzy się poruszają, zawsze towarzyszą jakieś dźwięki. A w tej upiornej ciszy jej ucho wyłowiłoby najłżejszy szmer, szelest zasłon, oddech, cichutkie skrzyknięcie, kiedy stopa opada na podłogę...

Kiedy cień wsuwał się do pokoju, ciemne zasłony troszkę się rozsunęły. Przez wąską szparę wpadło trochę światła, może światła księżycy, może latarni ulicznych. Wzrok Barrie nie odrywał się od ciemnego kształtu, który bezszelestnie zbliżał się do niej. Nie krzyczała. Bo ktokolwiek by to nie był, nie mógł być gorszy od tych zbirów.

Stanął nad nią, olbrzymi, i wydawało się, że syci oczy jej nagością. Potem podniósł rękę i ściągnął z twarzy coś ciemnego, jakby zdejmował skórę z banana.

Maska. Mężczyzna w masce. Ale ona była już zbyt wyczerpana, aby wytłumaczyć to logicznie. Po prostu... jakiś obcy mężczyzna w masce. Żadne zwierzę, żadna zjawa, mężczyzna z krwi i kości. Widziała błyszczące oczy, kształt głowy, jaśniejszą plamę twarzy. Mężczyzna bardzo wysoki, bardzo mocny, w ogóle nie pasujący do tych kocich ruchów... Jeszcze jeden mężczyzna...

Nie wpadła w panikę. Chwile okropnego strachu miała już za sobą. Teraz czuła w sobie tylko gniew. I czekała. Na walkę. Na śmierć. Jej jedyną bronią były zęby, użyje ich, jeśli będzie trzeba. Wgryzie się w ciało napastnika, będzie kasać, szarpać, będzie próbowała zrobić mu krzywdę. Zanim umrze, będzie szczęśliwa, jeśli uda jej się wbić zęby w jego gardło i przegryźć je. Żeby umarł razem z nią.

Nie, nie rzucił się na nią. Przykucnął przy łóżku, nachylił się i tuż koło swego ucha usłyszała prawie bezgłośnie szept:

- Porucznik Zane Mackenzie. Marynarka Wojenna Stanów Zjednoczonych.

Mówił po angielsku, wymowa zdecydowanie amerykańska. Ale

sens jego słów dotarł do niej nieco później. Marynarka... Marynarka Stanów Zjednoczonych? Przez wiele godzin nie odzywała się, odmawiała jakiegokolwiek rozmowy z porywaczami, nie udzielała im żadnych odpowiedzi. Dopiero teraz z jej gardła wydobył się pierwszy dźwięk. Cichy, bezradny, nieartykułowany.

- Szsz... cicho - szepnął i nachylił się jeszcze bardziej nad jej głową.

Nagle poczuła, że jej ręce opadają swobodnie, ale bolą ją straszliwie. Umęczone stawy wyrwały jej z ust cichy jęk, zdołała jednak nabrać powietrza i razem z nim wciągnąć ten jęk z powrotem w płuca.

- Prze... przepraszam - szepnęła, kiedy już mogła wydusić z siebie jakieś słowo.

Mężczyzna chyba zorientował się, co się dzieje. Schował swój nóż do pochwy, przytroczonej do uda, i jego ręce w rękawiczkach spoczęły na ramionach Barrie. Masował je przez chwilę, potem chwycił jej ręce i ułożył wzdłuż jej ciała. Zrobił to bardzo delikatnie, a w stawach Barrie zapłonął ogień. Silne palce znów zaczęły masować obolałe miejsca. Ból narastał, stawał się nie do wytrzymania. Barrie szarpnęła się, jej nagie ciało naprężyło się, prawie wygięło się w łuk. Oczy zaszyły mgłą. I nagle w zmaltretowanym ciele rozpoczął się dobroczynny proces. Ból zaczął znikać, aż odszedł zupełnie. Barrie poczuła się miękka i słaba. Oddychała ustami, szybko, płytko, jak zawodnik po biegu.

- Dobra dziewczynka - szepnął mężczyzna i przerwał masaż. Lakoniczna pochwała podziałała jak balsam na okaleczoną duszę Barrie.

Mężczyzna wyprostował się i znów wyciągnął z pochwy swój nóż i nachylił się nad nogami Barrie. Poczuła chłód ostrza, koło kostek, i lekkie szarpnięcie. A więc i stopy były już wolne. Nagie ciało Barrie, w spóźnionym odruchu samoobrony, zwinęło się bezwiednie w kłębek. Zwarła uda, nagie piersi zasłoniła rękami. Twarz wcisnęła w materac śmierdzący pleśnią. Nie mogła spojrzeć na tego mężczyznę, po prostu nie mogła. Jej plecy drżały od powstrzymanego szlochu. Znów usłyszała ten jego cichutki szep:

- Jesteś ranna?- Możesz iść?

Nie była to pora, aby teraz puściły jej nerwy. Teraz trzeba było wymknąć się stąd niepostrzeżenie, a atak hysterii wszystko by zepsuł. Barrie uruchomiła całą siłę woli i z taką samą zawziętością, z jaką wytrzymywała ból, udało jej się stłumić szloch. Wyprostowała się i ostrożnie postawiła nogi na podłodze. Potem drżąc i chwiejąc się, usiadła na łóżku i zmusiła się, żeby spojrzeć na niego. Nie, nie czuła wstydu, na takie uczucie nie było teraz miejsca.

- W porządku - wyszeptała i była zadowolona, że ten szept maskował słabość jej głosu.

Mężczyzna przykucnął i nagle z przerażeniem uświadomiła sobie, że on właściwie zachowywał się tak, jakby się rozbierał. Niewiele mogła dostrzec, ale podłużny przedmiot, który ostrożnie położył na ziemi, to na pewno był karabin. Potem zdjął kamizelkę, zaczął rozpinąć guziki koszuli. Pod spodem miał czarny T-shirt.

Narzucił jej swoją koszulę na ramiona i ostrożnie, jakby była małym dzieckiem, wsadził jej ręce do długich rękawów. Potem zapiął guziki, uważając, aby jego palce nie dotykały jej nagiego ciała. Koszula, nagrzana jego ciałem, otuliła ją jak koc. Nagłe poczucie bezpieczeństwa odebrało jej całą odwagę. Była oszołomiona, prawie tak, jak wtedy, kiedy zdarto z niej ubranie. Powoli, z wahaniem, wyciągnęła rękę, jakby przeprasząc, jakby o coś prosząc.

Łzy płynęły jej ciurkiem, znacząc swoje słone ścieżki. W ciągu minionego dnia spotkała się z taką brutalnością ze strony mężczyzny, że ten miły gest z jego strony zupełnie wytrącił ją z równowagi.

Minęła sekunda. Silne, ciepłe palce szybko i delikatnie uściśniły jej dłoń. Potem mężczyzna przykucnął znów i cicho, zręcznie nałożył na siebie swój sprzęt. Podniósł wieczko koperty zegarka. Nafosforyzowane cyferki zajaśniały w ciemności zielonym światłem.

- Mamy dokładnie dwie i pół minuty - wyszeptał. - Rób teraz, co ci powiem, i wtedy, kiedy powiem.

Nie zrobiła jeszcze niczego, ale ta nić porozumienia między nimi wlała jej do serca trochę otuchy. Skinęła głową i ostrożnie wstała z łóżka.

- Jestem gotowa.

Zdażyła zrobić dwa kroki i zamarła. Gdzieś tam na dole ktoś strzelił.

Mężczyzna odsunął się na bok, dokładnie w tym samym momencie drzwi otworzyły się i do pokoju wtargnął oślepiający snop światła latarki. Na progu stała wysoka postać. Strażnik, oczywiście strażnik. Potem Barrie zauważyła jakiś ruch, usłyszała dziwny dźwięk, jakby chrząknięcie, i strażnik osunął się w czyjeś ramiona. Jej wybawca zdawał się robić wszystko prawie bezgłośnie, wciągnął strażnika do pokoju i położył go na podłodze. Przestąpił przez ciało, mocno chwycił Barrie za rękę i pociągnął ją za sobą.

Stanęli na progu. Korytarz był wąski i brudny, zastawiony jakimiś sprzętami. Wydawało się jej, że jest tu przeraźliwie jasno, choć u sufitu paliła się tylko jedna goła żarówka. Na prawo dojrzała jakieś zamknięte drzwi, a kawałek dalej ciemne wejście na nieoświetlone schody

Nagle znów z dołu, z ulicy, rozległy się strzały, a z lewej strony usłyszeli szybkie, dudniące kroki. Mężczyzna jedną ręką błyskawicznie zamknął drzwi pokoju, w którym przetrzymywano Barrie, drugą chwycił ją mocno pod ramię i pociągnął za sobą, jakby nie była niczym więcej niż workiem mąki. Otworzył szybko następne drzwi i oboje wsunęli się w bezpieczną ciemność. Ledwo zdażył te drzwi zamknąć, kiedy w korytarzu rozległy się gniewne krzyki i zapewne przekleństwa. Te same głosy, których Barrie słuchała przez cały dzień. Przerazona, zaczęła osuwać się na ziemię. Mężczyzna poderwał ją jednym ruchem, pchnął za siebie i szybko zsunął z ramienia broń.

Stali przed drzwiami, nieruchomo, a krzyki na korytarzu stały się bardzo głośne. Musieli znaleźć ciało strażnika i odkryli, że pokój jest pusty. Potem usłyszeli łomot o ścianę, to zapewne któryś z nich wyładowywał swoją wściekłość.

Barrie drgnęła, słysząc bezgłośny szept:

- Tu jedynka, tu jedynka. Przechodzimy do planu B.

Była wykończona, dlatego dopiero po chwili dotarło do niej, że on przekazuje jakąś wiadomość przez radio. Czyli nie był sam, oczywiście, mogła się tego domyślić. Dlatego trzeba jak najszybciej wydostać się z tego budynku. Na zewnątrz czekają na pewno jego

ludzie. I helikopter albo statek, albo jakiś samochód. Nieważne, mogli przyjechać tu nawet na rowerach. A uciekać można i na piechotę. Najważniejsze, żeby uciekać!

Jednak najpierw trzeba wydostać się z tego domu. Oni na pewno zaplanowali, że ten mężczyzna wymknie się z Barrie przez okno i porywacze do samego rana nie zorientują się, że jej już nie ma. Coś jednak musiało się stać, może reszta tych ludzi, którzy przybyli na ratunek, została zdemaskowana?- A ona i jej wybawca są uwięzieni w tym pokoju? Barrie czuła, że znów wpada w panikę. Zauważyła, że wszystkie mięśnie jej ciała drżą, zaczęło się od nóg, doszło do tułowia, a teraz całe ciało dygotało jak w febrze. Chwiejąc się na nogach, spróbowała podejść do ściany, starając się zrobić to tak jak on, czyli bezszelestnie. Mężczyzna jednak wyczuł jej ruch. Nie odwracając się, wyciągnął rękę, przyciągnął Barrie do siebie i popchnął lekko, żeby ustawiła się za jego plecami.

Jego bliskość działała na nią kojąco, a porywacze wzbudzili w niej tyle strachu i odrazy, że... Kiedy potem zostawili ją w ciemnościach, zastanawiała się gorzko, czy kiedykolwiek jeszcze będzie w stanie zaufać jakimkolwiek mężczyźnie.

Była tak słaba i wymęczona, że musiała na chwileczkę oprzeć głowę o jego plecy. Ciepło jego ciała przenikało przez szorstki materiał i przyjemnie grzało w policzek. Jak cudownie pachniał ten wielki ciepły mężczyzna. Tak, przede wszystkim tym... ciepłem i świeżym potem, i piżmową męskością. Mackenzie... Powiedział, że nazywa się Mackenzie... Był jak skała, twardy, nieruchomy. Barrie nigdy jeszcze nie spotkała człowieka równie cierpliwego. Ani razu nie zmienił pozycji, a oni nasłuchiwali już tak długo. Jego ciało wykonywało tylko jeden ruch - oddychało wolno, miarowo. A ona, oparta o niego, chyba drzemała. W jej półprzutomnej głowie pojawiła się jakaś mglista wizja basenu. Barrie, rozłożona na materacu, unosi się na wodzie i opada...

Obudziła się natychmiast, kiedy sięgnął ręką w tył i lekko nią potrząsnął. Nie było już słycać strzałów, krzyki na korytarzu zamilkły.

- Oni myślą, że nas tu już nie ma - szepnął. - Pójdę sprawdzić, ty zostajesz. Masz zachować absolutną ciszę.

Zapalił latarkę, dającą bardzo nikle światelko, i zlustrował pokój. Był pusty, tylko pod ścianą stały jakieś stare pudła. Wszędzie kurz i pajęczyny, powietrze zatechłe, widocznie nikt od dawna tu nie mieszkał.

Pochylił się i przytknął usta do jej ucha.

- Musimy stąd wyjść. Moi ludzie upozorowali tak, jakbyśmy uciekli razem z nimi. Teraz nie mamy rady do nich dołączyć. Przeczekamy w bezpiecznym miejscu. Czy ty orientujesz się trochę w rozkładzie tego budynku?

Potrząsnęła głową, stanęła na palcach i teraz ona szepnęła mu do ucha.

- Nie, kiedy mnie tu prowadzili, miałam zasłonięte oczy.

Skinął głową i wyprostował się, a Barrie, znów pozbawiona jego fizycznej bliskości, poczuła się porzucona i samotna. Wiedziała, że to tylko chwilowa słabość, ale on teraz był jej jedyną ostoją.

- Wrócę za pół godziny - szepnął.

Wyciągnął coś z kieszeni, rozwinął. Koc z cieniutkiego tworzywa. Zarzucił jej na ramiona i natychmiast poczuła rozkoszne ciepło. Zaczęła się otulać jak najszczelniej, a on uchylił drzwi i wyslizgnął się na korytarz. Zrobił to tak samo cicho, jak wtedy, kiedy wchodził przez okno. Zamknął drzwi i Barrie została sama w ciemnościach.

Jej nerwy znów próbowały wpędzić ją w panikę, protestowały przeciw tej ciemności i samotności, ale zignorowała je. Postanowiła przecież zachować spokój. Będzie wsłuchiwać się we wszystkie dźwięki, one powiedzą jej, co się teraz dzieje. Z ulicy jeszcze kilka minut temu dochodziła wrzawa, strzelanina na pewno zaalarmowała okolicznych mieszkańców. Ale wrzawa ucichła i w całym budynku panowała idealna cisza. Może wszyscy porywacze ruszyli w pogoń za ludźmi Mackenziego...

Zachwiała się. Uświadomiła sobie, że jest bardzo osłabiona. Powinna usiąść i owinać się kocem jeszcze szczelniej. Stopy miała lodowate, prawie bez czucia. Ostrożnie usiadła na podłodze, przerażona, że niechcący może wzbudzić jakiś hałas. Nie wiedziała, z czego zrobiony jest ten koc, ale cudownie izolował od kamiennej podłogi. Podciągnęła nogi, objęła rękoma kolana i złożyła na nich głowę. Było jej teraz o wiele lepiej niż w ciągu tych długich godzin

mężarni, o wiele lepiej. Jej powieki robiły się coraz cięższe, coraz cięższe...

ROZDZIAŁ TRZECI

Zane, z pistoletem w ręku, cicho przemykał się przez opustoszały, zdewastowany budynek, zręcznie omijając walające się kawałki drewna i skruszałego betonu. Byli na najwyższym piętrze, wiedział

dobrze, gdzie są schody i wyjścia, problem był tylko jeden. Gdzie ci dranie teraz są? Czy opuścili ten dom, kiedy zorientowali się, że ich ofiara uciekła? Musi o tym wiedzieć, zanim zdecyduje się wyprowadzić stąd pannę Lovejoy. Do świtu już tylko godzina, a on, zanim zrobi się jasno, powinien przeprowadzić ją w bezpieczne miejsce.

Dzielna dziewczyna. Był przygotowany, że jeśli zacznie histeryzować, to po prostu ją ogłuszy. A ona nawet nie pisnęła, kiedy pochylił się nad nią w tych ciemnościach. Mogła się rozkleić, miała do tego święte prawo, i to właśnie wtedy, kiedy on się zjawił i była już bezpieczna. Na pewno ją zgwałcili, i to nieraz. Ale ona stara się trzymać, choć wiadomo, że spięta jest do granic możliwości.

Dlatego człowiekowi jakoś tak cholernie się chce jej pomóc. Trzeba jak najszybciej wywieźć ją z Libii, nie ma czasu na odgrywanie się na porywaczach. Ale jeśli któryś przypadkiem nawinie się pod rękę - będzie skończony.

Na klatce schodowej panowały egipskie ciemności. Świetnie, a więc strażników tu nie ma, a ciemność w tej sytuacji jest dobra. Będzie osłaniać. Wszedł do klatki, oparł się plecami o ścianę i ostrożnie postawił nogę na pierwszym stopniu. Był pewien, że schody są w dobrym stanie, gdyby były rozwalone, porywacze nie zawlekliby ofiary na czwarte piętro. Ale lepiej uważać, schody mogą być zawałone jakimiś rupieciami czy gruzem.

Schodził bardzo ostrożnie, nie odrywając pleców od ściany. Jedno piętro, drugie... W pewnym momencie ciemność zaczęła jakby szarzeć, znak, że do wyjścia niedaleko. I wyraźnie usłyszał jakieś dźwięki.

Jeszcze dwa bezgłośne kroki w dół i zatrzymał się. Natężył słuch. Usłyszał to, co chciał usłyszeć. Podniesione, gniewne głosy, krzyki, przekleństwa. Zane znał arabski, trudno mu było jednak rozróżnić pojedyncze wyrazy. Nieważne, grunt, że udało się ich zlokalizować. Te dranie stoją gdzieś teraz koło wylotu tej klatki, czyli trzeba przetrząsnąć się do klatki z drugiej strony budynku. Bezszelstnie ruszył z powrotem na górę. Doszedł do pierwszego piętra i słabo oświetlonym korytarzem przemknął na przeciwległy koniec. Był pusty, żadnych strażników, a więc, tak jak myślał, porywacze byli

przekonani, że Barrie w tym budynku już nie ma.

Z doświadczenia wiedział, że rzadko wszystko idzie jak w zegarku. Dlatego starał się być jak najbardziej przezorny, nigdy nie wykluczał wpadki czy ingerencji sił natury. A to, co dziś się stało, to była zwykła wpadka. Ktoś zauważył jego ludzi, dlatego podał im przez radio rozkaz, że mają się wycofać i działać według planu alternatywnego. Potem łączność radiowa została przerwana. Być może był to zwykły pech. Po prostu któryś z okolicznych mieszkańców, wracając późno do domu, natknął się przypadkiem na ubranego na czarno faceta z bronią i podniósł wrzask. Dobrze, że mieli w zanadrzu ten plan alternatywny. A on przecież z góry wiedział, że nie będzie idealnie. I kiedy podchodzili do tego budynku, to przecucie nie opuszczało go ani na chwilę. No i proszę, sprawdziło się dokładnie.

Zakładali, że pannie Lovejoy włos nie może spaść z głowy. Dlatego najpierw Spooky poszedł na zwiad. Po powrocie zameldował, że na czwartym piętrze w żadnym oknie nie pali się światło, ale tylko w jednym oknie zaciągnięte są zasłony. A całe pierwsze piętro roi się od strażników. Dlatego Zane poszedł po pannę Lovejoy sam, wspinając się po ścianie, oczywiście do tego okna z zaciągniętymi zasłonami. Było to jakieś ryzyko. Gdyby w pokoju paliło się światło, ktoś z zewnątrz mógłby dostrzec, jak on manipuluje przy tych zasłonach. Na szczęście, w pokoju było ciemno. No i nie mylili się. Na łóżku leżała związana panna Lovejoy.

Zane, cicho jak kot, wspinał się schodami na czwarte piętro. Spooky wynalazł już w okolicy miejsce, gdzie będzie można ukryć pannę Lovejoy. Trzeba tylko zaprowadzić ją tam koniecznie przed świtem, dopóki miasto śpi. Trudno, żeby rudowłosa kobieta z Zachodu, w stroju dość nietypowym, nie wzbudziła sensacji. On sam, ciemnowłosa, opalony, mógłby spokojnie wtopić się w tłum. Gdyby nie dwa drobne szczegóły. Pistolet maszynowy przewieszony przez ramię i twarz w ciemnych smugach, dla kamuflażu.

Cicho wsunął się do pokoju, w którym zostawił pannę Lovejoy, i jego serce zabiło szybciej. Pokój był pusty. Pusty? Rozejrzył się jeszcze raz. Na podłodze zobaczył coś, co przypominało garb

wielbłąda. Jakaś górkę. I poczuł ulgę. Leżała zwinięta w kłębek, okryta szczelnie cieniutkim kocem ze specjalnego materiału, kocem, który należał do jego ekwipunku. Nie poruszyła się. Spała. Zane przez chwilę wsłuchiwał się w głęboki, miarowy oddech. Biedactwo... Przez tyle godzin przeżywała koszmar, na pewno nie zmrużyła oka. Ale wystarczyła odrobina bezpieczeństwa - jego koszula, koc, chwilowe schronienie, wcale nie takie pewne - żeby to zmalretowane stworzenie zapadło w głęboki sen. Niestety, musiał ją obudzić. Przykucnął, położył dłoń na szczupłych plecach i zaczął je bardzo delikatnie głaskać. Minęła chwila i panna Lovejoy obudziła się. Wyczuł w niej króciutki moment paniki i dziewczyna wróciła do pełnej świadomości.

- Wychodzimy - szepnął, cofając dłoń. - Przechodzimy w bezpieczne miejsce.

Barrie szybko wstała z podłogi, nie wypuszczając koca z rąk. Kiedy Zane wyciągnął rękę, jej palce kurczowo zacisnęły się na kocu, po czym rozwarły się, ale powoli i niechętnie. Nie wiedziała, że on wcale nie zamierzał odbierać jej tego koca.

- Tak będzie lepiej - szepnął. Owinął kocem jej biodra, dwa rogi związał z boku w mocny węzeł.

W ten sposób otrzymała jeszcze jedną część garderoby, coś na kształt sarongu.

Musiała być zadowolona, bo wspięła się na palce i leciuteńko dotknęła jego ramienia.

- Dzięki...

- Drobiazg. Teraz wychodzimy. Pamiętaj, masz nie spuszczać ze mnie oka. Obserwuj mnie cały czas. Będę dawał ci znaki ręką.

Szybko pokazał jej podstawowe znaki. Uniesiona dłoń to „Zatrzymaj się! Poczekaj!”, dłoń zwinięta w pięść - alarmujące „Stój!”. Pokazał też sygnały, żeby iść dalej i kryć się. Na tym poprzestał, zdając sobie sprawę, że i tak będzie dobrze, jeśli półprzytomna dziewczyna zapamięta choć te cztery znaki.

Szybko przemknęli do klatki schodowej. Barrie spojrzała w czarną czeluść raczej sceptycznie. Zane zademonstrował jej, jak przykleić się plecami do ściany i stopami wyczuwać stopnie. Pierwszy ruszył, naturalnie, Zane. Przez jakiś czas było dobrze, potem usłyszał, że

potknęła się i chyba traci równowagę, bo jej oddech stał się nagle bardzo szybki. Błyskawicznie wyciągnął rękę i przygarnął ją do swego boku. Była szczuplutka, ale miło zaokrąglona tam, gdzie trzeba. I jej skóra pachniała tak dziwnie słodko.

Podtrzymywał ją, dopóki znów pewnie nie stanęła na stopniu.

- Przepraszam - wyszeptła cichutko.

Jego podziw rósł. Żadnych krzyków, choć omal nie spadła ze schodów. I jeszcze przepasza. Czyli dalej się trzyma, całą siłą woli koncentrując się na jednym: drodze do wolności.

Przed ostatnią kondygnacją zatrzymał się i szepnął do niej:

- Czekaj tu.

Ostatnie stopnie pokonał sam. Rozejrzał się.

Nikogo. Dał znak ręką i panna Lovejoy wynurzyła się z ciemnej klatki. Przed nimi duże, podwójne drzwi, prowadzące niewątpliwie na ulicę. Czyli wielkie ryzyko. Tym bardziej że zza tych drzwi słychać było jakiś podenerwowany męski głos. Zane wyczuł, że panna Lovejoy sztywnieje, a więc na pewno był to jeden z tych drani.

Szybko, nie dając jej czasu na strach, chwycił ją za rękę i pociągnął za sobą z powrotem na schody. Zeszli jeszcze jedną kondygnację w dół i znaleźli się w przestronnej piwnicy, właściwie magazynie, zawalonym pudłami. Tuż pod sufitem jaśniało małe okienko.

- Wychodzimy przez to okno - szepnął Zane. - Na pewno jest nie wyżej niż metr nad ziemią. Podsadzę cię. Zeskoczysz pierwsza i od razu przyklej się do ściany. Wtedy człowiek jest mniej widoczny. Jasne?

Skinęła głową. Podeszli do okienka, klucząc między stosami pudeł i pudełek. Zane wyciągnął długie ręce, mocno chwycił dłońmi parapet i podciągnął się w górę. Jedno kolano oparł o parapet, drugie o chwiejący się stos pudeł i przez dłuższą chwilę walczył z zakurzonym okienkiem, którego nikt chyba nigdy nie otwierał. W końcu zardzewiałe zawiasy zaskrzypiały niemiłosiernie, a do piwnicy wdarł się strumień świeżego powietrza.

- Wychodzimy - zakomenderował Zane, zwinnie jak kot zeskakując na posadzkę. - Oprzesz nogę na mojej dłoni czy wskakujesz mi na ramiona?

Przez chwilę nie odzywała się, wpatrując się w okienko. Za oknem niebo już szarzało i Zane po raz pierwszy miał okazję ocenić regularne rysy twarzy panny Lovejoy. Ocena — podobnie jak ta poprzednia, dotycząca jej ciała - wypadła nadzwyczaj pozytywnie. Panna Barrie Lovejoy była naprawdę ładna.

- Ale czy ty się przecisniesz?- - spytała z powątpiewaniem.

- Trochę wąsko. Ale przechodziłem już przez mniejsze otwory.

Skinęła głową, ale w jej oczach dostrzegł konsternację. Zapewne zastanawiała się, jak tu wyskoczyć ze spódnicy do kostek. W końcu decyzja została podjęta. Barrie szybko rozwiązała węzeł, zrolowała cieniutki koc i owinęła sobie wokół szyi, jak szalik.

- Wejść po twoich ramionach — powiedziała cichutko.

Ukląkł i wyciągnął ręce do góry. Panna Lovejoy nie potrzebowała żadnej instrukcji. Podeszła do niego od tyłu, ostrożnie postawiła stopę na jego prawym ramieniu, odbiła się lewą nogą i pofrunęła w górę. Zane wyczuł na lewym ramieniu drugą lekką stopę, jego dłonie chwyciły mocno szczupłe nadgarstki. Wstał. Ciężar ciała panny Lovejoy był niczym w porównaniu z tym, co dźwigał na ramionach podczas treningu.

Podszedł do okienka i puścił jej prawą rękę, żeby mogła chwycić się za parapet.

- Już - szepnęła.

Podciągnęła się szybko, wysuwając głowę na zewnątrz. Ten sposób był najszybszy, choć na pewno dość bolesny. Głowę w dół, po prostu. Przed oczami Zane'a mignęły szczupłe nogi i wypukłości nągich pośladków. I panna Lovejoy znikła. Prawie natychmiast usłyszał głucho uderzenie, a więc wylądowała.

- Hej! Jak tam? - szepnął zdenerwowany, i na pewno za głośno.

Po chwili usłyszał drżącą odpowiedź, również szeptem.

- Do... Dobrze.

- Bierz broń..

Automat powędrował za okno, potem kamizelka i Zane przystąpił do operacji. Najpierw nogi, potem biodra, i ramiona ustawić pod takim kątem, żeby móc przecisnąć je przez to okienko, cholernie jednak wąskie. Ładować na miękkich nogach.

Barrie siedziała posłusznie pod ścianą, koc miała już owinięty

wokół bioder, a w ramionach trzymała, jak dziecko, automat i resztę sprzętu.

A niebo szarzało coraz bardziej.

- Pospiesz się — rzucił, odbierając od niej broń. Nałożył kamizelkę, chwycił Barrie za rękę i pociągnął w boczną uliczkę. Nikt za nimi nie szedł, nigdzie nie było widać żadnych policjantów. Nic dziwnego. W końcu dzielnica niebezpieczna, jak we wszystkich miastach portowych, policja woli tu nie interweniować. Było im to bardzo na rękę. Im mniej hałasu, tym lepiej. Nie uruchomiono przecież żadnych kanałów dyplomatycznych, bo oba kraje nie utrzymywały ze sobą stosunków dyplomatycznych. Nie było więc gwarancji, że władze libijskie na serio włączą się w poszukiwanie córki amerykańskiego ambasadora. Całą sprawę postanowiono załatwić we własnym zakresie. Odszukać pannę Lovejoy i jak najszybciej wywieźć z Libii. To wszystko.

Zbliżali się do doków. Powietrze było coraz bardziej przesycone zapachem morza. Dookoła pełno było opuszczonych, popadających w ruinę domów. W jednej z takich ruder mieli się ukryć ludzie Zane'a, po zgubieniu prześladowców. Zane i panna Lovejoy mieli przeczekać w innym miejscu i kiedy sytuacja się przejaśni, dołączyć do reszty. Oba miejsca wynalazł Spooky, Zane był więc pewien, że to miejsca bezpieczne.

Szli teraz niby-alejką, tratując po drodze niezliczone gniazda szczurów. Panna Lovejoy szła dzielnie, raz tylko pisnęła, musiała więc na coś nastąpić, na pewno niezbyt przyjemnego. Ale potem znów maszerowali w milczeniu. Do celu dotarli po dziesięciu minutach. Był to dom nadający się do rozbiórki, więc kamuflaż świetny, a w środku, zgodnie z tym, co przekazał Spooky, jedno pomieszczenie zachowało się w niezłym stanie. Frontowa ściana była prawie w zaniku, pozostał po niej niewysoki murek. Zane usiadł na nim okrakiem, pochylił się, jego silne ręce objęły pannę Lovejoy w pół i po prostu przestawiły na drugą stronę. Potem przeprowadził ją pod niebezpiecznie pochyłonymi belkami, osnutymi pajęczynami. Tych pajęczyn starał się nie naruszyć, przecież to jeszcze jeden wspinały kamuflaż.

Drzwi do zachowanego cudem pokoju wisały malowniczo na

jednym obluzowanym zawiasie. Zane odsunął je, wepchnął Barrie do środka, nareszcie między cztery ściany, które stały zdecydowanie stabilnie, i mruknął:

- Stój tu, ja zatrę ślady.

Wrócił do ściany frontowej, przykucnął i zaczął cofać się, pracowicie zasypując ślady piachem i kamieniami. Część śladów była niepokojąca. Ciemne i wilgotne, doskonale widoczne na potrzaskanych płytach kamiennej posadzki. Cholera, czemu ona wcześniej nie powiedziała, że jest ranna. I kiedy to się stało- Może poznała tymi krwawymi śladami całą drogę do kryjówki?

Starannie pościerał krwawe ślady, posypał je piachem. Nie, to nie był tylko jej błąd. On powinien był wcześniej pomyśleć, że dziewczyna idzie na bosaka. A jemu, durniowi, bardziej były w głowie jej nagie pośladki, które mignęły mu w tym okienku. Nie ma co ukrywać, ta dziewczyna zaczyna działać na niego, i to porządnie. Niestety, nic z tego. Po tym, co przeszła, czyjeś amory potrzebne są jej jak dziura w moście. Ale jemu, zdaje się, chyba szybko nie przejdzie.

Wrócił do pokoju, podniósł drzwi, wstawił je porządnie w futrynę i natychmiast już nie szeptem, lecz pełnym głosem zadał Barrie zasadnicze pytanie:

- Dlaczego nie powiedziałaś, że skaleczyłaś się w stopę?- Gdzie to się stało- Stała tuż pod ścianą, tam, gdzie ją ustawił. Duże oczy w bladej, ściągniętej ze zmęczenia twarzy, wydawały się ogromne. Wyglądała jak mała sówka, wyrzucona z gniazda.

Podniosła nogę, spojrzała na skaleczoną stopę i aż jęknęła.

- Boże! Nie miałam o tym pojęcia! To musiało się stać w tej alejce. Nastąpiłam na coś, pamiętam, jak zabolalo. Pomyślałam, że to jakiś kamyk pod tym... paskudztwem.

A więc nie w pobliżu domu, w którym ją przetrzymywali, czyli spory kawałek dalej, w tej zaszczurzonej uliczce. Czyli nie jest tak źle. Zane, już nieco uspokojony, włączył radiostację i przekazał wiadomość. Jedno kliknięcie, czyli dotarli bezpiecznie na miejsce. Odpowiedziały mu dwa kliknięcia. Jego ludzie też już są bezpieczni. Od tej chwili co pewien czas będą sprawdzać, a cały dzień i noc do świtu przeznaczone są na odpoczynek.

Z trzech powodów do niepokoju wyeliminował dwa. Pozostawał jeszcze jeden.

- Siadaj - rozkazał. - Pokaż tę nogę.

Posłusznie usiadła na kawałku roztrzaskanej kamiennej płyty. I skwapliwie przytrzymując drogocenny koc, owijający jej biodra, wyciągnęła nogę przed siebie. Jej stopa ubrudzona była śmierdzącymi odchodami w tym samym stopniu, co jego buty. Na zakrwawionym podbiciu widać było spore rozcięcie.

Zane najpierw pozdejmował z siebie sporo rzeczy. Słuchawki, czapkę, rękawiczki i kamizelkę. Z kieszeni kamizelki wyjął małą apteczkę i rozsiadł się przed Barrie. Usiadł ze skrzyżowanymi nogami, jak Indianin, stopę Barrie ułożył na swoim udzie i operację zaczął od oczyszczania rany wilgotnym, antyseptycznym gazikiem. Barrie skrzywiła się. Nic dziwnego, rana była głęboka, kwalifikująca się do założenia kilku szwów. Wyjął następny gazik i przyciskał mocno do rany, dopóki krwawienie nie ustało.

- Kiedy po raz ostatni miałaś zastrzyk przeciwko tężcowi?

- Nie pamiętam - bąknęła. - Chyba wiele lat temu.

Nie miała teraz głowy do jakichś zastrzyków. Bo dopiero teraz miała sposobność przyjrzeć się bliżej swojemu wybawcy. I było na co popatrzeć. Jego włosy, prawie czarne, musiały być bardzo grube i mocne. Śniada twarz poznaczona smugami czarnej farby. Czarny T-shirt, przepocony i pobrudzony ziemią, opinał ciasno szeroką pierś i płaski brzuch. Ramiona miały chyba z metr szerokości. Bicepsy prawie rozsadały krótkie rękawy podkoszulka, z których wynurzały się ręce - jeden splot stalowych mięśni. Nadgarstki dwa razy grubsze niż jej. Dłonie wielkie, silne, o długich palcach. Dłoń dziwnie twarda jak na ludzką dłoń. I taka delikatna, kiedy czyściła jej ranę.

Twarcz nieco pochylona, zajęty był przecież jej stopą. Ale mogła dojrzeć dumne łuki brwi i ciemne, gęste rzęsy. I cienki, orli nos, i przepięknie rzeźbione kości policzkowe, i usta, mocno wykrojone, surowe. Te usta chyba nie śmiały się często...

Zane podniósł głowę, na pewno chciał sprawdzić, jak zareagowała na środek antyseptyczny. Spojrzały na nią oczy piękne, szaroniebieskie, zdumiewająco jasne i czyste. Tylko tak można było o tych oczach powiedzieć. A oczy te należały do człowieka, który w

mgnieniu oka i w absolutnej ciszy pozbawił życia drugiego człowieka. Potem przestąpił przez ciało strażnika jak przez kawałek drewna. Ten człowiek jest bestią, zabójczą bestią.

I mimo tego czuła się przy nim bezpieczna. Masował jej obolałe stawy, oddał swoją koszulę, robił wszystko, co mogło złagodzić jej ogromny stres i zmniejszyć strach. Widział ją naga, całkiem naga, wtedy jednak, w tych strasznych chwilach, nawet to do niej nie dotarło. Ale teraz najgorsze minęło, byli we względnie bezpiecznym miejscu. Sami. I w wycieńczonej, zmaltretowanej Barrie zaczynała budzić się kobieta. Nagle stała się świadoma, że pod koszulą i cieniutkim kocem nadal jest naga, nadal nie ma nic, a jej skóra zrobiła się nienormalnie wrażliwa, gorąca i napięta. Koszula ociera się o jej piersi, i to prawie boli. A jej stopa wręcz ginie w wielkiej męskiej dłoni.

Zane ze skupioną twarzą nałożył na ranę maść z antybiotykiem, potem szybko i fachowo obandażował stopę.

- Gotowe - powiedział, stawiając ostrożnie jej nogę na posadzce. - Z chodzeniem nie powinno być problemu, ale kiedy wrócimy na okręt, lekarz założy kilka szwów i zrobi zastrzyk przeciwężcowy.

- Tak jest! - powiedziała dziarsko, a na jego ustach pojawił się uśmiech. Króciutki, ale wystarczyło, żeby zapało jej dech. A co to będzie, kiedy on naprawdę się uśmiechnie? Chyba jej serce nie wytrzyma...

Pragnąc ukryć zakłopotanie, szybko wyciągnęła rękę:

- Barrie Lovejoy! Bardzo mi miło pana poznać.

Uściskał jej dłoń z powagą.

- Komandor porucznik Zane Mackenzie, SEAL, jednostka specjalna Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych.

SEAL! No tak, to wyjaśniało wszystko. Ludzie z SEAL-u uważani byli za bardzo niebezpiecznych. W sztuce walki byli bezkonkurencyjni. A ten mężczyzna nie wyglądał na kogoś, kto może zabić. On po prostu zabijał.

- Mi... miło mi. I dziękuję za wszystko.

- Cała przyjemność po mojej stronie, panno Lovejoy.

Panno Lovejoy... Barrie spojrzała bezradnie na swój podolek,

owinięty tylko śmiesznie cienkim kocykiem.

- Mówmy sobie po imieniu, dobrze? W końcu twoja koszula to jedyna rzecz, jaką mam na grzbiecie. A w tych okolicznościach... jakieś formalności... kiedy ja...

- Rozumiem - przerwał łagodnym głosem, nie patrząc jej w oczy. - Nie chciałbym cię urazić, ale myślę, że w tej sytuacji powinnaś wszystko powiedzieć swojemu lekarzowi.

Barrie spojrzała na niego, zmieszana, zastanawiając się w duchu, o co mu właściwie chodzi. A potem nagle do niej dotarło.

- To nie tak - szepnęła. - Oni mnie nie zgwałcili, tylko mnie... tak obrzydliwie dotykali. A zgwałcić mieli mnie dziś. Miał ktoś przyjechać, ktoś bardzo dla nich ważny i to on miał mnie pierwszy...

Twarz Zane'a była poważna i spokojna, ale nie wierzył ani jednemu jej słowu. Bo niby jak?- Znalazł ją nagą, przywiązaną do łóżka, a w rękach porywaczy była od wielu godzin. W kodeksie porywaczy, o ile słowo „kodeks” w ogóle do nich pasuje, nie ma mowy o żadnej rycerskości. Powstrzymują się od gwałtu tylko na wyraźny rozkaz swego przywódcy. Zwykle on raczy się pierwszy, potem łaskawie zezwala innym. Jeśli Barrie mówiła prawdę, to rzeczywiście jedynie fakt, że nie było ich przywódcy, mógł ją ocalić od gwałtu.

Żadne z nich już się nie odezwało. Barrie zajęła się czyszczeniem stóp, wykorzystując zużyte gaziki. Zane pozamykał sfatygowane okiennice, żeby chronić ich przed spojrzzeniami przechodniów. W pokoju zapanował półmrok, zrobiło się jeszcze jakby bardziej bezpiecznie i przytulnie. Tak przytulnie, że Barrie, mimo woli, szeroko ziewnęła.

Zane zauważył to. On chyba zawsze wszystko zauważał.

- Prześpij się - powiedział. - Za kilka godzin na ulicy zrobi się tłoczno, nikt nie zwróci na mnie uwagi. Wtedy wyjdę, postaram się o coś do zjedzenia, no i o ubranie dla ciebie.

Barrie ziewnęła jeszcze raz.

- Z takim makijażem zwrócisz uwagę w największym tłumie.

Na jego ustach znów pojawił się ten nieprawdopodobny uśmiech, który ją tak zachwyił, ale zapadała już w sen, i tylko w ostatnim przeblasku świadomości czuła, jak jego mocne ręce ostrożnie układają ją na posadzce.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Zasnęła jak niemowlę... Zane patrzył na Barrie z rozczeniem. W końcu, było nie było, miał całe mrowie bratanków i widział nieraz, jak zasypiają małe dzieci. Dosłownie w sekundę. Przelewają się rodzicom przez ręce. Barrie też tak zasnęła, w sekundę, i gdyby jej nie pochwycił, osunęłaby się na ziemię. Niech śpi, przecież wiadomo, że jest wykończona. On też sobie trochę odpocznie. Wyciągnął się na ziemi, w niewielkiej odległości od Barrie, tak,

żeby leżała w zasięgu ręki. Dzięki temu, w razie zagrożenia, będzie mógł ją od razu pochwycić. Zamknął oczy, ale sen nie nadchodził. Był zbyt pobudzony, za dużo było w nim jeszcze adrenaliny. Ale miło było tak leżeć i czekać, dopóki miasto nie obudzi się ze snu.

Otworzył oczy, przewrócił się na bok i spojrzał na Barrie. Przez zmurszałe okiennice sęczyły się promienie słońca, malując na jej rudych włosach złociste płomienie. Oczy były, naturalnie, zamknięte, ale on już zapamiętał, że są wielkie i zielone, a brwi i rzęsy Barrie brązowe jak futerko norki. I, o dziwo, na skórze Barrie nie widać było ani jednego piega. Skóra była śmietankowa, gładka i nieskazitelna, oczywiście oprócz siniaków i zadrapań, które zostawili na jej ciele ci dranie. Mówiła, że jej nie zgwałcili, prawdopodobnie wstydziła się powiedzieć prawdę. Nie chciała, żeby ktokolwiek się o tym dowiedział, chociażby ze względu na jej ojca. A zdaniem Zane'a najważniejsze było teraz, żeby zajął się nią naprawdę dobry lekarz. A on sam, zamiast tu sobie odpoczywać, najchętniej wróciłby do tego cholernego domu, gdzie ją przetrzymywali i wybiłby to ścierwo co do nogi.

No cóż, ta dziewczyna po prostu mu się podobała. Była ładniutka. Żadna porażająca piękność, ale jej rysy były regularne, a teraz, kiedy we śnie mogła zapomnieć o okrutnej rzeczywistości, jej twarz była słodka i pogodna. Była bardzo drobna. Na pewno nie tak filigranowa jak jego matka i siostra, ale przy nim i tak było to prawdziwe maleństwo. Nie mogła ważyć więcej niż pięćdziesiąt kilo. I w tej drobnej dziewczynie z bogatego domu, na którą chuchano i dmuchano, drzemał duch prawdziwie pionierski. Wiele kobiet w jej sytuacji dawno by się załamało. A ona - nie.

Dzielna dziewczyna, i jakże pociągająca. Miło by było przygarnąć ją do siebie, poczuć pod dłonią to rozkosznie miękkie i ciepłe ciało. Tak cholernie chciało mu się ją objąć. Teraz ubrana była w jego koszulę, ale on już widział jej nagie ciało, jaśniejące w mroku na tamtym obskurnym łóżku. Ciało drobne, a jednocześnie bardzo, bardzo kobiece. Piersi nie za duże, ale krągłe i osadzone wysoko. Tak samo okrągłutkie były jej pośladki, które mignęły mu w okienku. Jakże przyjemnie byłoby dotknąć takich pośladków...

Czuł, że ogarnia go pożądanie. Tak silne, że aż jęknął i z powrotem

ułożył się na plecach. Niby wygodnie, a właściwie to wcale niewygodnie. Ukojenie mogło mu dać teraz tylko objęcie jej miękkiego, ciepłego ciała. Co, niestety, zdarzyć się nie może, ponieważ dziewczyny po takich przejściach nie wolno tknąć nawet palcem.

Nadszedł już ranek. W zrujnowanym domu robiło się coraz jaśniej, coraz cieplej. Grube kamienne ściany chroniły przed żarem, ale i tak wkrótce w tym pokoju będzie gorąco. Dlatego trzeba postarać się o wodę, no i o coś do zjedzenia. A dla Barrie koniecznie o jakieś ubranie, najlepiej przebrać ją za Arabkę, w długą czarną suknię, głowę osłonić czar-czafem. Wtedy na pewno nie zwróci niczyjej uwagi.

Z ulicy dochodził już gwar. Miasto obudziło się, pora wyruszyć na polowanie. Zane wstał z podłogi i na ślepo stał czarną farbę z twarzy. Automat, naturalnie, zostaje. Weźmie ten mniejszy pistolet. Wetknął pistolet za pasek spodni i starannie osłonił brzegiem podkoszulka. Z tyłu widać było małe wybrzuszenie, ale, do diabła, w tej części świata to normalne, że ludzie chodzą z bronią. Zresztą, nie powinien wyróżniać się z tłumu. Nie na darmo w jego żyłach w jednej czwartej płynie krew Komanczów, dlatego jego skóra była gładka, brązowa, pozbawiona różowości. I jeszcze dodatkowo opalona. A że rysów nie ma arabskich, to nie szkodzi. Wielu Libijczyków ma w sobie krew europejską.

Barrie nadal pogrążona była w głębokim śnie. Nie powinna się przerazić, kiedy po obudzeniu zauważy jego nieobecność. Przecież ją uprzedził, że wyjdzie.

Cicho wyszedł z ich rozsypującego się przytuliska i równie bezszelestnie wsunął się z powrotem po dwóch godzinach. Wracał zadowolony, z poczuciem, że byłby z niego niezły lump, a już na pewno niezły złodziejaszek. Zdobył wszystko. Długą luźną suknię i wielką czarną chustę, którą Barrie będzie mogła owinać sobie głowę. Teraz w chustę owinięte były owoce, ser i chleb oraz dwie pary damskich fig, które, jak miał nadzieję, będą pasowały na Barrie. Najtrudniej było zdobyć wodę, nie miał przecież ze sobą żadnego pojemnika. Zwędził więc komuś czterolitrowy dzban, zatkany wielkim korkiem. W dzbanie było wino. Koran niby

zabraniał picia wina, ale jakoś osobliwie wszędzie było go w bród. Wino w dzbanie było stare, skwaśniałe. Wylał je na ziemię, wypłukał dzban i napełnił go wodą. Woda będzie miała, naturalnie, smak wina, ale to nieistotne. Ważnie, że będą mieli co pić.

Na ulicy przed domem nie było nikogo. Wykorzystał więc okazję i zamaskował trochę wejście do ich nory. Naniósł nieco kamieni, porzucił parę zmurszałych desek. Potem przeskoczył przez mur, doszedł do drzwi, wyjął je z futryny i wszedł do środka. Wstawił drzwi starannie na swoje miejsce, odwrócił się... i zachwiał się, jakby ktoś obuchem walnął go w głowę.

Barrie nadal spała. W pokoju było już bardzo gorąco. Więc skopała koc, a koszula podwinęła się jej prawie do pasa. Zane poczuł krople potu na czole. Wiedział, że po prostu powinien się odwrócić, a przedtem starannie przykryć Barrie kocem. A on stał i gapił się, a wszystko w nim dygotało z pożądania. Jego wzrok badał jej ciało, centymetr po centymetrze, a on sam czuł, że jeszcze nigdy w życiu nie pragnął tak żadnej kobiety. Po prostu cały dygotał. Zaciśnął zęby. Do diabła! Przecież zawsze potrafił się opanować! Przykucnął i złożył na posadzce ukradzione rzeczy. A w środku aż go rozrywało. Nie, nigdy by nie przypuszczał, że tego rodzaju frustracje mogą być aż tak bolesne. Dotychczas nigdy nie miał kłopotu ze zdobyciem kobiety, ale ta kobieta była szczególnym przypadkiem. Jej nawet nie wolno było tknąć. Ta kobieta będzie się bronić desperacko przed każdym mężczyzną, nawet przed swoim wybawcą.

Przykląkł i obciągnął jej koszulę, zasłaniając tę oszałamiającą kobietą nagość. Jego dłonie chyba jeszcze nigdy tak nie drżały. Był przecież twardym facetem, twardym jak skała i w najbardziej niebezpiecznej walce wykazywał się żelaznym opanowaniem. Wyskakiwał ze spadochronem z płonącego samolotu, pływał razem z rekinami, kiedyś sam zaszły sobie ranę. Ujeżdżał najdziksze konie, parę razy zakosztował przyjemności jazdy na byku. I zabijał... zabijał... zabijał.

Wszystko to robił z żelaznym opanowaniem. A na widok śpiącej rudowłosej kobiety drży jak osika?

W końcu udało mu się odwrócić oczy. Podniósł z ziemi słuchawki, nałożył, włączył radio. Jedno kliknięcie, natychmiast usłyszał dwa.

A więc wszystko w porządku.

Może trochę wody go ostudzi. Wrzucił parę tabletek dezynfekujących do dzbana. Smaku wody to nie poprawi, ale ostrożność nie zawadzi. Pił łąpczywie, pragnąc ulżyć obu swoim pragnieniom. Potem usiadł na podłodze, oparł się plecami o ścianę. Teraz mógł zrobić tylko jedno. Siedzieć tak i kontemplować brudne, obdrapane ściany. Bo na Barrie spoglądać mu nie wolno. Skoro przestał już być panem samego siebie...

Barrie obudziły jakieś głosy, pokrzykiwania. I zdawało się, że bardzo blisko. W jednej sekundzie usiadła, prosto jak świeca, i w tym samym momencie poczuła żelazną obręcz czyjegoś ramienia. A na ustach dłoń. Przerazona jeszcze bardziej, zaczęła się szarpać, chciała ugryźć tę dłoń, ale nie mogła otworzyć ust. Silne palce wpiły się w jej szczęki, koło ucha usłyszała znajomy szept:

- Ciii...

Zane.

Poczuła niewysłowioną ulgę, tak wielką, że zabrała jej resztki sił. Czują, że jej ciało mięknie, całe napięcie znika. Zane uniósł delikatnie jej twarz, spojrzał w oczy. Były już całkowicie przytomne. Skinął leciutko głową i odsunął dłoń. Jego palce delikatnie przesunęły się po jej policzku, jakby chciał przeprosić, że użył wobec niej siły. Nie była to żadna pieszczota, zaledwie muśnięcie. A ona zadrżała i instynktownie odwróciła głowę.

Zauważył, że zadrżała i natychmiast uścisk jego ramienia zelżał. Ale tylko na moment, bo donośne głosy słyhać już było tuż przed domem. Towarzyszył im jakiś łomot i odgłos kruszonych kamieni. Pokrzykiwali bez przerwy. Barrie wyteżyła słuch. Czyżby znowu ci, których słuchała w czasie tych koszmarnych godzin- Nie, to nie oni. I nie rozumie ani słowa. Wyuczono ją języków, odpowiednich dla córki ambasadora. Francuski, włoski, hiszpański, a kiedy ojca wysłano do Grecji, zaczęła pobierać lekcje greckiego. A teraz gorzko żałowała, że nie uczyła się arabskiego. Te godziny w rękach porywaczy były koszmarem, a fakt, że nie rozumiała ich, sprawiał, że czuła się jeszcze bardziej bezradna, bardziej osamotniona.

Wolałaby umrzeć, niż po raz drugi przeżywać ten koszmar.

Musiała być bardzo spięta, bo Zane ścisnął ją leciutko, jakby chciał

podtrzymać na duchu. Spojrzała na niego, a on wcale na nią nie patrzył, skoncentrowany na tych kruchych drzwiach, na wpół zmurszałych, jedynych drzwiach, które broniły dostępu do ich kryjówki. Ale jego twarz była spokojna, nie było widać wzmożonej czujności.

Nagle uświadomiła sobie, że on przecież zna arabski, rozumie, co ci ludzie wykrzykują. Nie traktuje ich jak wrogów, ale na pewno nie życzy sobie, żeby wchodzili do jego kryjówki. Jeśli tak się stanie, on ten problem rozwiąże po swojemu.

Ludzie na zewnątrz niestrudzenie kręcili się koło domu, ich głosy zbliżały się i oddalały. Kiedy słyhać je było niebezpiecznie blisko, Zane unosił ten duży pistolet i celował w drzwi. Barrie jak urzeczona wpatrywała się w silną dłoń, która tak wiele potrafiła. Dłoń zrosniętą niemal z tym pistoletem.

W pokoju słyhać było tylko szmer oddechów. Barrie zauważyła, że koc leży obok, ale koszula, chwała Bogu, zakrywa, co potrzeba. Pod tym kocem musiało być jej za gorąco. Czas włókł się leniwie, ciepło i cisza hipnotyzowały, wprowadzały w stan półsnu. Pot spływał po twarzy Zane'a i wsiąkał w czarny T-shirt. A Barrie, przytulona do jego boku, nagle poczuła się bardziej bezpieczna, niż gdyby ich kryjówka skonstruowana była z najtwardszej stali, a nie z kruszejących kamieni, gipsu i zmurszałego drewna.

Nigdy przedtem nie zetknęła się z takim mężczyzną. Naturalnie, że znała iluś tam wojskowych - pułkowników, generałów, admirałów i innych oficerów wysokiej rangi, pełniących rozmaite funkcje w ambasadzie. Ambasady pilnowali żołnierze z Marynarki Wojennej, żołnierze w nieskazitelnych białych mundurach, o nienagannych manierach. I na pewno najlepsi, innym nie powierzono by tak ważnego zadania. Ale oni też nie dorównywali temu ciemnowłosemu mężczyźnie, który teraz obejmował ją ramieniem. Oni byli żołnierzami, a on był wojownikiem. Różnili się od niego, jak scyzoryk od złowrogiego czarnego noża Zane'a.

Po długim, długim czasie głosy na zewnątrz domu zaczęły się zdecydowanie oddalać i w końcu umilkły. Zane puścił Barrie i podszedł do drzwi. Podszedł jak tygrys z dżungli, skradający się na aksamitnych łapach, a nie jak prawie dwumetrowy żołnierz w

solidnych butach. Nasłuchiwał przez chwilę i Barrie dojrzała na jego twarzy odprężenie.

- Co oni tam robili? - spytała, starając się, aby jej głos był jak najcichszy.

- Zbierali odpady, wszystko, co można wykorzystać. Płyty, kamienie, deski w dobrym stanie. Gdyby mieli ze sobą młot kowalski, zaczęliby na pewno obłupywać kamień ze ścian. Ładowali to wszystko na taczki. Kto wie, czy jutro tu nie wrócą.

- Co zrobimy?

- To samo, co teraz. Przyczaimy się.

- A jeśli oni tu wejdą i....

- To ja ich załatwię - uciał, zanim zdążyła dokończyć zdanie. — Przyniosłem wodę i coś do jedzenia. Chcesz?

Barrie zaczęła skwapliwie podnosić się z podłogi.

- Woda! A mnie tak strasznie chce się pić! Ale...

Nagle znieruchomiała. I dokończyła głosem rozżalonego dziecka:

- Ale jeśli się napiję, to potem, rozumiesz, będę musiała... wyjść. I dokąd ja tu pójdę?

W jasnych oczach Zane'a pojawiła się iskierka rozbawienia.

- Coś się wymyśli, możesz pić bez ograniczeń. Przyniosłem ci też ubranie. Ale myślę, że teraz się jeszcze nie przebieraj. Jest za gorąco.

Podniósł z ziemi duży dzban i wyjął korek.

- Smakuje trochę dziwnie - ostrzegł. - Wrzuciłem tabletki dezynfekujące.

Rzeczywiście, woda smakowała dziwnie, była ciepła i czuło się w niej chemię. Ale to była woda! Barrie powoli wypila kilka łyków i zrobiła króciutką przerwę, żeby uniknąć skurczów wyposzczonego żołądka. Tymczasem Zane zaczął wyjmować z chusty jedzenie, które udało mu się zdobyć. Bochenek trochę już zeschniętego chleba, duży plaster sera, kilka pomarańczy, garść rodzynek i daktyli. Czyli była to prawdziwa uczta.

Rozłożył koc, aby Barrie mogła na nim usiąść, wyjął nóż, odkroił kawałek chleba i podał jej. Ona natychmiast zaczęła protestować, że jak to, tylko kawałek, przecież ona jest straszliwie głodna. A potem ucichła, czując, że robi jej się potwornie wstyd, bo przecież to, co on

przyniósł, musi wystarczyć dla obojga, i to na cały dzień, a może nawet na dłużej.

Nigdy nie przepadała za serem, a tego konkretnie, gdyby nie była tak głodna, na pewno nie wzięłaby do ust. Teraz wydał jej się specjałem, a tak prosta czynność, jak przeżuwanie, dawała jej niebywałe zadowolenie. Potem okazało się, że przeceniła swoje możliwości. Mała porcja, jaką dostała, to i tak było aż nadto.

Zane zjadł pierwszy i obrał pomarańczę. Nalegał, aby Barrie zjadła kilka cząstek i popiła wodą. Barrie zjadła jedną cząstkę, ziewnęła i odmówiła zjedzenia drugiej.

- Dziękuję, już się najadłam.

- Może chcesz się teraz odświeżyć? Zielone oczy Barrie rozblęskły.

- Naprawdę?- A czy tej wody wystarczy?

- Wystarczy, żeby namoczyć bandankę. Ona, naturalnie, nie miała żadnej bandanki. On, oczywiście, miał. Wylał trochę wody na kolorowy kawałek płótna, podał jej, a sam dyskretnie odwrócił się i zaczął robić porządek w kieszeniach swojej kamizelki.

Barrie powolutku przecierała twarz, wzdychając z rozkoszy, kiedy jej skóra zaczęła odzyskiwać świeżość. Popatrując czujnie na szerokie plecy Zane, szybciotko wsunęła rękę pod koszulę i przetarła sobie tors. A potem uda i całe nogi.

- Skończyłam - powiedziała, oddając mu szmatkę. - Było cudownie, dzięki.

I nagle jej serce podskoczyło, bo Zane wcale nie miał zamiaru odmówić sobie tej samej przyjemności, tyle że bez żadnego dyskretnego sięgania pod T-shirt. Ściągnął go przez głowę, nalał trochę wody na szmatkę i zaczął nią jeździć po twarzy, potem po gigantycznym torsie.

Za szmatką podążały oczy Barrie, wręcz napawając się widokiem jego muskularnego ciała. Cudowne płaty mięśni na szerokiej piersi i płaskim brzuchu, pokryte brązową lśniącą skórą, napinały się przy każdym ruchu. A plecy, kiedy się odwrócił, sięgając po coś, były równie fascynujące - olbrzymia brązowa płaszczyna, przecięta głęboką krechą kręgosłupa. Na lewym policzku dojrzała bliznę, jakieś dwa centymetry. Nie zauważyła jej wcześniej, jego twarz była

przecież pomazana farbą. Teraz dostrzegła srebrzysty paseczek, jakby ślad po precyzyjnym cięciu chirurgicznym. Druga blizna, wzdłuż żebra, była o wiele dłuższa, musiała mieć ze dwadzieścia centymetrów. Ta blizna była gruba, szpecąca. I jeszcze dwie blizny, okrągłe, pomarszczone, jedna tuż nad talią, druga pod prawą łopatką. Rany od kul. Nigdy ich przedtem nie widziała, ale domyśliła się, że takie rany muszą właśnie tak wyglądać. Na prawym bicepsie widniał ślad po cięciu. Zresztą, Bóg jeden wiedział, ile tam jeszcze było blizn na tym wielkim, pokiereszowanym ciele. Ślady po walkach. Wojownicy nie mają jedwabnego życia.

Tak. Był wojownikiem, a ona stała i bezczelnie napawała się jego męskością, co przecież jest teraz zupełnie bez sensu.

Nieco oszołomiona, przysiadła pod ścianą, sprawdzając odruchowo, czy koszula zasłania to, co trzeba. Oparła głowę o ścianę i przymknęła oczy. W jej głowie, zmęczonej, otumanionej, zaczynały się jednak krystalizować bardziej konkretne, jasne myśli. I pytanie, na które chciałyby uzyskać odpowiedź.

Dlaczego ją porwano?- Dlaczego bito i poniżano? Dlaczego jeden z tych obrzydliwców tą swoją łamaną angielszczyzną straszyl ją gwałtem? Następnego dnia, kiedy przyjedzie on, ich przywódca. Ten, który zlecił porwanie...

Dlaczego? Dla okupu? Chyba nie. Owszem, jej ojciec jest bogaty, ale większość dyplomatów pochodzi z zamożnych rodzin i wielu z nich jest bogatszych niż ambasador Lovejoy. Może skusili się, wiedząc, że zadanie będzie łatwiejsze, bo ambasador bardzo kocha swoją córkę i zrobi dla niej wszystko.

Nie, tu nie chodzi o pieniądze. Nikt nie wywoziłby jej wtedy do odległego kraju. Po co? Żeby utrudnić sobie pertraktacje i odbiór pieniędzy? Nie. Okup, nawet jeśli porywcze go zażądają, nie jest ich głównym celem. W takim razie co? Albo kto? Ona sama? Czyżby tym przywódcą był ktoś, kto ją zna? Jakiś psychopata, który kazał sobie sprowadzić Barrie Lovejoy aż z Aten... Bzdura. Nie pozwoliliby wtedy, żeby jego ludzie ją lżyli. A poza tym... Barrie, mimo woli, uśmiechnęła się smętnie. Panna Lovjoy nie jest typem kobiety doprowadzającym mężczyzn do szaleństwa. Żaden z panów,

z którymi zdarzyło jej się umówić, nie sprawiał wrażenia, że ma na jej punkcie obsesję.

Może chcą od niej coś wyciągnąć, jakąś informację? Ale co to mogłoby być? Nigdy nie była wtajemniczana w sprawy poufne. Wiedziała tylko, który z pracowników ambasady pracuje w CIA, i to wszystko. Ojciec często prowadził rozmowy z Artem Sandeferem, a ostatnio i z Mackiem Prewettem. Sandefer sprawiał na Barrie wrażenie raczej biurokraty, a nie szpiega, choć jego przenikliwe, inteligentne oczy świadczyły, że na temat wywiadu na pewno ma wiele do powiedzenia.

Ale Mack Prewett wzbudzał w niej inne odczucia. Nigdy nie czuła się swobodnie w jego towarzystwie. Ojciec mówił, że Mack jest człowiekiem nieskazitelnym, ona jednak nie była tego pewna, choć na czarny charakter Prewett też nie wyglądał. Ale było w nim coś dziwnego, niepokojącego. Mack Prewett... Nagle przypomniała sobie pewne zdarzenie sprzed paru tygodni. Weszła do gabinetu ojca bez pukania, pewna, że jest sam. A tam był Mack Prewett i ojciec właśnie wręczał mu grubą jasnożółtą kopertę. Obaj panowie sprawiali wrażenie dziwnie skrępowanych, ale nie na darmo ambasador Lovejoy był wytrawnym dyplomata. Powiedział coś miłego i zakłopotanie znikło. Mack Prewett uprzejmie się pożegnał i wyszedł. Naturalnie, z tą kopertą.

Żółta koperta. Ta koperta stała się nagle dla niej bardzo istotna. Co w niej było? Jakież informacje, które ojciec przekazywał Mackowi? Czyżby on i Mack... pracowali dla kogoś? Nie. To tylko jej przeczulona wyobraźnia podsuwa jej takie nedorzeczne pomysły. Ta koperta na pewno nie miała żadnego znaczenia. A może ten pomysł wcale nie jest taki nedorzeczny. Ojciec, ze swoim doświadczeniem i kontaktami, jest skarbnicą informacji. Ktoś chciał do niej sięgnąć i porwał ambasadorowi córkę, żeby go szantażować. A może ta żółta koperta ma jednak jakieś znaczenie? Może ojciec i Mack współpracują ze sobą, prowadzą jakąś grę, a porwanie Barrie jest tego konsekwencją? Nie wierzyła, że ojciec byłby w stanie zdradzić swój kraj, owszem, był trochę snobem i egoistą, ale na pewno człowiekiem honoru i patriotą.

Chociaż teraz, w czasie tych koszmarnych przeżyć, wszystko

wydawało się jej możliwe. Jedno jest jasne. Jeśli porywacze chcą okupu, to po ucieczce Barrie machną na wszystko ręką. Ale jeśli nie chodzi tylko o okup, będą ją ścigać, będą chcieli za wszelką cenę znów ją porwać.

- Gdzie my jesteśmy? - spytała cicho.

- Niedaleko portu.

- Ale w jakim mieście?

- W Ben Ghazi, w Libii. Libia. Potrzebowała sekundy, aby zaakceptować ten zdumiewający fakt. Libia... Dziś do Libii miał przylecieć ten przywódca porywaczy. Skąd? Z Aten? Jeśli był w stałym kontakcie ze swymi ludźmi, to już wie, że panna Lovejoy zdołała uciec. A jeśli ma dostęp do ambasady, to wie również, że panna Lovejoy do ambasady nie wróciła. Czyli, logicznie rozumując, panna Lovejoy przebywa jeszcze na terenie Libii. I ten ktoś nie spocznie, dopóki nie odnajdzie panny Lovejoy.

Spojrzała na Zane'a. Oczy miał półprzymknięte, jakby przysypiał. Wiedziała już, że to tylko pozory. On pozwala odpocząć tylko swemu ciału, umysł pracuje nadal.

Po upokorzeniach, jakich doznała od porywaczy, ten mężczyzna od pierwszej chwili działał na nią jak balsam. W duchu postrzegała go jako mocarnego wojownika. Wyciszył ją, dodawał otuchy, stwarzał poczucie bezpieczeństwa. I w pewnym momencie przestała widzieć w nim tylko wybawcę i podporę. Zobaczyła w nim odważnego, wspaniałego mężczyznę. Dokładne przeciwieństwo tamtych bandziorów.

A teraz pewnie szukają jej po całym mieście... I nie można wykluczać tego, że ją znajdą... I znów będą okrutni... bezwzględni. I któryś z nich, jako pierwszy, weźmie ją siłą... I będzie jej pierwszym mężczyzną...

Barrie nie przeżyła jeszcze ani porywów serca, ani ciała. W szwajcarskiej szkole panienki trzymano raczej krótko i niewiele było okazji do spotkań z chłopcami. Ci, z którymi się spotykała, nie byli zbyt ciekawi. Później sytuacja niewiele uległa zmianie. Krępowała ją nadopiekuńczość ojca, bardzo dużo czasu zajmowały jej służbowe bankiety, na których obowiązkowo towarzyszyła ojcu. Jej własne życie towarzyskie było bardzo ograniczone, a nieliczni mężczyźni, z

którymi zdarzyło jej się umówić, byli tak samo nieciekawi jak tamci chłopcy ze Szwajcarii. Dodając do tego jeszcze powszechny strach przed AIDS... Jednym słowem, Barrie uważała, że nie warto ryzykować żadnego niezobowiązującego, krótkiego romansu tylko po to, aby zdobyć doświadczenie.

Ale marzyła. Naturalnie. O mężczyźnie, do którego jej miłość będzie z każdym dniem coraz większa... Miała takie proste, uniwersalne marzenie.

Gdyby porywacze dręczyli ją jeszcze dłużej, to marzenie na pewno by umarło. Uraz byłby zbyt wielki. Nigdy nie byłaby w stanie pokochać, nigdy nie pozwoliłaby, żeby jakikolwiek mężczyzna jej dotknął. Jeśli porywacze znajdą ich i zabiją Zane'a, jej pierwszym seksualnym doświadczeniem będzie gwałt. O, nie, na to nie mogła pozwolić!

Barrie wstała z podłogi i wolno podeszła do Zane'a. Stała nad nim, wlepiła w niego te swoje ogromne zielone oczy i szepnęła:

- Kochaj się ze mną, Zane, proszę.

ROZDZIAŁ PIĄTY

- Barrie...

Czyli chce odmówić...

- Nie! - krzyknęła. - Tylko mi nie mów, że powinnam się zastanowić! I czy naprawdę tego chcę! Tylko ja jedna wiem, co przesłama. I powtarzam. Oni mnie nie zgwałcili. Oni się na mnie gapili i dotykali mnie... wszędzie, a ja nie mogłam niczego zrobić... Zane, ja nie jestem głupia. Wiem, że dalej grozi nam niebezpieczeństwo. Wszystkim. Tobie, mnie, twoim ludziom. Chcecie mnie uratować, a w każdej chwili któryś z was może zostać ranny, a nawet zabity. A ja... ja jeszcze nigdy... Rozumiesz? Nigdy jeszcze nie byłam z żadnym mężczyzną. Z żadnym. A w każdej chwili mogę znów wpaść w ich łapy... Zane... Ja chcę, żeby ten mój

pierwszy raz był z tobą...

Zdażyła już się przekonać, że Zane Mackenzie ma stalowe nerwy, a jego twarz potrafi być jak maska. Ale tym razem jego zdumienie było tak wielkie, że nie potrafił tego ukryć.

Oderwał się od ściany, usiadł prosto. I spod przymrużonych powiek przyglądał się Barrie.

- Zane... ja przysięgam. Oni mnie nie zgwałcili. Ja... ja nie złapałam od nich żadnej choroby. Bo może ty się tego boisz...

- Nie.

Jego głos był lekko zachrypnięty i jakiś dziwnie nieswój.

- Zane, nie każ mi siebie długo prosić...

Prosić? Wielki Boże, przecież ona go błaga. Jasne oczy złągodniały.

- Nie, ja tego nie zrobię - powiedział, podrywając się z ziemi z tą swoją kocia zručnością.

Stał, taki przytłaczająco duży i Barrie, na moment, przeraziła się swych zamiarów. Ale nie, nie, ona chce tego rozpaczliwie...

Jasne szaroniebieskie oczy przez chwilę wpatrywały się w nią, potem w tych oczach coś błysnęło.

Podszedł do miejsca, gdzie leżał niedbale rzucony koc. Rozłożył go starannie, nawet wygładził. Ułożył się na nim, wygodnie, na plecach. I znów spojrzał na Barrie. Na pewno miał niewiele ponad trzydzieści lat, ale jego oczy były... takie mądre. Jakby zobaczyły wszystko, co człowiek powinien zobaczyć. I rozumiały, dlaczego wystąpiła z tak nieprawdopodobnym, desperackim i gwałtownym żądaniem. Ona nie tylko pragnie, żeby ten pierwszy raz był z mężczyzną, którego wybrała. Chodzi jej o coś więcej. O coś, co ci porywacze jej ukradli, kiedy bili ją, dręczyli i poniżali, a ona była tak rozpaczliwie bezradna. A Zane mógł jej to teraz zwrócić. Pewność siebie, wiarę w siebie i zaufanie do mężczyzn. Dlatego dawał jej siebie. Był do jej całkowitej dyspozycji. Jakby wyczuł, że ona nie chce leżeć bezradnie pod nim, chce panować nad wszystkim, chce decydować, chce narzucić własny rytm.

Barrie wstrzymała na moment oddech. Pómagie ciało mężczyzny, rozgrzane i opalone, kusilo i kazało zapomnieć o zdenerwowaniu. Opadła na kolana, jej palce delikatnie przesunęły się po wspaniale

umięśnionej piersi i twardym brzuchu. Jakby głaskała tygrysa, świadoma, że to zwierzę może być niebezpieczne, ale i fascynujące. Zapra gnęła całą siłę tego ciała poczuć pod swoimi dłońmi. Wodziła palcami po bogactwie splotów mięśni, ugniatała je leciutko, wyczuwała głu che uderzenia serca, kładła rękę na jego piersi i patrzyła, jak jej dłoń unosi się i opada. Jego serce i oddech zdawały się być szybsze niż normalnie. Spojrzała na twarz Zane'a i w jego oczach, do połowy przesłoniętych ciężkimi powiekami, zobaczyła żar. Żar pożądania. A ona, składając swoją nieprawdopodobną propozycję, w ogóle tego nie brała pod uwagę.

Speszyla się, jej ręce opadły bezradnie. Wtedy on się uśmiechnął. Znie walająco.

- Chyba ja się tym zajmę - mruknął. - Bo nic z tego nie będzie.
- Nie!

Chwyciła jego wielkie dłonie, odrzuciła w tył obie mocarne ręce, ułożyła daleko, za jego głową.

- Ja! Ja to zrobię - powiedziała bardziej żarliwie, niż zamierzała. Przecież to... to miała być jej inicjatywa...

- W porządku.

Rozłożył się wygodniej, zamknął oczy, jakby szykowa ł się do drzemki.

Tak było lepiej. Czula się pewniej, kiedy jej nie obserwował. A Barrie nie chciała okazać się jeszcze bardziej niedoświadczona, niż była w istocie. Dlatego zanim rozpięła klamrę jego paska, przyglądała się jej przez chwilę z wielką uwagą. Rozpięła szybko, jakby znała się na rzeczy. Potem, nie pozwalając swoim nerwom dojść do głosu, rozpięła spodnie. I zobaczyła klasyczne spodenki kąpielowe. Naturalnie, czarne. Ta klamra... i te spodenki... Przez sekundę patrzyła zdumiona i nagle pojęła. On był z SEAL-u*, jednostki specjalnej, gdzie żołnierzy szkoli się do walki na morzu, łądzie i w powietrzu. Na pewno potrafił przepłynąć duży dystans. Ben Ghazi jest portem, a więc Zane i jego ludzie musieli dostać się do miasta od strony morza. Przyplłynęli statkiem, który zatrzymał się w odpowiedniej odległości od brzegu i resztę drogi pokonali wplaw albo jakąś łódką.

Rzykował swoim życiem, żeby ją uratować. I dalej to robił. A

teraz oddawał jej swoje ciało. A w niej wszystko było spięte i drżące. O, Boże! W ciągu ostatniej doby nauczyła się o sobie więcej niż w ciągu dwudziestu pięciu lat swego życia. Może to straszliwe doświadczenie tak ją zmieniło?

Przez piętnaście lat ojciec trzymał ją pod kloszem, ale teraz ślepy los zdarł z niej opiekuńczy kokon, a ona, jak motyl, wyfrunęła z jedwabnej przędzy, żeby zmierzyć się z nieznanym...

Wsunęła ręce pod pasek spodenek, zaczęła ściągać i spodenki, i spodnie.

Zane uniósł nieco biodra, żeby jej ułatwić zadanie.

- Nie ściągaj do końca - mruknął, nie otwierając oczu.

Dłonie Barrie lekko musnęły jego pośladki. Poczowała dziwny dreszcz. Dreszcz przyjemności. Te pośladki były takie gładkie i twarde. A poza tym... poza tym zobaczyła coś, co zachwyciłoby największą koneserkę.

Ściągnęła spodnie i spodenki do połowy ud. Zane z powrotem opuścił biodra na koc.

A Barrie jak zahipnotyzowana patrzyła na tego zdumiewająco realnego nagiego mężczyznę. Co innego czytać w książkach, a co innego zobaczyć to na własne oczy...

**SEAL - sea, air, land (ang.) - morze, powietrze, ląd.*

Wyciągnęła rękę i ostrożnie dotknęła obrzmiałego członka. Potem leciutko przesunęła palcem w dół, czując jego ciepło i pulsowanie. Jakby odpowiadając na jej pieszczotę, Zane wyjątkowo głośno wciągnął w płuca powietrze. A ona poczuła pożądanie przelewające się przez jej ciało jak rzeka, wypływająca z niej gniewną determinację.

Tu nie ma miejsca na gniew. Oni mają się kochać.

Usiadła na nim okrakiem. Znikł gniew na mężczyznę w ogóle, znikł najmniejszy odcień desperacji. Tylko przyjemność, pełna ciepła.

Jej kolana przywarły do jego bioder. Zane zadrzał, potem znieruchomiał. Leżał bez ruchu między jej nogami, oczy miał nadal zamknięte. Bezwolny, pozwalający jej na całkowicie własny rytm.

Czuła wokół piersi dziwną obręcz, jej oddech był płytki, szybki. Piersi pod czarną koszulą stwardniały.

Uniosła się na kolanach i ostrożnie opadła na pulsującą kolumnę. Dyskomfort pojawił się prawie natychmiast, i to większy, niż się spodziewała. Znieruchomiała na chwilę, starając się powstrzymać płacz i próbując powstrzymać naturalny odruch, aby uciec od źródła bólu. Zane oddychał ciężko, zauważyła to, choć był to jedyny ruch, jaki wykonywało jego ciało.

- Pomóż mi - powiedziała ledwo dosłyszalnym szeptem.

Uniół powieki, a ona drgnęła, ujrawszy w jego oczach tyle żaru. Podniósł rękę i delikatnie dotknął jej policzka. Stwardniałe koniuszki palców były nieskończenie czułe. Przesunął nimi wzdłuż jej szyi, dotknął przez koszulę piersi i przesunął rękę w dół, ku jej nogom. Pieszczota była leciutka. Delikatna, jak szept. Jego palce wsunęły się między jej nogi, głaskały, drażniły. Barrie zastygła. Jej ciało uniesione w powietrzu chłonęło nowe doznanie. Oczy miała zamknięte, cała skoncentrowana na ruchach jego dłoni i na tym, co ta dłoń robiła, i jak to robiła. I nagle jej ciało rozkołysało się w odwiecznym rytmie pożądania. Było jak fala, która wzbiera, przypląwa do brzegu i cofa się, i znów wzbiera i płynie do przodu. Czowała, że Zane wsuwa się w nią coraz głębiej, napiera, rozpycha... Znów poczuła dyskomfort, ale pożądanie wzrastało, kazało jej pragnąć, aby on, mimo bólu, wszedł w nią do końca.

Unosiła się teraz i opadała. Raz, drugi, trzeci, dopóki nie zapomniała o bólu i nie oddała się tej prastarej radości płynącej z cielesnej rozkoszy. Ręka Zane'a pieściła, ponaglała. Żar przeradzał się w największą, trudną do zniesienia gorączkę. Nagle poczuła, że zaraz się rozpadnie, jeśli poruszy jakimkolwiek mięśniem. Jęknęła i znieruchomiała, niezdolna pokonać sama tej ostatniej przeszkody.

Z jego gardła wydobył się zduszony pomruk. Jakby przemówił wulkan. Opanowanie znikło. Chwycił ją obiema rękoma za biodra i pociągnął mocno w dół. Potem wygiął się w łuk. I uderzył sobą, jakby sięgał środka jej ciała. Odczucie było elektryzujące. Barrie stłumiła krzyk. A Zanem wstrząsały konwulsje. Głowa odrzucona w tył, na szyi grube sploty żył. Poczuła gorącą strugę, czuła, jak jej mięśnie zaciskają się i rozluźniają. I usłyszała swój krzyk, krzyk ekstazy, którego nic nie mogło powstrzymać.

Namiętność przeszła. Ciało Barrie zmieniło się w galaretę. Złożyła

się, jak domek z kart, i opadła na pierś Zane'a. Objął ją ramionami. Dyszała ciężko. Nie, nie miała zamiaru płakać. Ale jej łzy same popłynęły szerokim strumieniem.

- Zane... Duża twarda dłoń pogłaskała ją po plecach.

- W porządku - wymruczał. W jego głębokim głosie było coś bardzo intymnego i wyczuć można było satysfakcję. Męską satysfakcję.

- Tak - odparła Barrie cienkim, drżącym głosem. -Ja... ja nie wiedziałam, że to tak boli... i że to potem jest takie... takie wspaniałe!

Pląkała z obu tych powodów. Niedobrze, że nie była przygotowana na ból i na tak nieprawdopodobną przyjemność. Czuła się oszołomiona, roztrzęsiona. A ona, głupia, wyobrażała sobie, że zapanuje nad tak intymnym aktem i będzie kontrolować swoje emocje!

Przecież ona zakochała się... To zaczęło się wtedy, kiedy Zane oddał jej swoją koszulę. Już wtedy, mimo tamtego koszmaru, jej serce drgnęło i zaczęło łgnąć do tego dużego, dobrego mężczyzny. I gdyby potem, w świetle dnia, okazało się, że twarz Zane'a jest brzydka, albo zeszpecona przez blizny, nic by to nie zmieniło.

Psycholog określiliby to jako syndrom „białego księcia”, że niby to w pewnych okolicznościach przypisujemy komuś nadzwyczajne cechy. Pacjentki, jak świat długi i szeroki, zakochują się w swoich lekarzach. A Zane był dla niej właśnie takim „białym księciem”, uratował ją przecież przed gwałtem, przed niechybną śmiercią. Wdzięczność jest tu czymś naturalnym. Ale ona go przecież pokochała. Mężczyznę, który jak kot wślizguje się przez okno...

Leżała na nim cichutko, jej głowa spoczywała w zagłębieniu jego ramienia. Słyszała, jak w jego piersi dudni serce, czuła, jak ta pierś podnosi się i opada. Jego gorący, piżmowy zapach podniecał ją bardziej niż najdroższe męskie wody toaletowe. A leżąc przy nim na kocu, w jakiejś arabskiej ruderze, czuła się jak w domu, lepiej niż we własnym domu, luksusowym i pilnie strzeżonym.

Nie знаła żadnych szczegółów z życia Zane'a. Nie wiedziała, ile dokładnie ma lat, skąd pochodzi, jakie programy ogląda w telewizji. Nawet nie wiedziała, czy jest żonaty.

Żonaty... Przecież ona go w ogóle o to nie zapytała! Nagle poczuła, że robi jej się słabo. Jeśli jest żonaty, a mimo to spełnił jej prośbę, to znaczy, że nie jest takim człowiekiem, za którego go uważała. Ale nie można tylko jego obarczać winą. Przecież to ona nalegała, błagała, żeby jej uległ. On miał wątpliwości. I może... może on to zrobił po prostu z litości? -Musi wiedzieć, czy nie popełniła jakiegoś monstrualnego głupstwa.

- Zane?- Czy ty jesteś żonaty?

Nawet nie drgnął, dalej leżał pod nią, rozluźniony, zadowolony. Jedna jego dłoń delikatnie przejechała po jej plecach i spoczęła na jej karku.

- Nie. I możesz zabrać swoje pazurki.

Nie zauważyła, że pochłonięta swoimi rozterkami, zatopiła w jego skórze swoje paznokcie.

- Och, przepraszam - powiedziała zawstydzona. — Nie chciałam sprawić ci bólu.

- Nie było tak strasznie - powiedział pogodnym głosem. - Trochę gorzej jest, kiedy trafi kula albo ciachną człowieka nożem. A jak kocica zadrapie, to da się wytrzymać.

Kocica! Nie wiedziała, czy śmiać się, czy obrażać. Żaden z jej znajomych nie użyłby takiego określenia. Wciąż słyszała, jaka to z niej dama, dystygowana, wytworna. No, a teraz okazało się, że jest kocicą. Zabawne.

Palce Zane'a delikatnie masowały jej kark, a druga ręka zsunęła się w dół i spoczęła władczo na jej pośladkach.

- Masz ładną pupę - mruknął. - Lubisz, jak się ją głaszczę?

Nie mogła temu zaprzeczyć. Podobało jej się ogromnie, ta gorąca dłoń na jej pośladkach. To było nieprawdopodobnie erotycznie.

- Barrie? No i jak? Zmory odeszły?

Tak. Stała się rzecz wspaniała. Jej kobieca duma i wrażliwość, boleśnie zranione, zostały jej zwrócone. I był to powrót triumfalny, dzięki przyjemności, jaką odczuła, kochając się z Zanem. Przyjemność? -Ten wyraz wydaje się mdły w porównaniu z tym, co przeżyła... Nawet słowo „rozkosz” czy „ekstaza” też nie wydają się właściwe.

- Tak. Zmory odeszły.
- No, to jeszcze jedno pytanie. Czy ty nie możesz rozstać się z tą cholerną czarną koszulą?

Aż usiadła ze zdumienia. Rzeczywiście cały czas miała na sobie jego czarną koszulę. Koszulę drogocenną, która nie pozwoliła jej załamać się, wpaść w histerię. To ta koszula pomogła jej biec na bosaka przez zaszczurzoną alejkę. Ta koszula była nie tylko kawałkiem materiału. Była symbolem. I potrzebowała jej nadal, aby ukryć swoje zmaltretowane ciało.

A Zane patrzył na nią. W jego spojrzeniu był spokój i wielka cierpliwość. Więc znów ją zrozumiał i zdawał sobie sprawę, czego od niej żąda. Ale żądał. Nie chciał poprzestać na tym, co już się między nimi wydarzyło. Chciał więcej. Chciał, żeby nie bała się go, żeby mu ufała, żeby była wobec niego szczerą i otwartą. Żadnych ciemnych sekretów, żadnych zasłon, żadnych czarnych koszul... I chyba... chyba znów zamierzał się z nią kochać. Jakby chciał, żeby teraz ona dała mu to samo, co on dał jej.

- Oni... oni zostawili na moim ciele ślady...
- Widziałem już niejednego siniaka.

Instynktownie podniosła rękę to swojej twarzy, a Zane zaczął rozpinąć jej koszulę. Zaprotestowała, ale to na nic się nie zdało. Rozpiął koszulę do samego końca, wsunął pod nią obie dłonie.

- To oni powinni wstydzić się za te cholerne siniaki, a nie ty.

Zamknęła oczy. I nie protestowała, kiedy ściągnął z niej koszulę. Teraz była naga. Czowała na skórze ciepłe, nagrzane upałem powietrze. Jak pieszczota. I tak samo pieściły ją jego palce, delikatnie muskając ciemne ślady na jej rękach, ramionach, piersiach i brzuchu.

- Teraz ty się połóż - szepnął.

Pomógł jej się ułożyć, nachylił się... i zaczął ją całować.

To był ich pierwszy pocałunek. A przecież oni już się kochali. Przez oszołomioną głowę Barrie przemknęła myśl, jedyna teraz i króciutka. Jakże mogła być tak głupia i w swoim erotycznym wstępie pominąć pocałunek! Pocałunek Zane'a Mackenziego był niebываły. Jego usta były takie ciepłe i spragnione... A z gardła Barrie wychodziły cichusieńkie... ni to pomruki, ni to westchnienia,

świadczące o niebywałym zadowoleniu.

Zane oderwał się od niej nagle, jego głowa opadła na koc.

- Barrie... mam jeszcze jedno pytanie.

- Co? - szepnęła, jeszcze otulona magią jego pocałunku.

Podsunięła się do niego, chwyciła wargami jego dolną wargę, potem zaczęła całować, cmokać w te wargi — jednym słowem, obsypywać go pocałunkami. A on śmiał się. Trochę inaczej niż wszyscy, dziwnie chrapliwie. Ten śmiech zachwycił ją, rozczulił, i poczuła się dumna. Bo ten mężczyzna na pewno śmiał się jeszcze rzadziej, niż się uśmiechał.

- Barrie, czy pozwolisz, żebym ja był na górze?

Teraz ona się zaśmiała, kryjąc głowę na jego ramieniu. Ale jej ciało już drżało z tęsknoty. Śmiała się, kiedy układał ją na plecach, przycichła, kiedy ułożył się na niej. Przecież wiedziała, że jest potężnym mężczyzną, ale teraz, kiedy leżała pod nim, ta różnica stawała się wprost nieprawdopodobna. I on, żeby jej nie zmiażdżyć, oparł się na łokciu. Ale i tak czuła na sobie kilogramy żelaznych mięśni.

Zane chwilę odczekał, jakby chciał się przekonać, czy ona akceptuje swoją bezbronną pozycję. Ale ona wcale, ale to wcale, nie czuła się bezbronna. Czuła się nieprawdopodobnie bezpiecznie. I uśmiechając się, oplótła ramionami jego szyję...

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Dzień mijał i w tym dniu nie było chyba ani jednej chwili, w której by się nie kochali lub nie odpoczywali - przed albo po. Barrie dała się wchłonąć całkowicie coraz bardziej rozpasanej zmysłowości, odkrywając w sobie namiętność równą namiętności Zane'a. A konieczność zachowania jak największej ciszy wzmagała tylko apetyt.

Broda Zane'a, leciutko drapiąca świeżym zarostem, przesuwała się po piersiach i brzuchu Barrie, tropiąc na jej ciele wszystkie siniaki. I wszystkim siniakom, każdemu z osobna, Zane składał czuły hołd.

- Powiedz, gdzie jeszcze cię skrzywdzili - mruczał cichutko - a ja postaram się to wszystko naprawić.

Na początku Barrie krępowala się, ale popołudniowe godziny mijały sennie, a Zane dostarczał jej tyle przyjemności, że ukrywanie czegokolwiek przed nim zaczęło jej się wydawać zupełnie bez sensu. I powoli, najpierw z oporami, potem coraz śmieiej, wyszeptywała mu, co oni z nią robili i gdzie.

- Tutaj? - pytał Zane. I niby robił to samo, ale to, co wtedy doprowadzało ją do wściekłości, teraz było najprawdziwszą przyjemnością. Pieścił ją, dopóki jej ciało nie zapomniało o tamtych obrzydliwych dotknięciach i dopóki nie zapamiętało cudownych dotknięć Zane'a.

Trzy razy, kiedy leżeli półsenni po kolejnej porcji miłości, Zane spoglądał na zegarek i sięgał po radio.

- Twoi ludzie?- - spytała, kiedy usłyszała podwójny sygnał.

- Tak. Teraz też się ukrywają. Spotkamy się, kiedy będzie bezpiecznie.

Popołudnie minęło, słońce nieco przygasło. Barrie nie była specjalnie głodna, ale Zane nalegał, aby koniecznie coś przełknęła.

Nałożył spodnie, a ona naciągnęła jego czarną koszulę i w tych strojach rozsiedli się na kocu. Zjedli chleb i owoce. Żadne z nich nie miało apetytu na ser. Woda, którą pili, była ciepła i nadal czuć w niej było chemikalia.

Potem po prostu siedzieli sobie, Barrie oparła się o ramię Zane'a i nagle poczuła lęk. Że z tym oto mężczyzną będzie musiała się rozstać.

Naturalnie, że chciała być znów wolna, bezpieczna i wrócić do cywilizacyjnych wygod. Ale to oznaczało koniec znajomości z Zanem, bo on ani razu nie wspomniał, że tę znajomość chciałby kontynuować. A gdyby tak się stało, gdyby jednak poprosił... Serce Barrie podskoczyło z radości, natychmiast jednak pojawiła się melancholia. Bo niby jak mieliby się widywać? Regularne spotkania są wykluczone. On przecież jest w SEAL-u i najczęściej robi to, o czym z nikim nie wolno rozmawiać. Ma na pewno jakąś bazę, z której wyrusza na kolejne akcje. W każdej chwili może stracić życie.

Gdyby byli razem, ona nieustannie drżałaby o niego, ten strach doprowadzałby ją do szaleństwa. Ale zniosłaby wszystko, byleby tylko mogła się z nim widywać. Po to, aby stali się sobie bliżsi. Bo między nimi wszystko dzieje się w odwrotnej kolejności. Zwykle ludzie stopniowo poznają się coraz lepiej, rodzi się sympatia, która z czasem może przerodzić się w miłość. A ona i Zane, prawie się nie znając, zostali kochankami.

Kiedy wróci do domu, musi porozmawiać ze swoim ojcem. No tak. Teraz ojciec na pewno szaleje z niepokoju, ale kiedy Barrie w końcu wróci do domu, jego obsesja na punkcie córki będzie jeszcze większa. Ale jeśli Zane dalej będzie jej pragnął, ona, po raz pierwszy w życiu, z rozmysłem zrani uczucia ojca. Ojciec przyzwyczał się, że jest dla niej najważniejszy. Większość rodziców z radością wita zmiany w życiu swoich dorosłych dzieci, ale Barrie wiedziała, że niezależnie od tego, w kim się zakocha, ojciec i tak będzie przeciwny. Według niego, żaden mężczyzna nie jest godzien jego córki. Ojciec nie będzie ukrywał rozgoryczenia, że teraz zostanie sam. A sytuacji wcale nie ułatwiał fakt, że była nadzwyczaj podobna do swojej zmarłej matki. Mimo że ojciec prowadził dość ożywione życie towarzyskie jako ambasador, po śmieci żony nadal pozostawał samotny. Bo w swoim życiu kochał tylko jedną kobietę. Matkę Barrie.

Ale teraz wszystko musi się zmienić. Barrie szczerze kochała ojca, ale gdyby chciała zawrzeć prawdziwy związek z Zanem, wiedziała, że powinna wytworzyć większy dystans między sobą a ojcem, dopóki on nie zaakceptuje nowej sytuacji.

Potem nagle zrobiło jej się smutno. Pomyślała, że jest bardzo naiwna. Buduje zamki na lodzie, a powinna teraz myśleć tylko o tym, żeby jak najszybciej wydostać się z Ben Ghazi.

- Kiedy stąd wyjdziemy, Zane?

- Po północy. Kiedy ludzie pójda już spać. Odwrócił się do niej, spojrzął spod ciężkich, półprzymkniętych powiek. To było spojrzenie, które znaczyło, że znów jej pragnie. Zaczął powoli rozpinąć jej koszulę.

- Mamy przed sobą jeszcze wiele godzin - szepnął czule.

Potem leżeli obok siebie, bliźniutko, nie zważając na to, że nadal jest bardzo gorąco. I drzemali. Barrie nie wiedziała, jak długo, bo kiedy się obudziła, było ciemno, bardzo ciemno. Ale było zupełnie inaczej niż poprzedniej nocy, kiedy leżała zziębnięta i przerażona. Teraz jej głowa spoczywała na ramieniu Zane'a, a jedna jej noga przerzucona była przez jego biodra.

Barrie przeciągnęła się, ziewnęła i sięgnęła po dzbanek z wodą.

- Jak długo będziemy jeszcze czekać? - spytała.

Zane spojrział na świecący cyferblat zegarka.

- Jeszcze kilka godzin. A za kilka minut wyślę sygnał do kumpli.

Podawała mu dzbanek, napił się, potem znów ułożyli się obok siebie.

- Zane? A dokąd my pójdziemy?

- Spotkamy się z moimi ludźmi i razem wyjedziemy z miasta. Do umówionego miejsca. A tam ktoś nas odbierze.

Zabrzmiało to bardzo prosto. Przypomniała sobie, że Zane ma na sobie spodenki kąpielowe.

- Zane? Ale to umówione miejsce jest na stałym lądzie?

- No... może nie całkiem. Ale nie martw się, mamy „Zodiaka”, taki rodzaj pontonu z silnikiem. Z mojej grupy odpadło dwóch ludzi, jest nas teraz sześciu. No i jedno miejsce dla ciebie na pewno się znajdzie.

- Bardzo się cieszę.

Barrie ziewnęła i ułożyła się jeszcze wygodniej.

- Zane? A czy ty specjalnie kazałeś dwóm swoim ludziom zostać, żeby było miejsce dla mnie'?

- Nie. Dwóch odpadło, bo mieliśmy problem. A zjawiliśmy się tu tylko dlatego, że akurat mieliśmy ćwiczenia na lotniskowcu Montgomery. Byliśmy najbliżej i mogliśmy od razu wyruszyć. A trzeba było działać jak najprędzej.

Ton jego głosu zmienił się całkowicie. Był chłodny, urzędowy, Barrie wyczuła, że lepiej tych sprawnie drażnić. A jeśli pytać, to ostrożnie, i tylko o coś, co dotyczy jej osoby.

Zane sięgnął po nadajnik, odczekała chwilę i kiedy skontaktował się już z kolegami, spytała:

- A dokąd popłyniemy tym „Zodiakiem”?

- Wypłyniemy w morze - powiedział po prostu. - Podamy sygnał przez radio, przyleci po nas helikopter i zabierze nas na pokład lotniskowca Montgomery. I potem z tego lotniskowca polecisz do Aten.

- Zane? A ty? Dokąd ty polecisz?

- Nie wiem.

Nie wiedział albo nie chciał powiedzieć. Nie powiedział też, że na przykład zadzwoni do niej albo coś w tym rodzaju. Barrie zamknęła

oczy. Jego lakoniczna odpowiedź zraniła ją nadspodziewanie mocno. Ale postanowiła, że będzie przeżywać to później, teraz szkoda marnować tych ostatnich kilka wspólnych godzin. Niewiele kobiet w ogóle ma możliwość poznać Zane'a Mackenziego, a jeszcze mniej - pokochać go. A ona jest po prostu zachłanna. Zachciało jej się wszystkiego, podczas gdy ta odrobina, której doświadcza, to i tak więcej, niż on daje innym. I ona za tę odrobinę powinna być wdzięczna.

Zane leciutko dotknął jej piersi i spytał cicho:

- Humor ci się popsuł? Ale zechcesz mnie jeszcze raz?
- Tak - szepnęła.

Jakiż on jest niespożyty! To dlatego, że jest niebywale silnym mężczyzną. Los podarował jej tego mocarza tylko na kilka godzin. No cóż, los nie chciał być bardziej szczodry, trudno. Więc ona podczas tych kilku godzin weźmie jak najwięcej...

O umówionej godzinie opuścili rudere i znów zagłębili się w labiryncie nabrzeżnych uliczek i alejek. Tym razem jednak Barrie miała na sobie długą obszerną suknię, głowę owiniętą wielką czarną chustą. Pantofle były zdecydowanie za duże, zsuwały się jej z pięt, ale przynajmniej nie była na bosaka. Czowała się dość nieswojo, bo nagle miała na sobie ubranie, które szczelnie ją zasłaniało, ale pod spodem nadal nie miała bielizny.

Kiedy Zane nałożył swoją kamizelkę i umocował broń, nagle wydał jej się kimś obcym i dalekim. Potem, kiedy prowadził ją uliczkami, był taki sam, jak tamtej pierwszej nocy, kiedy ją odnalazł. Maksymalnie czujny, skupiony przede wszystkim na swoim zadaniu. Szedł pierwszy, ona za nim, w pewnej odległości, ze skromnie pochyloną głową, jak to robią kobiety w tym mużułmańskim kraju.

Zatrzymał się nagle i dał znak ręką. Barrie podeszła bliżej, przystanęła posłusznie i jeszcze bardziej naciągnęła chustę na twarz.

- Dwójka? Tu Jeden. No, jak tam...? Dobra. Widzimy się za dziesięć minut.

Odwrócił się do Barrie i mruknął:

- Jest dobrze. Nie trzeba przechodzić do planu C.
- A co to jest ten plan C? - zapytała cichutkim szeptem.

- Jak najszybciej zwiewać stąd do Egiptu. Czyli prawie czterysta kilometrów na wschód.

Pomyślała, że on by to zrobił. Ukradłby jakiś samochód i problem z głowy. Jego nerwy były zrobione z niebywale solidnej stali. Ale jej... na pewno nie. W środku cała się trzęsła, naturalnie ze strachu. Przecież dopóki byli w Ben Ghazi, groziło im wielkie niebezpieczeństwo.

Po dziesięciu minutach zatrzymali się przed jakimś sporym, mocno podniszczonym budynkiem, chyba domem towarowym. Zane musiał dać sygnał przez radio, którego ona nie dosłyszała, jednak tak na pewno było, bo nagle obok zmaterializowało się pięć postaci. I zanim Barrie zdążyła mrugnąć okiem, pięć postaci otoczyło ją kołem.

- Panowie, to jest panna Loveloy - powiedział Zane. - A teraz zmywamy się stąd.

- Tak jest, szefie - rzucił jeden z mężczyzn i skłoniwszy się lekko przed Barrie, wyciągnął do niej rękę. - Pani pozwoli!

Sześciu mężczyzn bez słowa ustawiło się w jakimś zapewne z góry ustalonym szyku. Barrie ustawiono za Zanem, a Zane podążał za mężczyzną, który poruszał się chyba jeszcze ciszej od niego, o ile to w ogóle było możliwe. Ten mężczyzna idealnie zlewał się z ciemnością, tak idealnie, że Barrie momentami w ogóle go nie mogła dojrzeć. Pozostała czwórka mężczyzn szła z tyłu, prawdopodobnie w różnych odstępach. Wszyscy szli bezgłośnie, słychać było tylko stukot za dużych pantofli Barrie.

Ten cichy marsz nie trwał długo. Zatrzymali się po kilku minutach przed jakimś mikrobusem. Prawdziwym gruchotem. Nawet w ciemnościach widać było na karoserii ślady po stłuczkach i wielkie plamy z rdzy. Zane wysunął się na czoło, pierwszy podszedł do samochodu, odsunął drzwi i mruknął do Barrie:

- Zapraszam do rydwanu.

Barrie uśmiechnęła się i wsparta na rękę Zane'a, zręcznie wsunęła się do środka. Arabska suknia w niczym nie kępowała jej ruchów. Potem do gruchota wsunęli się panowie, naturalnie bezszelestnie. Za kierownicą usiadł młody rosły mężczyzna, na miejsce obok niego wsunął się Zane. Barrie usadowiono na jednej z ławek, ramię w

ramię z mężczyzną, który wcześniej wydawał jej się niewidzialny. Z drugiej strony przysiadł inny mężczyzna i to on, bardzo ostrożnie, pomógł Barrie nałożyć kamizelkę kuloodporną. Dwóch pozostałych mężczyzn przykucnęło za ławeczką, wypełniając swymi rosłymi ciałami prawie całą wolną przestrzeń.

- Ruszaj, Bunny! - rzucił Zane.

Młody mężczyzna odpowiedział uśmiechem i uruchomił silnik. Mikrobus ruszył z miejsca.

- Trochę gorąco było wczoraj, szefie – odezwał się Bunny.

Mówił z takim entuzjazmem, jakby opowiadał o jakimś udanym przyjęciu.

- Co się stało? - spytał Zane.

- Nic specjalnego - mruknął mężczyzna, siedzący na prawo od Barrie. - Po prostu jeden z tych drani wlał prosto na Spooka i...

- No - przytaknął mężczyzna z lewej. - Wlał prosto na mnie. Zaczął się drzeć jak oparzony kot i strzelać do wszystkiego, co się ruszało i nie ruszało. Wkurzył mnie. Bo mi się wcale nie śpieszy na cmentarz.

- A kiedy wysłałeś nam sygnał, to zaczęliśmy stamtąd zwiewać - ciągnął drugi mężczyzna, siedzący obok Barrie. - I chyba musiałeś już ją stamtąd wyprowadzić, bo oni lecieli za nami jak psy gończe.

- Przeprowadziłem ją do innego pokoju. - wyjaśnił Zane. - A im nie przyszło do głowy, żeby sprawdzić.

Wszyscy mężczyźni parsknęli wesołym śmiechem.

- Barrie?- rzucił Zane, odwracając się do niej. - Chcesz poznać moich kumpli, czy wolisz, żeby te skunksy pozostały ci nieznane?

Skunksy? No, cóż, w mikrobusie nie pachniało jak w salonie, to fakt.

- Z miłą chęcią poznam panów - powiedziała Barrie, uśmiechając się promiennie.

- A więc... Obok mnie Antonio Withrock, starszy marynarz, od pieluszek największy pirat drogowy na południu Stanów, dlatego zawsze sadzamy go za kierownicą. On z czterema kółkami potrafi zrobić wszystko. Obok ciebie, z prawej strony, siedzi podporucznik Rocky Greenberg, a z lewej starszy marynarz Winstead Jones, do którego należy zwracać się tylko Spook albo Spooky, inaczej się nie

odezwie. A za tobą stoi Eddie Santos, nasz lekarz, oraz Paul Drexler, strzelec wyborowy.

Każdy z mężczyzn po kolei kiwał głową w stronę Barrie, a ona do każdego uśmiechała się miło, a kiedy Zane skończył prezentację, powiedziała dźwięcznym głosem:

- Miło mi panów poznać i jestem panom ogromnie wdzięczna za pomoc.

Greenberg zaczął dokładnie opowiadać Zane'owi to, co się wydarzyło. Barrie nie wtrącała się, tylko słuchała. I czuła się oszołomiona. Ta nocna przejażdżka ulicami Ben Ghazi wydawała się jej po prostu surrealistyczna. Siedziała w zdemolowanym mikrobusie w otoczeniu obcych mężczyzn uzbrojonych po zęby. I jechali przez najbardziej niebezpieczne dzielnice miasta, o tej porze nadal tętniące życiem. Samochody przemykały jeden za drugim, pieszych na chodnikach też nie brakowało. W pewnym momencie musieli nawet stanąć na światłach. Obok zatrzymało się kilka samochodów, ale na szczęście nikt nie wykazywał zainteresowania zdezelowanym mikrobusiem.

Po kwadransie wyjeżdżali już z miasta. Co pewien czas Barrie udawało się dostrzec z prawej strony migotliwą powierzchnię. To morze, Morze Śródziemne, pomyślała sennie. Jej głowa zaczynała ciążyć niebezpiecznie, nie wyobrażała sobie jednak, żeby mogła teraz złożyć ją na ramieniu jednego z tych mężczyzn. Próbowала więc za wszelką cenę utrzymać się w pionie, i w tym pionie jednak zasnęła. Obudził ją gwałtowny wstrząs. Mikrobus zatoczył się, Barrie uderzyła najpierw o Greenberga, potem o Spooky'ego i osunęłyby się zapewne na podłogę, gdyby nie silne ramię Spooky'ego, które z powrotem przygwoździło ją do ławeczki.

- Dzień... dziękuję - wymamrotała nieprzytomnym głosem.

- Drobiazg.

Bunny wyłączył światła. Jechali teraz nabrzeżem w kompletnej ciemności. I nagle przed samochodem coś zamigotało. Serce Barrie podskoczyło do gardła, ale bardzo szybko wróciło na swoje miejsce. Przecież to jest morze... Morze lśniące od blasku gwiazd... Mikrobus nagle się zatrzymał.

- Koniec przejażdżki! - krzyknął wesoło Bunny, spoglądając na

Barrie. - Tu ukryliśmy naszą łódeczkę. Cacko, nie ma porównania ze starymi tratwami.

Mężczyźni szybko opuścili mikrobus. Jak duchy przemykali przez drzwi i natychmiast wsiąkali w ziemię.

W mikrobusie zostali tylko Barrie i Bunny. Bunny, z pistoletem w ręku, tkwił nieruchomo na swoim miejscu za kierownicą. Nie odzywał się, a jego wzrok metodycznie przesuwiał się wzdłuż brzegu. Barrie siedziała więc też cichutko, żeby, broń Boże, w niczym nie przeszkadzać.

Nagle ktoś zastukał w szybę.

- Droga wolna - szepnął Bunny, otwierając drzwi koło siebie. - Panno Lovejoy, wychodzimy.

Barrie natychmiast rzuciła się do drugich drzwi, a tam już czekał Zane. Pomógł jej zeskoczyć na ziemię i zapytał krótko:

- Wszystko w porządku?

Skinęła tylko głową. Bała się odezwać, pewna, że z jej ust wydostałyby się tylko jakieś nieartykułowane dźwięki.

- Wytrzymaj jeszcze trochę - powiedział. - Za godzinę będziemy na lotniskowcu i będziesz mogła sobie spokojnie pospać.

Poprowadził ją kamienistą plażą do miejsca, gdzie przy brzegu zobaczyła ciemną sylwetkę nadmuchiwanej łodzi. Wokół niej stało pięciu mężczyzn z bronią w ręku.

Zane pomógł jej wsiąść do łodzi, pokazał, gdzie usiąść i mężczyźni zaczęli spychać łódź na wodę. Weszli do wody i kiedy sięgała do piersi Santosa, najniższego ze wszystkich, cała piątka błyskawicznie, bez żadnego wysiłku, wsunęła się do łodzi.

Spooky uruchomił silnik i skierował łódź na pełne morze.

I wtedy rozpętało się piekło.

Usłyszała złowrogi, miarowy dźwięk. Zrozumiała, że strzelano z broni automatycznej. Obejrzała się odruchowo i w tym samym momencie poczuła na głowie silną dłoń Zane'a. Pchnął ją na dno.

Spooky dał pełny gaz, pozostała piątka odpierała ogień. Na Barrie sypał się grad łusek. Nieprzytomna ze strachu przykleiła się do dna łodzi, osłaniając twarz czarną chustą.

Nagle rozległ się ryk Zane'a:

- Drexler! Poczęstuj tych sukinsynów ładunkiem!

- Już się robi, szefie!

W tym samym momencie Barrie usłyszała zdławiony jęk. Coś bardzo ciężkiego zważyło się na nią. Ktoś został trafiony. Desperacko próbowała wydostać się spod tego ciężkiego ciała. Przecież trzeba coś zrobić, pomóc... Mężczyzna znów jęknął, a jej, na ułamek sekundy, stanęło serce.

Zane!

Poczuła strach tak straszny, jakiego nigdy dotąd jeszcze nie odczuwała. Z jej piersi wydostał się krzyk, ochrypli, pełen rozpacz. Z desperacką siłą pchnęła na bok to wielkie ciało i zaczęła zdierać z głowy czarną chustę.

Jakaś łuska drasnęła ją w policzek, w ogóle nie zwróciła na to uwagi. Potem rozległ się straszny huk. Ładunek Drexlera... Wybuch wstrząsnął łodzią. Barrie rzuciło na dno. Pozbierała się błyskawicznie i przyklekła. Światło eksplozji - białe, upiorne - pozwoliło jej dojrzeć każdy szczegół.

Zane leżał na boku, zwinięty z bólu, twarz skrzywiona, a na koszuli, tej czarnej, połyskliwa plama. Pod Zanem wielka kałuża krwi.

Błyskawicznie zbiła chustę w kłębek i przycisnęła do rany. Z piersi Zane'a wydobył się ryk zwierzęcego bólu.

- Santos! - krzyknęła rozpaczliwie Barrie. - Santos!

Lekarz błyskawicznie pojawił się obok, odepchnął ją, podniósł chustę, spojrzął i natychmiast z powrotem przycisnął ją do rany. Drugą ręką chwycił dłoń Barrie i ułożył ją na czarnym materiale.

- Tak trzymaj, słyszysz?- I mocno przyciskaj!

Strzały umilkły, słysząc było tylko szum silnika.

Łódź jak szalona pędziła przed siebie, Barrie czuła na twarzy słoną wodę. Mężczyźni zajęli swoje pozycje.

- Co z nim? - krzyknął Greenberg.

- Daj no tu trochę światła! - odkrzyknął Santos. Greenberg natychmiast zapalił latarkę, kierując snop światła na rannego. Barrie zagryzła wargi, widząc, ile już krwi zebrało się na dnie łodzi. Twarz Zane'a była ziemista, oczy półprzymknięte. Oddychał z trudem. Santos zaklął.

- Bardzo szybko traci krew - mówił zdenerwowany. - Chyba

kula uszkodziła nerki, a może i śledzionę. Cholera! Greenberg, wzywaj helikopter! Natychmiast!

Zdjął kapturek ze strzykawki, wyprostował ramię Zane'a i umiejętnie wbił igłę.

- Trzymaj się, szefie! Zaraz tu będzie helikopter.

Zane nie odpowiadał. Oddychał głośno przez zaciśnięte zęby, ale kiedy Barrie spojrzała na niego, dojrzała w jego oczach błysk, a jego ręka uniosła się, palce prześlizgnęły się po jej ramieniu i ręka opadła bezwładnie.

Pierś Barrie rozdzierał bezgłośny szloch.

- Wytrzymaj, Zane, wytrzymaj - szeptała żarliwie. - Musisz wytrzymać. Nawet nie myśl o tym, że... - Nie, tego słowa nie wypowie. Jest zbyt straszne. Nie, ona nawet nie dopuszcza myśli, że Zane mógłby umrzeć.

Santos sprawdził puls Zane'a i znacząco spojrzał na Barrie. Zrozumiała. Puls jest zbyt słaby. Zastrzyk w ogóle nie pomógł.

A Greenberg darł się do mikrofonu:

- Psiakrew! Mamy gdzieś wody eksterytorialne! Nieważne, czy jesteśmy za blisko, czy za daleko! Macie być tu zaraz! Trzeba natychmiast zabrać szefa do szpitala!

Nie zważając na kołysanie łodzi, Santos zręcznymi ruchami zaczął podłączać Zane'owi kroplówkę. I nie przestawał mówić do Barrie:

- A ty przyciskaj, nie puszczaj.

- Tak, tak, trzymam - odpowiadała, nie odrywając oczu od twarzy Zane'a. Nadal był przytomny, nadal patrzył na nią.

Ale ten koszmar się nie kończył. Pierwsza torebka z plazmą była już pusta, więc Santos podłączył następną. I kłął, kłął bez przerwy, coraz bardziej dobitnie.

Zane leżał spokojnie, a Barrie wiedziała przecież, że straszliwie cierpiał. Jego oczy, zachodzące mgłą, utkwione były w jej twarzy. Może był to jedyny sposób, żeby nie tracić przytomności...

Boże wielki, przenajświętszy! Jeśli ten helikopter zaraz nie nadleci, na nic zda się determinacja Zane'a. Ta kałuża krwi nieubłaganie jest coraz większa...

Nareszcie! Wszyscy usłyszeli ten charakterystyczny warkot, najpierw cichy, a potem coraz głośniejszy, przegradzający się w

ogłuszający ryk. Helikopter Sea King przeleciał nad nimi, oślepiające światło potężnego reflektora wychwyciło łódź. Spooky zgasił silnik. Teraz łódź łagodnie kołysała się na falach. Helikopter zatoczył koło i zawisł tuż nad nimi. Spuszczono kosz, Santos i Spooky wsunęli do niego bezwładne ciało Zane'a, zapięli pasy, manewrując cały czas wokół Barrie, która ani na moment nie odrywała ręki od chusty. Santos krzyknął do Barrie:

- Puść! - Na moment podniósł chustę i natychmiast przyłożył z powrotem. I nie odrywając ręki od rany, przysiadł na brzegu kosza.

- Gotowe! - ryknął Greenberg, unosząc obie ręce z wyciągniętymi kciukami.

Kosz natychmiast zaczął unosić się w górę. Drzwi w helikopterze rozsunęły się i kilka par silnych rąk wciągnęło rannego do środka.

Helikopter natychmiast wzbił się wyżej, skrzył, kładąc się prawie na boku i z dzikim rykiem pomknął przed siebie.

Odleciał, pozostawiając tylko upiorną ciszę. Barrie osunęła się na ławeczkę. Jej twarz była nienaturalnie wykrzywiona od nadludzkiego wysiłku, aby zapanować nad sobą. Nikt nie powiedział ani słowa. Spooky zapalił silnik i mała łódź znów pognęła przed siebie. W ślad za niknącymi w dali światłami śmigłowca.

Godzinę później na lotniskowcu Montgomery wylądował drugi śmigłowiec. Jeszcze zanim dotknął pokładu, z kabiny wyskoczyło pięć rośłych postaci i Barrie. Oni biegli, a więc i ona biegła za nimi.

Greenberg przystanął, chwycił ją za rękę i pociągnął za sobą.

Nagle przed nimi ukazała się wysoka postać w mundurze.

- Panna Lovejoy? Czy wszystko w porządku?

Spojrzała na niego nieprzytomnie, zamierzała go wyminąć, ale drogę zastąpił jej ktoś inny, też w mundurze.

Greenberg zatrzymał się.

- Panie kapitanie...

- Komandor porucznik Mackenzie jest operowany. Lekarze nie wierzyli, że przetrzymał tak wielki upływ krwi. Jeśli nie uda się powstrzymać krwotoku, będą musieli usunąć śledzionę.

Pierwszy mężczyzna w mundurze podszedł do Barrie.

- Panno Lovejoy, proszę ze mną - powiedział, biorąc ją zdecydowanym ruchem pod ramię. - Jestem major Hodson. Będę

towarzyszył pani w drodze do domu.

Wojsko rządziło się swoimi prawami. Pannę Lovejoy należało jak najprędzej odstawić do domu, ambasador musi jak najszybciej mieć z powrotem swoją córkę.

Barrie protestowała. Krzyczała, krzyczała, a nawet klęła. Nic nie pomogło. Wprowadzono ją na pokład innego samolotu, tym razem transportowca. Po raz ostatni spojrzała na lotniskowiec, kołyszący się na lazurowej wodzie. Piękny widok, ale niewyraźny, rozmazany, bo przez łzy.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Do chwili wylądowania w Atenach Barrie cały czas płakała, jej zapuchnięte oczy prawie się nie otwierały. Major Hodson próbował wszystkiego, aby ją uspokoić i pocieszyć. On musi wykonać rozkaz, a Barrie będzie mogła potem dowiedzieć się, co dzieje się z ludźmi z SEAL-u. On doskonale rozumie, dlaczego ona jest taka zdenerwowana, przecież tyle przeszła. Ale na pewno zajmą się nią najlepsi lekarze...

Wtedy Barrie, jak oparzona, zerwała się z twardej ławeczki, jedyne miejsce do siedzenia, jakie oferował transportowiec, i krzyknęła histerycznie:

— A po co? Przecież to nie ja jestem ranna! I nie potrzebuję żadnego lekarza! Ani dobrego, ani średniego, żadnego! I kicham na to, jakie pan otrzymał rozkazy! Ja chcę być tam, gdzie Zane Mackenzie!

Major Hodson sprawiał wrażenie coraz bardziej zakłopotanego.

- Panno Lovejoy, jest mi bardzo przykro, ale ja naprawdę nic tu nie poradzę - tłumaczył się, przyglądając nerwowo kołnierz munduru. - Rozkaz to rozkaz. Mam odwiedzić panią do ojca. A co pani potem zrobi, to już pani sprawa.

Barrie, ciężko dysząc, opadła z powrotem na ławeczkę i otarła łzy. Nigdy przedtem tak się nie zachowywała. Zawsze była damą,

perfekcyjnie opanowaną towarzyszką swego ojca. A teraz wcale nie czuła się damą, raczej rozwścieczoną tygrysicą, gotową rozszarpać każdego, kto wejdzie jej w drogę. Zane został ranny w akcji uwalniania jej z rąk zbirów, a ona nie może przy nim czuwać, bo ten dureń w mundurze dostał taki a nie inny rozkaz! Przede wszystkim ma być tak, jak życzy sobie tatuś! Ona nie ma tu nic do gadania.

Kochała ojca, naturalnie, ale wiedziała, że jeśli Zane umrze, ona nigdy ojcu nie wybaczy, że kazał ją stamtąd zabrać. To nieważne, że ona Zane'a właściwie nie zna. Ważne jest to, że po raz pierwszy w życiu jest nieprzytomna z rozpaczy i cały czas błaga Wszechmocnego, żeby nie pozwolił Zane'owi umrzeć. Umrzeć za to, że chciał ją ocalić. A jeśli tak się stanie, ona do końca życia będzie przeklinać los, że nie dał jej samej zginąć z rąk porywaczy...

Lot trwał niecałe półtorej godziny. Kiedy samolot się zatrzymał, major Hodson natychmiast zerwał się z miejsca, widać bardzo chciał pozbyć się jak najszybciej kłopotliwego towarzystwa.

Barrie wolnym krokiem podeszła do drzwi. W Atenach było przedpołudnie, upał już niemiłosierny. Podniosła rękę, osłoniła oczy przed prażącym słońcem. Zobaczyła na wyasfaltowanym podjeździe wielką czarną limuzynę z zaciemnionymi szybami. I ojca, który wyskakuje z samochodu i zapominając o jakichkolwiek protokołach, pędzi ku niej.

- Barrie! - Jego twarz była rozpromieniona, ale i tak było widać, jak głębokie bruzdy wyryły na niej ostatnie dwa dni.

Barrie kurczowo chwyciła rękawy ojcowskiej marynarki, wtuliła twarz w jego pierś i znów zaczęła płakać. Wyglądało na to, że ona już nigdy nie przestanie płakać.

- Ale ja muszę tam wrócić, tatku - wyjąkała, zanosząc się od płaczu. - Muszę...

Ramiona ojca zeszywniały.

- Już dobrze, dobrze, córeczko. Jesteś bezpieczna, zabieram cię do domu.

- Nie! - Barrie, gwałtownie potrząsając głową, zaczęła wyszarpywać się z jego ramion. - Muszę wrócić na lotniskowiec. Oni go postrzelili... Zane może umrzeć. Boże! Ja muszę być przy nim, muszę tam wrócić!

- Nigdzie nie musisz wracać - tłumaczył ojciec, sprowadzając ją ostrożnie po schodach samolotu. - Chodź, dziecko, chodź. Doktor już czeka...

- Nie! - krzyknęła, odpychając go od siebie.

Ambasador zbladł. Jego córka nigdy nie zachowywała się tak gwałtownie. A teraz, odgarniając z czoła gąszcz rudych włosów, nie czesanych od dwóch dni, wykrzykiwała mu prosto w twarz:

- Posłuchaj! I zrozum mnie wreszcie! Człowiek, któremu zawdzięczam życie, został ciężko ranny. Operacja jeszcze trwała, a major Hodson zmusił mnie, żebym wsiadła do tego samolotu. Ja wcale nie chciałam. I chcę tam wracać! Muszę po prostu wiedzieć, co z Zane'em!

- Dowiesz się, dowiesz się wszystkiego - powiedział ojciec bardzo łagodnym głosem, znów obejmując ją mocno ramieniem i prowadząc do limuzyny. - Poproszę admirała Lindleya, a on dowie się, co z tym człowiekiem. Domyślam się, że to ktoś z SEAL-u?

Barrie, siąkając nosem, skinęła głową.

- Nie ma potrzeby wracać na okręt. Zresztą ten człowiek, jeśli przeżyje operację, zostanie przewieziony do szpitala wojskowego. Nie martw się, córeczko, admirał dowie się wszystkiego, będę go prosił, żeby zaraz tym się zajął.

Jeśli przeżyje operację... Te słowa ugodziły Barrie w samo serce. Drobne dłonie zwinęły się w pięści w niemym buncie. Pewnie, że przeżyje, jakże może być inaczej! A ojciec jest żaloszny, po prostu żaloszny! I nic nie wskóra, bo ona i tak dotrze do Zane'a.

Trzy dni później Barrie stała na środku gabinetu ojca. Jej głowa była dumnie uniesiona, oczy płonące, a ton głosu oskarżycielski.

- Jak mogłeś, tatku?- To ty kazałeś admirałowi zrobić tak, żebym ja niczego nie mogła się dowiedzieć!

- Barrie, dziecko... - Ambasador westchnął głęboko i ostrożnie położył okulary na blacie pięknego biurka z orzechowego drzewa. - Wiesz przecież, że zawsze starałem się niczego tobie nie odmawiać. Ale jeśli chodzi o tego człowieka, zachowujesz się bardzo nierozsądnie. Admirał przekazał już przecież wiadomość, że ten człowiek przeżył i dochodzi do zdrowia. I niczego więcej nie musisz

wiedzieć. Skąd w ogóle pomysł, żeby jechać do niego i czuwać przy jego łóżku?- Zdajesz sobie sprawę, co by się działo, gdyby prasa to zwęszyła?-Wszystkie brukowce rozpisywałyby się o tym, co przeżyłaś...

- No i co z tego? A on się nie liczy? Przecież z mojego powodu omal nie stracił życia! O ile, oczywiście, admirał Lindley nie skłamał...

- Nie skłamał, dziecko, nie skłamał. Ten człowiek żyje. Prosiłem tylko Joshue, żeby uniemożliwił ci zdobycie informacji na temat miejsca pobytu tego człowieka. Barrie...- Ambasador wstał z fotela, podszedł do córki i mimo oporu z jej strony, ujął jej obie dłonie. - Zrozum, dziecko, z czasem o wszystkim zapomnisz. Ja wiem, że ty możesz być tym człowiekiem zafascynowana. Jest dla ciebie w pewnym sensie bohaterem. Ale z czasem spojrzysz na to z dystansem. I zapomnisz o nim, zapomnisz o tych strasznych przeżyciach.

Jego słowa, zamiast uspokoić, rozjątrzyły Barrie jeszcze bardziej. Wszyscy byli przekonani, że padła ofiarą gwałtu. Ona zaprzeczała i nie godziła się na żadne badania, co, naturalnie, jeszcze bardziej utwierdzało wszystkich w ich przekonaniu. A ona nawet nie chciała słyszeć o żadnym lekarzu. Jej ciało zmieniło się, owszem, ale były tam ślady najłodsze, które pozostawił Zane. I dlatego postanowiła, że tych śladów nikt nie będzie oglądał.

Bardzo pragnęła zobaczyć się z Zanem. Po prostu spojrzeć na niego, przekonać się na własne oczy, że wszystko z nim w porządku. Tylko tyle. Dlatego poprosiła jednego z żołnierzy, stacjonujących w ambasadzie, aby połączył się z lotniskowcem Montgomery i dowiedział się, dokąd przewieziono Zane'a Mackenziego. A admirał Lindley postarał się, oczywiście, żeby jej pytanie w ogóle nie dotarło do kapitana lotniskowca. Dowiedziała się o tym przypadkiem. Bo tak się złożyło, że przed niecałą godziną w prywatnych pokojach ambasadora zjawił się admirał. Barrie przyjęła admirała w saloniku, zamieniła z nim kilka uprzejmych zdań na temat samopoczucia i pogody, a potem admirał przeszedł do sprawy, która była rzeczywistym powodem jego wizyty.

- Chciałaś się dowiedzieć, jaki jest stan zdrowia Zane'a

Mackenziego - zaczął gładko. - Śledzę to na bieżąco i mogę ci teraz przekazać pomyślnie wiadomości. Lekarze twierdzą, że Mackenzie w pełni odzyska zdrowie. Chirurgom udało się zatamować krwotok i nie trzeba było usuwać śledziony. Przewieziono go z lotniskowca do szpitala. Potem zostanie wysłany do Stanów na rekonwalescencję.

- A gdzie dokładnie jest teraz? - spytała ostrym głosem Barrie. Wyglądała bardzo elegancko, była uczesana i umalowana. Makijaż nie zdołał jednak ukryć bladej twarzy ani ciemnych sińców pod oczami. Bo ona nie spała już trzecią noc.

Admirał westchnął.

- Obiecałem twemu ojcu, że tej informacji ci nie zdradzę. I, moim zdaniem, on ma rację. Znam Zane'a dość długo, jest nadzwyczajnym żołnierzem. Tylko takich ludzi szkoli się w SEAL-u. Wspaniałych, nieugiętych wojowników. Przechodzą morderczy trening, każdy z nich staje się żywą bronią, najbardziej niebezpieczną. Informacje na ich temat są w najwyższym stopniu poufne.

- Ale ja wcale nie mam zamiaru wypytywać o treningi czy o misje! - przerwała podniesionym głosem Barrie. - Ja po prostu chcę zobaczyć się z Zanem!

Niestety, nic nie było w stanie poruszyć admirałem Lindleyem. Odmawiał jakichkolwiek informacji, oprócz tej jednej. Że Zane żyje i będzie zdrowy. Doskonale przecież zdawał sobie sprawę, ile ta informacja dla Barrie znaczy. Ale na temat miejsca pobytu Zane'a milczał jak zakłęty.

Barrie, wiedząc teraz na pewno, że Zane powróci do zdrowia, czuła ulgę, co wcale nie znaczyło, że wybaczy ojcu mieszanie się do jej spraw.

Dlatego teraz, z rozmysłem, postanowiła przekazać mu prawdę:

- Ja go kocham. I nie masz prawa mieszać się do mojego osobistego życia ani czegokolwiek mi zabraniać.

- Kochasz? Barrie, dziecko, to nie miłość, to tylko fascynacja jego odwagą. Uwierz mi! Kiedy to wszystko zatrze się w twojej pamięci...

- A ty myślisz, że ja sama nie zastanawiałam się nad tym? Zapominasz, że jestem kobietą dorosłą, a nie nastolatką, zadurzoną

w jakiejś gwiazdzie rocka! I doskonale zdaję sobie sprawę, że spotkałam Zane'a w niezwyklej okolicznościach. Byłam w śmiertelnym niebezpieczeństwie, on mnie uratował, czego sam o mały włos nie przypłacił życiem. Ale, powtarzam, jestem dorosła, potrafię rozróżnić, co to zauroczenie, a co miłość. Ale nawet gdybym się myliła, to i tak w tych sprawach decyduję ja, ja sama. Nie ty!

- Naturalnie, Barrie. Ale to nie znaczy, że mam przymykać oczy, kiedy ty tracisz rozsądek. Czy pomyślałaś, jak by to było, gdybyś wyszła za niego za męża? O, on na pewno skusiłby się na taką partię! Wiem, że to może zabrzmieć snobistycznie, ale pewnych faktów nie zmienisz. On jest marynarzem, wyszkolonym zawodowym zabójcą, po prostu zwykłym killerem, a ty zasiadałaś do jednego stołu z koronowanymi głowami i tańczyłaś z niejednym księciem. Co ty możesz mieć wspólnego z tym człowiekiem?

- Po pierwsze, to wcale nie zabrzmiało snobistycznie. To było snobistyczne - oświadczyła Barrie lodowatym głosem. - I przykro mi, jeśli według ciebie, jedynym moim atutem są twoje pieniądze.

- Doskonale wiesz, że wcale tak nie uważam! Ale skąd możesz być pewna tego, że ten człowiek nie potraktuje ciebie jak szansy dla swojej dalszej kariery?

- Bo go znam! Dzięki tym okolicznościom mogłam poznać go lepiej niż na nudnym przyjęciu w ambasadzie! Ty, zdaje się, uważasz ludzi z SEAL-u za zwykłych dzikusów. A życzyłabym sobie, żeby ktoś przez całe życie był wobec mnie tak taktowny i delikatny! I jeszcze jedno, tatku! Wiem, że nikt mi nie wierzy, ale ja przysięgam, że nie zostałam zgwałcona. To miało się stać dopiero następnego dnia, oni na kogoś czekali... chyba na swojego przywódcę. To on miał być ten pierwszy... Nie dokonano na mnie zbiorowego gwałtu i uwierz w to raz na zawsze. Ale widok Zane'a w kałuży krwi był dla mnie czymś nieporównywalnie gorszym niż to wszystko, co przeżyłam w rękach porywaczy... -I zaklęła. Po raz pierwszy w życiu zaklęła w obecności ojca.

- Barrie!

A co tam! Miała prawo nauczyć się przeklinać.

Trudno pozostać damą, kiedy ktoś porywa ciebie prosto z ulicy i

drepczy przez wiele godzin. A przed oczyma masz śmierć. Zaczęła kląć, kiedy nie pozwolili jej biec do rannego Zane'a. I teraz też będzie kląć...

Z wielkim wysiłkiem udało jej się nieco uspokoić.

- Czy wiesz, że pierwsza próba wydostania mnie z tego domu, gdzie przetrzymywali mnie porywacze, nie powiodła się?

Ojciec skwapliwie skinął głową. Pamiętał dobrze te straszne chwile, kiedy stracił nadzieję, że jeszcze kiedykolwiek ujrzy swoją córkę żywą. Admirał Lindley nie był takim pesymistą. On wierzył w SEAL i uspokajał, że samo doniesienie o strzałach w pobliżu portu w Ben Ghazi nic jeszcze nie znaczy.

Gdyby Libijczycy złapali na swoim terenie amerykańskich antyterrorystów, roztrąbiliby ten fakt po całym świecie. Dlatego admirał był pewien, że ludziom z SEAL-u nic się nie stało i działają dalej.

- To znaczy, udało się połowicznie – ciągnęła Barrie. - Zane poszedł po mnie sam, reszta jego ludzi czekała na zewnątrz. I jak to oni, ukryli się bardzo dobrze. Aż za dobrze, bo jeden ze strażników po prostu nastąpił na Spooka. Podniósł alarm i rozpoczęła się strzelanina. Ale oni mieli opracowany drugi plan. Co robić w sytuacji, kiedy ich nakryją. Nie podejmować walki, tylko uciec i ukryć się. A Zane tymczasem dotarł już do mnie. Wszedł przez okno i uwolnił mnie z więzów. Kiedy na dole zaczęli strzelać, do pokoju wpadł jeden ze strażników. Zane go zabił. Potem cichaczem wyprowadził mnie z tego domu i ukryliśmy się w ruinach małego domu niedaleko portu.

Ambasador słuchał w napięciu. Barrie po raz pierwszy opowiadała mu dokładnie, jak ją uratowano. Teraz była w stanie to zrobić, bo już minęły dni wypełnione niepewnością doprowadzającą ją do szaleństwa. Teraz, kiedy wiedziała, że Zane żyje, mogła opowiedzieć ojcu, jak to się stało, że uszła z życiem.

- Kiedy ukrywaliśmy się w tych ruinach, Zane znów narażał dla mnie życie, wychodząc na miasto po wodę, jedzenie i ubranie dla mnie. Przedtem opatrzył moją skaleczoną stopę. I chronił mnie cały czas. Kiedy jacyś ludzie zaczęli kręcić się koło domu, Zane natychmiast zasłonił mnie swoim ciałem, sam wystawiając się na

niebezpieczeństwo. I w takim człowieku się zakochałam. Może dla ciebie jest to człowiek gorszego gatunku, ale nie dla mnie!

W oczach ojca coś błysnęło i Barrie już wiedziała, że cała ta przemowa i tak nie przekonała go i była bez sensu, szczególnie informacja, że się zakochała. Wiedziała przecież, że dla ojca sama myśl, że mogłaby odejść od niego, jest nie do zniesienia. A Zane Mackenzie, choćby był największym bohaterem, stanowi dla ojca tylko i wyłącznie zagrożenie.

- Barrie, ja... - Chyba po raz pierwszy wytrawnemu dyplomacie zabrakło słów. To prawda, że starał się nigdy niczego nie odmawiać córce. A jeśli już tak się stało, to tylko wtedy, gdy chodziło o jej bezpieczeństwo, na przykład wtedy, kiedy uparła się, że koniecznie chce jeździć na motocyklu. Naturalnie, że nie pozwolił. Bo bezpieczeństwo Barrie stało się jego obsesją. Kurczowo trzymał się córki, bo była dla niego jedynym kawałkiem rodziny, jaka mu pozostała po śmierci ukochanej żony, do której zresztą Barrie była ludzako podobna.

Teraz toczył ze sobą walkę, widziała to w jego oczach. Z jednej strony nie chciał w niczym przeszkadzać ukochanemu dziecku. Ale z drugiej... przecież równało się to z jej utratą. Cóż znaczą sporadyczne odwiedziny? Prawie nic, tak jak wtedy, kiedy Barrie była w szwajcarskiej szkole z internatem. A on chciał, żeby Barrie była z nim zawsze, nie tylko od święta. Było w tym wiele egoizmu i zdawał sobie z tego sprawę. Ale Barrie też nigdy nie wątpiła, że ojciec bardzo ją kocha.

- Barrie, myślę, że przede wszystkim powinnaś odpocząć i wyciszyć swoje emocje. Zdajesz sobie przecież sprawę, jak wygląda życie tego człowieka. I ty sądzisz, że znalazłabyś tam miejsce dla siebie?

- Za wcześnie się nad tym zastanawiać, tatusiu. Ja nie rozmawiałam z Zanem o małżeństwie. Teraz... teraz po prostu muszę się z nim zobaczyć. Nie chcę, żeby pomyślał, że nie interesuje mnie stan zdrowia człowieka, który uratował mi życie.

- A nie pomyślałaś, Barrie, że uprzejmość z twojej strony może być na wyrost? Dla niego, prawdopodobnie, była to jeszcze jedna niebezpieczna misja, i tylko tyle. No i wszystko jasne.

- Nie, tatusiu, wcale nie jest wszystko jasne. I ty powinieneś mi pewne rzeczy wyjaśnić.

-Ja?

- Tak.

Patrzyła mu prosto w oczy, jej ramiona były wyprostowane, jak u żołnierza, stojącego na baczność.

- Nie pytałam cię jeszcze, co działo się w tym czasie tutaj, na miejscu. A ponieważ jestem osobą raczej inteligentną i myślącą logicznie...

- Oczywiście, Barrie. O co chodzi?

- A o to, że jedno pytanie nasuwa się samo. Czy porywacze żądali od ciebie okupu?

- Okupu? - powtórzył ambasador zdziwionym głosem, a Barrie na sekundę serce zamarło. A więc jej straszne podejrzenie okazało się słuszne. Nie została porwana dla pieniędzy.

- Tak. Okupu - powtórzyła łagodnym głosem.

- Zwykle przecież porywacze żądają pieniędzy. A tym razem nikt ich od ciebie nie zażądał. Czyli wychodzi na to, że porwano mnie z innego powodu. I, być może, ten ich przywódca chce od ciebie czegoś innego, na przykład jakiejś informacji. I chciał cię zmusić, żebyś mu dał tę informację. Albo może ty z nim już wcześniej... współpracowałeś i tkwisz w tym po samą szyję. I poróżniliście się z jakiegoś powodu...

Na ułamek sekundy na twarzy ambasadora pojawił się wyraz prawdziwej paniki, zmieszanej z poczuciem winy. Błyskawicznie jednak jego twarz wygładziła się i przybrała obojętny wyraz.

- Przedziwne insynuacje - mruknął.

A Barrie czuła, że robi jej się słabo. Bo ta panika i poczucie winy zdążyły powiedzieć jej rzecz oczywistą: że sumienie ojca nie jest do końca czyste.

- Powinieneś mi to wyjaśnić - powiedziała twardym głosem. - Jestem pewna, że oni porwali mnie z twojego powodu.

- Barrie, dziecko...

Puścił jej rękę, obszedł biurko i usiadł z powrotem na fotelu. Jakby symbolicznie wracał do roli tylko i wyłącznie ambasadora.

- Dobrze wiesz, że są rzeczy, o których nie wolno mi z tobą

rozmawiać. I twoje insynuacje są zupełnie nie na miejscu. To tylko dowód, jak bardzo jesteś wytracona z równowagi.

Naturalnie, że mogła zapytać, czy Art Sandefer z CIA też by sądził, że jej insynuacje są nie na miejscu. Nie potrafiła jednak posunąć się tak daleko, żeby grozić własnemu ojcu. I dlatego przeżywała bardzo bolesną rozterkę. Bo jeśli ojciec popełnił jakąś zdradę, to czy ona, zachowując milczenie, również nie jest zdrajczynią? Kochała swój kraj. Przez wiele lat żyła w Europie, przepadała za francuskim winem, wiedeńską architekturą, ceniła opanowanie Brytyjczyków, zachwycała się hiszpańską muzyką, a w słonecznej Italii wszystko było dla niej przepiękne. Ale za każdym razem, gdy wracała do Stanów, uderzała ją energia rozpierająca tutejszych mieszkańców, i ich życie, bujne, różnorodne. W tym kraju, w którym nawet ludzie uważani za ubogich żyli o wiele lepiej niż ludzie gdzie indziej... w tym kraju było jej najlepiej na świecie.

Jeśli zostanie w Atenach, będzie narażona na wielkie niebezpieczeństwo. Porywaczom tym razem się nie udało. Ale to nie znaczy, że ten tajemniczy „on” nie uderzy jeszcze raz. Podejrzewała, że ojciec wiedział, kto to jest. I dlatego przeczuwała, co ją teraz czeka. Będzie więźniem w ambasadzie, nie będzie mogła się stąd ruszyć, chyba że z uzbrojoną obstawą. Będzie więźniem strachu swego ojca.

Tak naprawdę, to na całym świecie nie ma miejsca, gdzie mogłaby czuć się bezpiecznie. Ale niewątpliwie w Atenach jest bardziej zagrożona niż gdzie indziej. Poza tym, wyrwawszy się z ambasady, będzie miała większą możliwość zdobycia informacji o miejscu pobytu Zane'a. W końcu wpływy admirała Lindleya nie sięgają do każdego zakątka świata. Im dalej od Aten, tym jego wpływy są mniejsze.

Spojrzała ojcu prosto w twarz, świadoma, że teraz z rozmysłem przecina więzy łączące ich od piętnastu lat.

- Wracam do domu - oświadczyła pełnym, dźwięcznym głosem. - Do Wirginii.

Dwa tygodnie później Zane siedział na frontowej werandzie domu swoich rodziców. To był piękny, rozłożysty dom na szczycie wzgórza, które jego rodzina nazwała Wzgórzem Spełnionych

Nadziei. To wzgórze leżało w pobliżu Ruth, małego miasteczka w stanie Wyoming. Widok z werandy był przepiękny. Niekończące się łańcuchy majestatycznych gór poprzecinanych zielonymi kotlinami. Tu wszystko było piękne. I takie swojskie. Siodła, buty z cholewami, bydło, ale tego bydła było niewiele, bo na rancho hodowano przede wszystkim konie. Poza tym były tu książki, wypełniające każdy pokój, i koty, skradające się w półmrocznej stajni. I słodkie gruchanie matki, rozpieszczającej wszystkich i wszystko wokół siebie. I ojciec, taki troskliwy i pełen zrozumienia, a jednocześnie taki dumny ze swoich synów i tak bardzo kochający swoją jedyną córkę...

Zane nieraz już dostał kulę, dziabnęli go też kiedyś nożem. Miał połamane obojczyki i zebra, przedziurawione płuco. Ale nigdy jeszcze nie był tak bliski śmierci. Uratowała go determinacja Barrie. Gdyby nie Barrie, pochylona nad nim i każdym gramem swego drobnego ciała przyciskająca ten czarny kłębek do jego rany... No i gdyby nie Santos, który błyskawicznie podał plazmę do jego żył...

Na okres rekonwalescencji przyjechał do domu. Wypoczywał i zamierzał pewne sprawy przemyśleć. Niestety, był z tym pewien problem, ponieważ cała rodzina odczuwała silną potrzebę złożenia mu wizyty. Zjawiali się po kolei, na dłużej lub krócej, zjawiał się też i Chance. Zjawiał się, to znaczy wsunął do domu, rzucając na matkę i siostrę podejrzliwe spojrzenia, jakby były bombami, które mogą w każdej chwili eksplodować mu prosto w twarz. A teraz rozsiadł się obok Zane'a na werandzie i kontemplując razem z nim piękny widok, rzucił ot tak, mimochodem:

- Myślisz o rezygnacji.

Jego domyślność nie zdziwiła Zane'a. Walka, jaką stoczyli ze sobą czternaście lat temu, była przełomem w ich wzajemnych stosunkach, na początku wyjątkowo chłodnych. Z biegiem lat zbliżyli się bardzo. Jak prawdziwi bracia. Ba! Jak bliźniacy!

- A tak - oparł po chwili Zane.

- Czyli koniec z awansami? - spytał Chance.

- Chyba tak. Zresztą ten ostatni wyszedł mi bokiem. W ogóle przestałem pracować w terenie - pozialił się Zane, poprawiając się w krześle. Wyciągnął nogę i ostrożnie oparł ją o balustradę werandy.

Dwa i pół tygodnia to jeszcze za krótko, aby zapomnieć o ranie. - W tej ostatniej misji brałem udział tylko dlatego, że podczas ćwiczeń ranili mi dwóch ludzi. A zresztą... Mam już trzydzieści jeden lat, w tym wieku z reguły wszyscy kończą pracę w terenie.

- Może chciałbyś przyłączyć się do mnie?

- Bo ja wiem... Zane wzruszył ramionami i z jeszcze większą uwagą zaczął wpatrywać się w góry na horyzoncie.

- Może i chciałbym... gdyby sytuacja wyglądała inaczej.

- Inaczej?

- No... inaczej. Jest taka jedna...

- Baba? O, nie, to całkowicie zmienia postać rzeczy. Dopóki będziesz o niej myślał, nie skupisz się na żadnej robocie.

A Zane wcale nie zamierzał przestać myśleć o Barrie. Znikła tak nagle, bez jednego słowa pożegnania i otuchy. Ale potem Spook i Greenberg opowiedzieli mu, jak jakiś major ciągnął ją siłą do samolotu, a ona szarpała się, krzyczała i klęła jak stary marynarz. Odstawili ją do Aten. A szanowny tatuś plus obowiązująca zasada utajnienia wszelkich informacji na temat SEAL-u skutecznie nie pozwoliły Barrie dowiedzieć się, do którego szpitala zabrano Zane'a Mackenziego.

A on tak tęsknił za nią... Za tą małą rudowłosą i zielonooką sówką, taką dzielną i upartą. Tęsknił za jej poważnym spojrzeniem, radosnym śmiechem, i tęsknił za jej namiętnością. Nigdy jeszcze, przy żadnej kobiecie, nie wzięło go tak mocno, jak przy tym niedużym stworzeniu, które samo sobie umyśliło, że on będzie tym pierwszym w jej życiu...

Jasne, że tęsknił, i to jak!

Kochali się w tych ruinach, potem sobie gadali albo po prostu leżeli obok siebie. I to wszystko tak mu się spodobało, że... Z natury był samotnikiem, słowa „kocham” używał tylko w odniesieniu do swojej rodziny. A teraz to słowo zaczynało mu dziwnie pasować do Barrie. Może po prostu się zakochał? Dlatego tęskni i tak bardzo chce się znów z nią zobaczyć...

Na razie jednak musi dojść do formy. Było jeszcze z nim kiepsko. Przemieszczał się już o własnych siłach z pokoju do pokoju, ale o samodzielnym wyjściu z domu i spacerku, na przykład do stajni, nie

było mowy. Poza tym musi przemyśleć, co dalej. Był już prawie pewien, że jego czas w marynarce wojennej dobiegł końca. Przecież z powodu tego cholernego awansu zabrano mu robotę, dla której do tej marynarki wstąpił. Co on jednak będzie robił, kiedy wystąpi z SEAL-u ?

Skontaktowanie się z Barrie będzie wymagało nieco zachodu. Dziś rano dzwonił do ambasady w Atenach. Prosił pannę Lovejoy, a do telefonu podszedł sam pan ambasador i rozmowa wcale nie była sympatyczna.

- Barrie bardzo sobie ceni to, co pan dla niej zrobił - mówił gładko ambasador. - Ale sam pan rozumie, ona chce o tym wszystkim zapomnieć. A rozmowa z panem obudzi tylko przykre wspomnienia.

- Czy to jest jej zdanie czy pańskie?- spytał lodowatym głosem Zane.

- Nie sędzę, żeby to miało jakieś istotne znaczenie - odparł równie lodowato ambasador i odłożył słuchawkę.

Po tej rozmowie Zane zdecydował, że na razie sobie odpuści, bo jego możliwości i tak są jeszcze bardzo ograniczone. A szanowny pan ambasador zapewne wydał stosowne polecenie. Jeśli przypadkiem pan Zane Mackenzie zadzwoni jeszcze raz, nie łączyć, broń Boże, z panną Lovejoy. Nie szkodzi, on i tak potem coś wymyśli...

Na ziemię sprowadził go dźwięczny, melodyjny głos matki.

- Zane! —wołała zgłębi domu. - Nie jesteś już za bardzo zmęczony?

- Nie! Czuję się świetnie!

Chance spojrział na Zane'a zachwyconym wzrokiem.

- Nie jest źle, bracie! Matka zapomniała o moich przetrąconych żebrach.

A słodki głos znów zadzwieczał:

- Chance! Owinąłeś się bandażem? Chance zeszywniał.

- No... nie... Mógłby skłamać, Mary uwierzyłaby bez żadnych zastrzeżeń. Ale Mary wszyscy zawsze mówili prawdę, zdając sobie sprawę, jak bardzo by cierpiał ten mały tyran, gdyby okazało się, że jej dzieci ją oszukują.

- Chance! Przecież ty wiesz, że przez cały tydzień masz owijać się bandażem elastycznym!
- Tak jest!
- No to chodź tu, syneczku, zaraz cię owinę!
- Tak jest! - Chance zerwał się karnie z bujanego fotela i wmaszerował do domu, mrużąc gniewnie pod nosem: - Zastrzelić ją to za mało. Trzeba wymyślić coś innego.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Dwa miesiące później szeryf Zane Mackenzie, nie skrępowany żadnym przyrodziwkiem, wyglądał sobie przez okno swego nowego domu w Południowej Arizonie. Kupił go przed dwoma miesiącami. Dom był ładny, w hiszpańskim stylu, ale niewielki, miał tylko dwie sypialnie. A widok z okna przepiękny - na pustynię, teraz skąpaną w blasku księżyca.

Nie miał problemu z adaptacją. Praca w SEAL-u przyzwyczała go do ciągłej zmiany otoczenia, a w tym suchym, gorącym klimacie czuł się wspaniale.

Kiedy podjął ostateczną decyzję o rezygnacji ze służby w jednostce specjalnej, dalsze wypadki potoczyły się błyskawicznie. Przede wszystkim jeden z jego dawnych kolegów, kiedy dowiedział się, że Zane występuje z SEAL-u, zadzwonił z pytaniem, czy Zane nie miałby ochoty na dwa lata zostać, ni mniej ni więcej, szeryfem. Miejsce się zwolniło, bo poprzedni szeryf, niestety, stracił życie podczas akcji, a do końca jego kadencji zostały jeszcze dwa lata.

Zane, zaskoczony, podszedł do propozycji z pewną rezerwą. Nigdy nie myślał o tym, żeby pracować w wymiarze sprawiedliwości, a ponadto on naprawdę nie miał pojęcia o prawie stanu Arizona.

- Daj spokój, kto jak kto, ale ty dasz sobie ze wszystkim świetnie radę - uspokajał go kumpel. - Szeryf ma przede wszystkim kupić roboty administracyjnej. Jeśli możesz mieć trochę kłopotów, to z personelem, trzeba będzie uzupełnić, a ci, co są, na początku mogą trochę kręcić nosem, że nowego szeryfa nie wybrano spośród nich.

- A dlaczego tego nie zrobiliście? Co z zastępcą szeryfa ?

- To była babka, kilka miesięcy temu przeniosła się do Prescott. A ta cała reszta to żółtodzioby, bez doświadczenia, choć naprawdę są niezli.

Szeryf... Hm, może to i ciekawe... Zane nie miał złudzeń, te żółtodzioby dadzą mu niezłe popalić, ale on przecież lubił wyzwania.

- No, dobra - powiedział. - Może i byłbym zainteresowany. Powiedz dokładniej, jak to wygląda.

- No, cóż... Zarobki średnie, godziny pracy wiadomo, jakie. Część hrabstwa to rezerwat, miałbyś więc do czynienia z BIA*. Jest tam też dość duży problem z imigrantami, ale o to już martwi się INS*. Generalnie nie jest to teren kryminogenny, za mało tam ludzi.

I tym sposobem Zane, już w pełni sił, znalazł się w Południowej Arizonie, jako zaprzysiężony szeryf i właściciel stu akrów ziemi. Przywiózł tu nawet kilka swoich koni, które trzymał na rancho rodziców w stanie Wyoming. Ale i tak to wszystko razem cholernie różniło się od Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych.

Zane uznał, że nadeszła pora, żeby skontaktować się z Barrie. W ciągu ostatnich kilku miesięcy dużo o niej myślał, a ostatnio to już w ogóle nie mógł myśleć o niczym innym. To nowe uczucie, dość kłopotliwe, było coraz silniejsze. Dlatego uruchomił wszystkie swoje kanały i ku swemu zdziwieniu dowiedział się, że Barrie, w tydzień po powrocie do Aten, wyjechała do Stanów. Teraz mieszka w rodzinnej rezydencji w Arlington, w stanie Wirginia. A w niespełna miesiąc potem ambasador wystąpił nieoczekiwanie z prośbą, aby ktoś zmienił go na jego stanowisku i także powrócił do Wirginii. Zane wolałby, żeby ten pan pozostał w Atenach, ale trudno, i z tym problemem też można sobie poradzić. Bo nieważne, co ojciec Barrie zrobi albo powie. Zane był zdecydowany zobaczyć się z jego córką. Między nimi była sprawa, sprawa niedokończona, a kontakt urwał się zbyt nagle. Jego postrzelono, a ją siłą zabrano do Aten. Zdawał sobie sprawę, że te upojne kilka godzin mogły być rezultatem stresu, a także spowodowane tym, że byli sami i nawzajem potrzebowali siebie, swojej czułości... Ale nie było teraz sensu nad tym się zastanawiać. Bo pojawiły się pewne nowe okoliczności, których nie wolno ignorować.

Był pewien, że Barrie była w ciąży.

Sam nie wiedział, dlaczego był o tym tak święcie przekonany. To był logiczny wniosek. Nie mieli ze sobą żadnych środków zabezpieczających, a kochali się wiele, wiele razy. Prawdopodobieństwo zajścia w ciążę było duże. A intuicja Zane'a podpowiadała mu, że to już się stało. Było faktem.

* *BIA - Bureau of Indian Affairs - Biuro ds. Indian.*

* *INS - Immigration and Naturalisation Office - Urząd odpowiedzialny za napływ cudzoziemców do kraju.*

Barrie nosi jego dziecko.

Nie będzie więc żadnego stopniowego poznawania się nawzajem, decyzja o zawarciu małżeństwa nie dojrzeje powoli. Barrie jest w ciąży i muszą pobrać się natychmiast. Jeśli ten pomysł jej się nie spodoba, on ją przekona. Na pewno.

Była w ciąży. Tę cudowną wiadomość Barrie zatrzymała tylko dla siebie. Nie była jeszcze gotowa, aby dzielić się nią z kimkolwiek, zwłaszcza z ojcem. Porwanie, a także to, co nastąpiło potem, wytworzyło między nimi prawdziwą przepaść, której żadne z nich nie potrafiło przeskoczyć. Ojciec rozpaczliwie próbował odbudować ich dawną zażyłość, ale Barrie była pełna rezerwy. Nie potrafiła mu wybaczyć, że uniemożliwił jej kontakt z Zanem. Zaraz po swoim przyjeździe do Wirginii próbowała się czegoś dowiedzieć, wszędzie jednak natrafiała na mur nie do przebicia. Nikt, absolutnie nikt, nie chciał jej udzielić żadnej informacji o jej wybawcy.

Dotarła nawet do kwatery głównej SEAL-u, ale tam też ją spławiono, grzecznie i stanowczo.

A ona przecież nosi jego dziecko. I chciała, żeby Zane się o tym dowiedział. Nie, nie spodziewała się, że on nagle zrobi krok, którego sam nie pragnie. Ale chciała, żeby wiedział o dziecku i wręcz rozpaczliwie pragnęła go znów zobaczyć.

Nie wierzyła, że ojciec, kiedy dowie się o dziecku, zmieni swój stosunek do Zane'a. Raczej można się było spodziewać, że tak jak swoją córkę, również i jej nieślubne dziecko będzie traktował jak swoją własność. Na pewno podejmie odpowiednie kroki, aby jej ciążę ukryć przed ludźmi. A jeśli nawet ktoś się o tym dowie, ludzie

i tak będą przekonani, że ta ciąża jest następstwem gwałtu i będą podziwiać Barrie za jej odwagę, że zdecydowała się to dziecko urodzić.

A ona była bliska szaleństwa. Uciekła do Wirginii, żeby być jak najdalej od ojca, a on przyjechał tu za nią i, naturalnie, za każdym razem, gdy ruszyła się gdzieś bez ochrony, wpadał w panikę. Nie pozwalał jej jeździć samej samochodem, mogła wyjeżdżać tylko jego wozem z szoferem. W rezultacie, żeby kupić w aptece test ciążowy, Barrie musiała wymykać się z domu po kryjomu. A ten test tylko potwierdził jej przypuszczenia. Była w ciąży. Zdawała sobie sprawę, że ta niezaplanowana ciąża powinna ją przede wszystkim zmartwić. A tymczasem była to teraz jej jedyna radość.

Zdawała sobie też sprawę, że koniecznie powinna iść do lekarza. Dłużej zwlekać nie można. Ale jak zamówić wizytę, jeśli wszystkie rozmowy telefoniczne z aparatu w rezydencji są teraz nagrywane? Mogłaby zadzwonić z jakiejś budki, ale jak, skoro sama nie wychodzi z domu...

Do diabła! Czy ona musi tak się dawać terroryzować? Od dawna jest osobą dorosłą, a wkrótce będzie matką. Było jej przykro, że stosunki z ojcem ułożyły się tak źle. Prawie nie rozmawiali ze sobą, ale ona nie widziała możliwości, żeby coś tu zmienić. Tym bardziej że nie stało się nic, co pozwoliłoby jej uwierzyć, że ojciec nie jest w nic wplątany. Chciała bardzo, żeby wyjaśnił to, podał jakiś wiarygodny powód, dlaczego ją porwano. I chciała, żeby w końcu przestał się bać, przestał odprowadzać ją tym zmartwionym, pełnym niepokoju spojrzeniem, za każdym razem, kiedy wychodziła z domu. Nie chciała, żeby stale podtrzymywał w niej poczucie zagrożenia. Pragnęła z całego serca zacząć znowu żyć normalnie. Pragnęła, aby jej dziecko nie musiało żyć w atmosferze ciągłego strachu. A tą atmosferą przesiąknięty był cały ten dom i ona w tej atmosferze coraz bardziej się dusiła. I bała się, bała się nieustannie, że jeśli ojciec rzeczywiście zamieszany jest w coś, co było przyczyną jej porwania, to ten koszmar może się powtórzyć. A przecież tym razem bała się nie tylko o siebie. Bała się przede wszystkim o dziecko.

Jak to czasami bywa na początku ciąży, Barrie czuła się ciągle

senna, zmęczona. Spała zwykle bardzo długo, tego jednak ranka obudziła się wyjątkowo wcześniej. A po obudzeniu, jak zwykle, poczuła mdłości i wykonała bieg do łazienki. I, jak zwykle, kiedy już to się dokonało, poczuła się świetnie. Wyrzała przez okno na jasny słoneczny świat i uświadomiła sobie, że jest okropnie głodna, a była dopiero szósta. Kucharka Adela na pewno jeszcze śpi, śniadanie zwykle podawano o ósmej. Ale Barrie już teraz regularnie burczało w brzuchu, nałożyła więc szlafrok i bardzo cicho wyszła z pokoju. Sypialnia ojca była na wprost schodów. Nie chciała go budzić, a poza t y m wcale nie miała ochoty go widzieć.

Była przekonana, że ojciec śpi. Kiedy jednak podeszła do szczytu schodów, usłyszała nagle jego głos. Przystanąła, pewna, że ją usłyszał i prosi, aby weszła. Ale potem usłyszała, jak ojciec mówi „Mack”, i to głosem dziwnie ostrym.

Poczuła zimny dreszcz na plecach. Jedyny Mack, jakiego znała, to był Mack Prewett, który pracuje w Atenach. Cichutko, na palcach, podeszła do drzwi i przyłożyła ucho.

- Nie, Mack, nie ma mowy - mówił ojciec. - Ja już z tym skończyłem. Nie sądziłem, że Barrie aż tak na tym ucierpi...

Barrie zamknęła oczy, czuła, jak po jej plecach przebiega dreszcz, lodowaty dreszcz. Znów poczuła mdłości. Resztki nadziei prysły. Ojciec jednak musiał być w coś zamieszany. On i Mack Prewett z CIA. Czyżby Prewett był podwójnym agentem? Jeśli tak, to dla kogo pracowało Sytuacja na świecie uległa przecież zmianie, nie ma już sztywnych podziałów, jak w latach zimnej wojny. Z mapy znikły niektóre kraje, w ich miejsce pojawiły się nowe. Teraz motorem wszystkiego były pieniądze albo religia.

Ale czego ten Prewett chciał od ojca?- Informacji? Ojciec miał przyjaciół i znajomych na całym świecie. Ale czy to możliwe, żeby chciał sprzedać jakieś informacje?- Przecież był dość bogaty. Ale dla niektórych ludzi pieniądze są jak narkotyk, ciągle potrzebne są im nowe i nowe, w postaci czeku, no i władzy, która się kryje za tym czekiem. Boże, czyżby to było możliwe, że najbliższy jej człowiek, jej ojciec, do tego stopnia splamił swój honor?

Przerażona, zdruzgotana, wróciła do swego pokoju, nie dbając o to, czy ojciec usłyszy jej kroki, czy nie. Położyła się na łóżku, na boku,

z podciągniętymi nogami, jakby podświadomie chciała chronić maleńki embrion w swoim łonie. A przerażenie rosło. Czyżby znów ktoś wywierał nacisk na ojca? Groził, że z jego córką może stać się dokładnie to samo, co dwa miesiące temu? Wściekła i przerażona zmagająca się z przypuszczeniami, ale to było jak poruszanie się po zupełnie nieznaney okolicy, gdzie nie było żadnych drogowskazów. I co ona ma teraz zrobić Podzielić się swoimi podejrzeniami z FBI? Nie miała w ręku niczego konkretnego, a poza tym ojciec, pracując w dyplomacji, nawiązał mnóstwo kontaktów w FBI. I nikt tam na pewno nie uwierzy żadnemu jej słowu.

Musi więc stąd wyjechać.

Zaczęła gorączkowo szukać w pamięci jakiegoś miejsca, dokąd mogłaby pojechać i gdzie trudno byłoby ją odnaleźć. Boże, czy ona potrafi zacierać za sobą ślady? Przecież każdy najmniejszy ślad sprowadzi jej na głowę nawet niezbyt bystrego terrorystę. A taki na przykład Mack Prewett jest nie tylko bystry, ale i pewnie bardzo skuteczny. Nie tylko terroryści podobni są do pajaków, które tkają swoją sieć we wszystkich kierunkach... Agenci robią to samo... I jeśli ona zarezerwuje bilet na swoje prawdziwe nazwisko albo za ten bilet zapłaci kartą kredytową, Mack na pewno się o tym dowie. Dlatego potrzebna jest jej gotówka, bardzo dużo gotówki, musi więc wybrać wszystkie pieniądze z konta. Ale jak ona dostanie się do banku?- Przecież ojciec śledzi każdy jej krok. Chyba skończy się tym, że wyjdzie przez okno, popędzi do najbliższego automatu telefonicznego i zadzwoni po taksówkę. Ale jeśli oni już obserwują jej dom...

Jęknęła i ukryła twarz w dłoniach. Boże święty, to jakaś paranoja. Ale czyż nie powinna przewidzieć tego wszystkiego? Przede wszystkim musi myśleć o dziecku. Dlatego ucieknie stąd jeszcze tej nocy, o świcie. Po cichu wyjdzie przez okno, zejdzie jakoś na dół i będzie się czołgać, dopóki nie oddali się od domu. I nieistotne, że brzmi to absurdalnie, ona i tak to zrobi. Tak, już dzisiejszej nocy.

Ileż ona ma tych pieniędzy w banku! Sporó. Chyba jakieś pół miliona dolarów. Zlikwiduje konto, ale nie weźmie gotówki, najwyżej kilkanaście dolarów. Całą resztę weźmie w czekach i będzie stopniowo je realizować. No i ma karty kredytowe, może

nimi płacić, ale potem taką kartę trzeba zniszczyć. Zakupy jednak musi zrobić, musi kupić coś do ubrania na zmianę, kosmetyki i tak dalej... I koniecznie farbę do włosów, przefarbuję sobie włosy na ciemny brąz, naturalnie później, kiedy skończy już z tym chodzeniem z czekami po bankach i gromadzeniem gotówki. Tak, dopiero potem, bo jeszcze by tego brakowało, żeby urzędnik w banku zauważył zmianę w jej wyglądzie i poinformował o tym kogoś, kogo nie trzeba...

Podróżować będzie pociągami, ale wysiadzie zawsze wcześniej, nie na tej stacji, do której wykupiła bilet. Potem kupi jakiś tani samochód, zapłaci naturalnie gotówką. Pojeździ gruchotem kilka dni i wymieni go na coś lepszego.

Zanim wyjedzie z miasta, wyśle do ojca pocztówkę. Zawiadomi go, że wszystko w porządku, ale ona musiała wyjechać na jakiś czas. Tak, powinna to zrobić, bo inaczej ojciec wpadnie w panikę, że znów ktoś ją porwał. Będzie szalał z przerażenia i zmartwienia, a ona przecież nie może mu tego zrobić. Nadal bardzo go kocha, mimo tego, co zrobił... No dobrze, ale co on w końcu zrobiło

Znów ogarnęły ją wątpliwości. To niemożliwe, żeby ojciec sprzedawał informacje terrorystom. Nie, taki człowiek jak on nie mógł czegoś takiego zrobić. Wiedziała, że jej ojciec nie u wszystkich wzbudza sympatię. Ale największym zarzutem, jaki można było mu postawić, był snobizm, i to wszystko. Jako dyplomata i ambasador był bardzo skuteczny. Owszem, współpracował z CIA, ale przecież na jego stanowisku było to regułą. Znał osobiście sześciu ostatnich prezydentów, a premierzy kilku europejskich krajów nazywali go swoim przyjacielem. I taki człowiek miałby być zdrajcą?

Nie, to chyba niemożliwe. I gdyby chodziło tylko o nią, te wątpliwości przerodziłyby się w pewność. Jednak tu chodzi o jej dziecko, maleńką istotkę, jeszcze niezauważalną dla innych ludzi, ale nie dla niej. Ona już czuła jej obecność. Jej piersi stały się tak wrażliwe, że bez przerwy była ich świadoma. Tak samo zwiększyła się wrażliwość jej łona, już lekko obrzmiałego. Tam, w środku, rozwijało się nowe życie.

Dziecko Zane'a.

A więc zrobi wszystko, podejmie najbardziej drastyczne kroki, byle tylko jej dziecko było bezpieczne. Znajdzie miejsce, w którym będzie mogła zapewnić sobie opiekę dobrego lekarza, zmieni nazwisko, wyrobi nowe prawo jazdy i nową kartę ubezpieczeniową. Nie bardzo wiedziała, jak to robi, ale przecież nigdzie nie brakuje podejrzanych typków... na pewno pomogą jej rozwiązać takie problemy. No i trzeba będzie poszukać sobie jakiejś pracy. Bez sensu jest przecież żyć tylko z tych pieniędzy, które się ma i czekać, aż się wyda ostatniego centa. Trzeba pracować, zarobić na dach nad głową i jedzenie, dla siebie i dla dziecka. A Barrie studiowała sztuki piękne i historię, mogłaby uczyć obu tych przedmiotów w jakiejś szkole. Niestety, będzie to chyba nierealne, zważywszy, że oba dyplomy ma na nazwisko Lovejoy, a ona to nazwisko zamierza zmienić. Ale w sumie to nieważne, co będzie robiła, przecież może zostać kelnerką albo pójdzie do jakiegoś biura. Wszystko jedno, weźmie każdą pracę.

Spojrzała na zegarek. Wpół do ósmej. Niezależnie od zdenerwowania, z głodu zrobiło jej się niedobrze. Jej ciężarne ciało miało swój własny program i całkowicie ignorowało jej emocje. Barrie uśmiechnęła się i delikatnie dotknęła swego brzucha.

- Już, kochanie - szepnęła cichutko. – Zaraz podjemy sobie oboje.

Szybko wzięła prysznic i ubrała się, przygotowując się psychicznie do spotkania z ojcem.

Ojciec siedział już za nakrytym na dwie osoby stołem w pokoju śniadaniowym i czytał gazetę.

- O, jak miło, że już wstałaś - powitał ją zadowolony, składając gazetę.

- Ptaki kłóciły się na drzewie i obudziły mnie - wyjaśniła Barrie, podchodząc do kredensu, żeby wziąć sobie jajka i tosty. Na widok parówek znów poczuła falę mdłości. Na wszelki wypadek zrezygnowała i z jajek, poprzestając na tostach i owocach. Miała nadzieję, że ten zestaw usatysfakcjonuje to wymagające stworzonko w jej łonie.

- Kawy? - spytał ojciec, kiedy usiadła. Srebrny dzbanek trzymał już w ręku.

- Nie, dziękuję - odmówiła pośpiesznie, czując, że jej żołądek znów daje znać o sobie. - Ostatnio pijam za dużo kawy. Chcę ograniczyć.

Naturalnie, że było to kłamstwo. Bo od kawy po prostu ją odrzucało.

- Napiję się soku pomarańczowego.

Jak na razie, jej żołądek na soki się godził.

Jedli w milczeniu, Barrie prawie cały czas z pochyloną głową. Pod koniec śniadania ojciec poinformował ją:

- Na lunchu mnie nie będzie, umówiłem się z kongresmenem Garthem. A ty masz jakieś plany?

- Nie mam - odparła zgodnie z prawdą. Jej plany dotyczyły przecież nocy, a konkretnie świtu.

Na twarzy ojca widać było ulgę.

- No to widzimy się po południu. Jadę sam, Poole zostaje. Gdybyś chciała gdzieś się wybrać, on cię zawiezie.

- Dobrze, dobrze - mruknęła Barrie. Przecież ona i tak nie miała zamiaru nigdzie wyjeżdżać.

Po wyjściu ojca zabrała się za czytanie książki, potem pospała troszkę. Teraz, kiedy podjęła ostateczną decyzję o ucieczce, czuła się o wiele spokojniejsza. A ponieważ jutrzejszy dzień będzie niełatwy, więc uznała, że dziś powinna porządnie wypocząć i zebrać siły.

Ojciec wrócił wczesnym popołudniem. Barrie siedziała na kanapie w salonie, pochylona nad książką. Uniosła głowę i natychmiast zauważyła ulgę na twarzy ojca.

- Jak minął lunch? - spytała grzecznie.

- A, takie tam zwykle rozmowy o polityce - odparł ojciec i przysiadłszy na brzegu kanapy, opowiedział krótko, o czym rozmawiał z kongresmenem Garthem.

Opowiadał krótko i bardzo ogólnikowo, po czym nagle wstał i poszedł do swego gabinetu. A Barrie z powrotem skupiła się na książce.

Nagle odezwał się dzwonek u drzwi wejściowych. A któż to taki? Odłożyła książkę, podeszła do drzwi i spojrzała przez wizjer.

A tam, z drugiej strony, stał mężczyzna. Bardzo wysoki, bardzo

barczysty i ciemnowłosy.

Serce Barrie podskoczyło w piersi, w głowie jej zaszumiało. Słyszała, jak ojciec otwiera drzwi i wychodzi z gabinetu.

- Barrie! Kto to? - zawołał. - Poczekaj! Ja otworzę.

A Barrie już szarpnęła za klamkę i spojrzała w jasne, szaroniebieskie oczy Zane'a Mackenziego. Jej serce biło tak szybko, że prawie nie mogła oddychać.

Przenikliwe spojrzenie prześlizgnęło się po całej jej postaci i z powrotem spoczęło na jej twarzy.

- Jesteś w ciąży? - spytał cicho.

- Tak - szepnęła. Skinął głową. Jeden szybki, zdecydowany ruch głową, jakby sprawa była jasna i zakończona.

- No, to bierzemy ślub, prawda?

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Usłyszała szybkie kroki ojca. Stał obok niej i położył rękę na jej ramieniu.

- Kto to jest? - spytał ostrym, nieprzyjemnym tonem.

Zane milczał przez sekundę, mierząc go bardzo chłodnym wzrokiem.

- Zane Mackenzie — przedstawił się w końcu.

Jego ciemna, opalona twarz była nieruchoma, a spojrzenie bardzo jasnych oczu przeszywające.

Barrie nie po raz pierwszy uświadomiła sobie, że ten mężczyzna potrafi być bardzo niebezpieczny. Ale w tych okolicznościach wydało jej się to dziwnie przydatne.

Twarz ambasadora Williama Lovejoya nagle poszarzała.

- Pan zdaje sobie sprawę, że dla Barrie spotkanie z panem nie jest wskazane. Moja córka próbuje ten nieszczęsny epizod wyrzucić z pamięci...

Zane spojrzał na Barrie. Dygotała na całym ciele, a w jej oczach była niema prośba. W oczach wielkich, wyrazistych i zielonych jak las... Zane odniósł wrażenie, że te oczy wcale go nie proszą, żeby był miły dla Williama Lovejoya. A to z kolei obudziło w nim natychmiast przekonanie, że nie ma co bawić się w uprzejmości, tylko od razu trzeba przejść do sedna sprawy...

- Żenię się z pańską córką - powiedział krótko, nie odrywając oczu od Barrie.

Ambasador drgnął, na jego twarzy pojawiła się panika, jednak nie zamierzał składać broni.

- Niech pan nie będzie śmieszny - wycedził. - Moja córka nie ma zamiaru wyjść za marynarza, który uważa siebie za coś

nadzwyczajnego, tylko dlatego, że jest maszyną do zabijania!

Spojrzenie Zane'a oderwało się od Barrie i spoczęło na twarzy ambasadora. Szaroniebieskie oczy straciły całkowicie swoją niebieskość. Teraz była tam tylko szarość, bardzo jasna i połyskująca, lodowata, jak arktyczna pustka. Ambasador cofnął się o krok, jego twarz z ziemistej przeszła w biel.

- Barrie? Wyjdiesz za mnie?- - spytał Zane, a jego wzrok nadal był przykuty do twarzy ambasadora.

Barrie spojrzała szybko na Zane'a, potem na ojca, któremu serce zapewne teraz stanęło w piersi.

- Tak - powiedziała głosem zdecydowanym, a ponieważ pierwsze oszołomienie minęło, jej umysł pracował teraz na najwyższych obrotach.

Zane. To naprawdę Zane. I stał się cud, że Zane zjawił się właśnie dzisiaj. Naturalnie, że wyjdzie za niego. Jest tak zdesperowana, że zrobiłaby to nawet wtedy, gdyby go nie kochała. Zane jest z SEAL-u, a ona jest zaszczuta, przerażona nieznanym wrogiem. I tylko Zane potrafi ją obronić, ją i dziecko. I to właśnie myśl o dziecku prawdopodobnie jest powodem przyjazdu Zane'a do Wirginii. Bo Zane jest mężczyzną, który swoje obowiązki traktuje serio. Naturalnie, że wolałaby, aby darzył ją tak samo gorącym uczuciem, jak ona jego. Skoro jednak jest inaczej, zadowolony się tym, co on jest w stanie jej zaoferować. A on dawał jej siebie. I to znaczyło już wiele. Ten mężczyzna pociągał ją bardzo, tak bardzo, że... Że będzie matką jego dziecka. Zostanie więc jego żoną, i kto wie, może Zane z czasem ją pokocha?

Tymczasem ambasador, ochłonawszy z pierwszego szoku, przystąpił do ataku:

- Barrie, kochanie - zaczął błagalnym tonem. - Chyba nie wyjdiesz za kogoś... takiego. Zastanów się dobrze. Przyzwyczajona jesteś do innego życia. Nigdy niczego ci nie brakowało. A co on może ci dać?

- Mimo to wyjdę za niego, tatku – oświadczyła Barrie, prostując ramiona, aby podkreślić swoją niezłomność. - I to możliwie jak najszybciej.

- Tak?- W takim razie... -Ambasador, czując, że córka jest

nieugięta, wytoczył jeszcze jeden argument, podparty miazdzącym spojrzeniem skierowanym na Zane'a. - W takim razie nie odziedziczycie po mnie ani centa - powiedział porywczo, a Barrie aż jęknęła.

Miała dość własnych pieniędzy, odziedziczyła sporo po matce i dziadkach. Ale jej w ogóle nie chodziło o pieniądze. Była porażona, że ojciec posuwa się do tak niskich argumentów.

Zane wręcz demonstracyjnie tylko wzruszył ramionami.

- No i dobrze! Nikomu nie zależy na pańskich pieniądzach. A pańska naiwność mnie zadziwia. Pan sobie wyobrażał, że zatrzyma przy sobie Barrie na resztę swojego życia. To aż śmieszne...

- Och, Barrie - jęknął ambasador. - Proszę, nie rób tego...

Barrie też jęknęła, cichutko, niezależnie bowiem od wszystkiego, nie było jej łatwo ranić własnego ojca. A teraz przecież miała powiedzieć mu jeszcze coś bardzo bolesnego.

- Jestem w ciąży, tatku - szepnęła, a ambasador omal się nie zatoczył.

- Ty? W ciąży? - wykrzyknął nienaturalnie piskliwym głosem. - Przecież mówiłaś, że cię nie zgwałcili!

- Bo i nikt jej nie zgwałcił - odezwał się Zane niskim, głębokim głosem. Spojrzał na Barrie, ona na niego i jej twarz pojaśniała.

- Tak. Nikt mnie nie zgwałcił - potwierdziła Barrie.

Ambasador przez moment wpatrywał się w nich oboje, prawdopodobnie próbując odtworzyć przebieg wypadków. Potem nagle, w mgnieniu oka, jego blada twarz zrobiła się purpurowa, jakby był o krok od apopleksji.

- Ty draniu! - krzyknął. - Wykorzystałeś ją! Wtedy, kiedy była bezbronna...

- Przestań! - Szczupła ręka Barrie wpiła się w ramię ojca. Jej nerwy i tak były napięte jak postronki, i to od samego rana. A kiedy zobaczyła Zane'a, ze szczęścia zakręciło jej się w głowie.

A teraz ta żałosna konfrontacja między Zane'em a jej ojcem całkowicie wytrąciła ją z równowagi.

- Uspokój się! - krzyknęła histerycznie. - Co ty wygadujesz! I jeśli koniecznie chcesz wiedzieć, kto kogo wykorzystał, to ja to zrobiłam, właśnie ja! A co do szczegółów, to chyba wolisz ich nie poznawać,

prawda?

Na końcu języka miała jeszcze jedno pytanie.

Czy ojciec się spodziewał, że ona całe życie będzie jego niewinną, grzeczną córeczką, a on będzie nią dyrygował! Ale powstrzymała się. Tych bolesnych słów nie dałoby się cofnąć, a przecież wiedziała, że ojciec po prostu ją kocha, może trochę za bardzo. Boi się panicznie, że ją straci, dlatego tak napadł na Zane'a. A ona... ona przecież nie jest potworem. Kocha swego egoistycznego ojca. Nagle gniew znikł, został tylko żal.

- Tatu, przecież ja domyślam się, dlaczego to wszystko - szepnęła. - Wiem, że to się nie skończyło. Dlatego wpadasz w panikę za każdym razem, kiedy wychodzę z domu. Zrozum, niezależnie od wszystkiego, ja muszę stąd wyjechać.

Prawda była zbyt oczywista. Jeszcze przez sekundę ambasador wytrzymał pełne żalu spojrzenie córki.

- Pilnuj jej — powiedział ochryłym głosem do Zane'a i wolnym, zmęczonym krokiem ruszył do swego gabinetu.

- Jasne - odparł krótko Zane, nie zaszczyciwszy ani jednym spojrzeniem pokonanego wroga, który ustępował mu placu.

Zane patrzył teraz na Barrie, a na jego surowej twarzy zakwitł ten nieprawdopodobny, zniewalający uśmiech:

- Pakuj się, mała.

Pakowanie zajęło jej niecałą godzinę. Barrie jak wicher wpadła do swego pokoju, wyciągnęła walizki i rzuciła je na łóżko. Suknie wieczorowe i eleganckie kostiumiki pozostały na wieszakach. Do walizek wlatywały rzeczy bardziej praktyczne, bardziej stosowne w tej nietypowej przecież sytuacji. I przebierać się nie ma sensu. Długa bawełniana spódnica i top to strój odpowiedni na podróż. Barrie nałożyła jeszcze szybko jedwabną sportową bluzkę i gotowa była do wymarszu. A instynkt jej podpowiadał, że trzeba się śpieszyć.

Walizki były na kółkach, bez kłopotu więc dojechała nimi do szczytu schodów. A Zane biegł już do niej, przeskakując po dwa stopnie.

- Nie dźwigaj, ja je wezmę - powiedział, wyjmując jej walizki z rąk. - Trzeba było mnie zawołać.

Jego ton był taki sam, jak wtedy, kiedy dowodził swoimi ludźmi.

Ale Barrie była zbyt zdenerwowana, żeby teraz mu to wytknąć. A Zane podniósł wszystkie trzy walizki niemal jednym palcem i ruszył schodami na dół.

- A dokąd my właściwie jedziemy?- - pytała Barrie, sunąc za nim. - Jedziemy samochodem czy lecimy

- Lecimy. Do Las Vegas.

- A masz już bilety?

Aż przystanął, a spojrzenie, rzucone przez ramię, było raczej chłodne.

- Oczywiście, że mam.

Jego pewność siebie była trochę irytująca, a także niepokojąca, i przez głowę Barrie nagle przemknęła niemiła myśl. Przecież ona właściwie nie wie, w co się pakuje. Zane, zdaje się, także w życiu prywatnym ma siebie i innych pod kontrolą, a byłoby przykro, gdyby jedyna nić porozumienia między nimi nawiązywać się miała tylko w łóżku.

Nagle wróciły wspomnienia. Policzki Barrie oblały się rumieńcem, i to wcale nie z powodu wysiłku, jaki wkładała, aby nadażyć za rączym krokiem Zane'a Mackenziego.

- Zane! - wołała, biegnąc za nim. - O której odlatuje samolot. Zdam przedtem wpaść do banku? Chcę zlikwidować konto.

- Po co - rzucił przez ramię, już w drzwiach wejściowych. - Założysz sobie nowe konto i każesz przelać swoje pieniądze.

Poszedł z walizkami do wynajętego samochodu. A Barrie zatrzymała się w holu przed frontowymi drzwiami, odwróciła i wolnym krokiem podeszła do drzwi gabinetu ojca. Zapukała. Nikt nie odpowiadał, nacisnęła klamkę i weszła do środka.

Ojciec, z twarzą ukrytą w dłoniach, siedział za swoim biurkiem.

- Chciałam się pożegnać - powiedziała cicho.

Nie poruszył się, ale zauważyła, że jabłko Adama na jego szyi drgnęło.

- Jak najszybciej zawiadomię cię, tatusiu, gdzie jestem.

- Nie, Barrie - powiedział zduszonym głosem. - Nie rób tego.

Odślonił oczy. Zobaczyła w nich udękę.

- Jeszcze nie teraz, Barrie. Wstrzymaj się z tym. Na razie nie chcę znać twojego adresu.

- Dobrze. - Miał przecież rację. Tak będzie bezpieczniej.
- Córeczko... ty wiesz, że ja chcę tylko twojego dobra.

Barrie czuła, że jej broda zaczyna się trząść.

- Wiem, tатku.

- To nie jest człowiek dla ciebie. Ludzie z SEAL-u są inni, oni są... Chociaż, może to i lepiej. Ten człowiek będzie umiał zadbać o twoje bezpieczeństwo. A to teraz jest najważniejsze. A ja... ja po prostu kocham cię, moje dziecko... Byłaś treścią mego życia. A wybuchnąłem tylko dlatego...

- Tатku, ja wiem, ja rozumiem. I ja też cię kocham, bardzo...

Wysunęła się z pokoju, cicho zamykając za sobą drzwi. A w korytarzu czekał już Zane. Jego ręka zdecydowanym ruchem objęła jej talię. Została wyprowadzona z domu, podprowadzona do samochodu i usadowiona w środku. Potem Zane zatrzasnął drzwi, mocno, tak jakoś bezapelacyjnie, usadowił się za kierownicą i wyruszyli w drogę na lotnisko.

Jeźdźnia była zatłoczona. Zane skutecznie manewrował wśród samochodów. Wykonawszy kolejny zakręt, spojrzał przelotnie na Barrie i przerwał milczenie:

- W samolocie będzie kupa ludzi. Dlatego teraz mi powiedz, o co tu w ogóle chodzi.

Oczy miał osłonięte ciemnymi okularami, ale nawet przez te ciemne szkła Barrie czuła, że jego wzrok jest teraz chłodny. No cóż, ten mężczyzna chyba nie potrafi o nic prosić. On umie tylko wydawać rozkazy. Nie będzie jej z nim łatwo, oj, nie będzie. Barrie westchnęła ciężko, ale już po chwili postanowiła, że jednak powinna mu jak najszybciej opowiedzieć wszystko, i to bardzo szczerze, chociażby ze względu na bezpieczeństwo dziecka, którego jest ojcem.

- Chciałabym, żebyś wiedział, że jednym z powodów, dla których zdecydowałam się wyjść za ciebie, jest fakt, że bardzo potrzebuję ochrony. A ty jesteś z SEAL-u. I gdyby zdarzyło się coś złego, będziesz wiedział, co zrobić.

- Złego?- powtórzył Zane głosem pozbawionym emocji.

No cóż, dla człowieka wykonującego taką pracę rzeczy złe są chlebem powszednim.

- Myślę, że porywacze spróbują jeszcze raz. A teraz martwię się nie tylko o siebie... - Jej ręka bezwiednie przesunęła się po brzuchu, tak jak to robią kobiety w ciąży. Jakby chciała się upewnić, że jej upragniony potomek tam jest i że jest zupełnie bezpieczny.

Zane przez chwilę milczał, popatrując w boczne lusterko.

- Zgłosiłaś w FBI?- Albo na policji?

- Nie.

- Dlaczego nie?

- Bo myślę... myślę, że mój ojciec jest w coś wplątany - wyznała, dławiąc się swoimi słowami.

Zane znów spojrzął w lusterko.

- A niby w co twój ojciec miałby być wplątany?

- Wiem, że porwano mnie nie dla okupu. I z tego wynika bardzo prosty wniosek. Chcieli uzyskać od ojca jakąś informację. Nic innego nie przychodzi mi do głowy.

Zane zręcznie przemykał między samochodami i milczał, a Barrie pomyślała, że pewnie teraz ten jego chłodny logiczny umysł rozpatruje różne możliwości.

- Może i masz rację. Może twój ojciec jest w coś wplątany, może też sam już się zgłosił do FBI. W każdym razie ciebie trzeba jak najszybciej przewieźć w bezpieczne miejsce... - Nagle urwał i rzucił:

- Trzymaj się!

Gwałtownie skręcił w prawo. Samochód z piskiem opon przemknął tuż przed maską innych samochodów i wjechał w jakąś boczną ulicę.

Barrie rzuciło w bok, pasy wpiły się w jej ciało.

- Co... co się dzieje? -! - krzyknęła, próbując się wyprostować.

- Chyba mamy towarzystwo.

Serce Barrie podskoczyło do gardła. Przerazona, wbiła wzrok w samochody, robiąc gorączkowy przegląd.

- Dwóch facetów między trzydziestką a czterdziestką. Typy kaukaskie. Mają ciemne okulary - poinformował Zane bezbarwnym głosem, jakby obserwował chmurki na niebie.

Przypomniała sobie jego wręcz żelazne nerwy w Ben Ghazi. Im

bardziej niebezpiecznie, tym bardziej był opanowany.

A więc Zane jest pewien, że ktoś ich ściga. Barrie czuła, że jej żołądek dziwnie się obsuwa, a jej robi się potwornie niedobrze. Bo co innego podejrzewać, że grozi niebezpieczeństwo, a co innego odczuwać to na własnej skórze.

Dopiero teraz to, co powiedział, dotarło do niej dokładniej.

- Kaukaskie typy? — powtórzyła. - Ale... - urwała i po chwili szepnęła: - No tak.

Żadne „ale”, to wszystko ma swój sens. Podświadomie oczekiwała zagrożenia jedynie ze strony Libijczyków, a przecież powinna pamiętać, że ten węzeł gordyjski może splątywać zarówno Libijczyków, jak i ludzi Macka Prewetta. A Prewett to człowiek, który ma bardzo wielkie możliwości i szerokie kontakty. Jego wpływy sięgają daleko, pewnie też na Kaukaz. Dlaczego nie? Powinna więc oczekiwać zagrożenia także ze strony „kaukaskich typów”, a właściwie ze strony każdego, nie tylko mieszkańców Bliskiego Wschodu. Nie może więc nikomu wierzyć, ani białym, ani czarnym, ani typom orientalnym. Nikomu, tylko Zane'owi Mackenziemu.

- Musimy zmienić wóz, i to jak najszybciej - powiedział Zane. - Zadzwoń, do kogo trzeba.

- Ale oni i tak mnie wytropią - powiedziała Barrie, bo nagle uzmysłowiła sobie, że jej bilet jest przecież wystawiony na jej nazwisko. A jeśli prześladowcami kieruje Mack Prewett, to on nie będzie miał problemu ze zdobyciem informacji, czy panna Lovejoy kupowała ostatnio bilet na samolot. Bo chociaż CIA operuje tylko poza Stanami, to Prewett z pewnością ma znaczne wpływy na terenie kraju i odpowiednie osoby gwarantują mu dostęp do informacji z reguły niedostępnych dla zwykłych śmiertelników.

- Możliwe, Barrie, ale to trochę potrwa. Na razie zgubiliśmy ich, ale wiedzą już, że wyjeżdżasz i prawdopodobnie niedługo będą wiedzieli, z kim jedziesz. Bo jeśli dojrzeli numery tego samochodu, to żaden problem sprawdzić, na czyje nazwisko został wypożyczony. Jednak nie sądzę, żeby byli tacy szybcy i na razie nie trzeba się o to martwić ani nie ma sensu zmieniać naszych planów. Lecimy do Las Vegas, potem do Arizony.

- Do Arizony?

- Tak. Już nie jestem w SEAL-u. Wystąpiłem z Marynarki Wojennej. Teraz jestem szeryfem w jednym z hrabstw w Południowej Arizonie. Poprzedni szeryf zginął podczas akcji, do końca jego kadencji zostały jeszcze dwa lata. No i zaproponowano mi, żebym to ja się teraz w to pobawił.

Szeryf? No cóż... Nad tym też należało przejść do porządku.

- Och, w końcu nieważne, co będziesz robił. Ważne, co potrafisz.

- Rozumiem. - Zane wzruszył ramionami i wjechał do dużego wielopoziomowego parkingu. - Zdecydowałam się wyjść za mnie, bo potrzebujesz dobrego ochroniarza.

Opuścił szybę i wychylił się, żeby wyciągnąć z automatu bilet. A Barrie nerwowo splatała i rozplatała palce. Uczucie nieprzytomnej radości, jakie owładnęło nią na widok Zane'a, znikło całkowicie. Teraz była tylko i wyłącznie zmartwiona. Zane zjawił się w Wirginii, poprosił ją o rękę, ale prawdopodobnie Barrie myliła się bardzo, sądząc, że oni są dla siebie nawzajem atrakcyjni. Teraz czuła się po prostu skonsternowana. Zane nie wydawał się specjalnie uszczęśliwiony jej widokiem. A przecież niebawem zostanie jej mężem. I ojcem jej dziecka. I będzie bronił ją i jej dziecka przed nieznanym wrogiem...

I nawet jej nie pocałował...

- Zane, ja przede wszystkim chcę, żebyś chronił nasze dziecko. A zgodziłam się wyjść za ciebie jeszcze z kilku innych powodów. Ale dziecko jest teraz najważniejsze.

- Masz rację. Nie pozwolę skrzywdzić ani dziecka, ani ciebie, Barrie.

Spojrzał na nią przelotnie i zajął się wprowadzaniem samochodu na trzeci poziom. Po zaparkowaniu zdjął okulary przeciwsłoneczne i wysiadł z samochodu.

- Poczekaj tu - rozkazał, jak to on, i szybkim krokiem podszedł do automatu telefonicznego. Wybrał numer i ze słuchawką przyłożoną do ucha odwrócił się i spoglądał na Barrie.

A ona czuła, że nerwy odmawiają jej posłuszeństwa, bo trzęsło się w niej wszystko, kiedy spoglądała na niego. A więc wychodzi za

mąż za tego oto mężczyznę. Wydawał się teraz jeszcze wyższy i trochę szczuplejszy, mimo że jego bary nadal rozsadały biały T-shirt. Ciemne włosy były trochę dłuższe, skóra brązowa, opalona. I mimo tego nieznacznego spadku wagi nie było żadnych oznak, że dwa miesiące temu został ciężko postrzelony i niemal cudem uniknął śmierci. Tak. Jego tężyzna fizyczna była imponująca i onieśmielająca. W ogóle on cały był onieśmielający. Jakże mogła o tym zapomnieć?- Pamiętała przede wszystkim jego czułość i namiętność, a przecież na jej oczach zabił tamtego strażnika. Gołymi rękami. Żadna broń nie była mu potrzebna.

A ona, zafascynowana jego siłą i umiejętnościami, które w tamtej sytuacji były nieodzowne, zapomniała, że te umiejętności stały się częścią jego osobowości. Bo to nie jest coś, co można wykorzystać, a potem odstawić do kąta. To tkwi w nim, a ona będzie musiała z tym współżyć i zaakceptować Zane'a takim, jaki jest. On do końca nie da się oswoić. To tygrys, a nie domowy kocur. I nigdy się nie zmieni.

Ale to napięcie, wyczuwalne teraz między nimi, odbierało jej całą odwagę. Tyle dni i nocy marzyła, że znów zobaczy Zane'a, a on wyciągnie ramiona i ona rzuci mu się w objęcia. Kiedy nagle ujrzała go w drzwiach, była pewna, że jej marzenie się spełniło. Tymczasem rzeczywistość bardzo różniła się od marzeń... bardzo.

Prawdą było, że w sumie dotychczas spędzili ze sobą około dwudziestu czterech godzin, i było to dwa miesiące temu. Wtedy połączyła ich wielka, wręcz szalona namiętność. Barrie zaszła w ciążę. I, niestety, mimo tego jedyne go ważnego faktu, liczba wspólnie spędzonych godzin nadal pozostawała bez zmian.

A może on był zaangażowany uczuciowo?- Może miał jakąś kobietę, ale poczucie odpowiedzialności kazało mu odszukać Barrie i przekonać się, czy tamte upojne godziny nie mają poważnych konsekwencji. Przecież ona niczego nie wie o jego życiu prywatnym. Gdyby знаła jego rodzinę, wiedziała, skąd pochodzi, sama by go odnalazła. Stało się inaczej i może on myśli, że wcale nie szukała z nim kontaktu ani nie próbowała dowiedzieć się o jego zdrowie... Dowiedzieć się, czy żyje, czy umarł...

Zane wracał już do samochodu. Jego kroki były miękkie, lekkie i

jednocześnie takie pewne. Jak kroki drapieźnika. Nieruchoma ciemna twarz pobawiona była jakiegokolwiek wyrazu. Tak... Z tej twarzy nie można było niczego wyczytać. I to powoli zaczynało jej działać na nerwy.

- Będą tu za parę minut - powiedział, siadając za kierownicą.

Skinęła tylko głową, po czym, jeszcze panując nad sobą, spokojnie oświadczyła:

- Wtedy, tego dnia... Z lotniskowca natychmiast wywieźli mnie do Aten, a ty byłeś jeszcze na sali operacyjnej. Próbowałam się potem jakoś z tobą skontaktować, dowiedzieć się, czy żyjesz, jak się czujesz, w którym jesteś szpitalu. Dowiedzieć się czegokolwiek. Ale ojciec poprosił admirała Lindleya, żeby mi skutecznie w tym przeszkodził. Przekazano mi tylko informację, że żyjesz i że wszystko z tobą w porządku.

- Tak, wszystko ze mną w porządku.

Jego głos był doskonale obojętny, wzrok utkwiony w boczne lustro, w którym było widać samochód wolno wjeżdżający po rampie na wyższą kondygnację.

- Przepraszam - odezwała się Barrie po upływie kilku minut. - Zdaję sobie sprawę, że masz teraz po prostu ze mną kłopot.

Nareszcie na nią spojrział. Ale tylko przelotnie, a jego jasne oczy nie przekazywały niczego.

- Gdybym nie chciał, nie byłoby mnie tutaj.

- Masz jakąś dziewczynę?

Tym razem spoglądał na nią nieco dłużej, właściwie to nawet długo. Tak długo, że aż się zarumieniła, opuściła głowę i z wielką uwagą zaczęła oglądać swoje dłonie.

- Gdybym kogoś miał, nie kochałbym się z tobą - powiedział w końcu.

Barrie ze zdenerwowania zagryzła wargi. Było źle, a teraz jest jeszcze gorzej. Zane robi się coraz bardziej chłodny i daleki, jakby ta króciutka chwila, kiedy poprosił ją o rękę, w ogóle się nie zdarzyła. Czowała ucisk w dołku, czowała, że robi jej się potwornie gorąco... Połykała ślinę, modląc się w duchu, aby ustąpił atak mdłości. Przecież zwykle pojawiał się rano... Dlaczego teraz, zastanawiała się, ale już w sekundę później wyskoczyła z samochodu, rozglądając

się rozpaczliwie dookoła. Do licha, gdzie tu może być toaleta?

- Barrie! - Zane wyskoczył za nią z samochodu.

A ona nie miała już nawet sekundy do stracenia.

W którą stronę biec? Wszędzie dookoła mogą być jacyś ludzie. Chyba będzie musiała zwymiotować po prostu kawałek dalej, na beton. Jednocześnie wszystko w niej burzyło się przeciwko temu. Tylko jej żołądek nie mógł się już doczekać.

I kiedy Zane obszedł maskę samochodu, ona już rozpaczliwie zatykała dłonią usta.

Jego surowe, jasne oczy jakby złagodniały.

- Tam! - powiedział, obejmując ją ramieniem i podprowadzając na brzeg kondygnacji, otoczonej niewysokim, chyba metrowym murkiem z betonu.

Opierała się trochę, pewna, że za tym murkiem, tam na dole, stoi tłum ludzi. I ona komuś sprawi paskudną niespodziankę. Ale Zane nie puścił. Konsekwentnie doprowadził ją do tego murka, mało tego, troskliwie przytrzymał, kiedy wykonywała tę okropnie żenującą czynność. A kiedy ta koszmarna scena wreszcie się skończyła, dla Barrie, drżącej jak w febrze, jedynym pocieszeniem był fakt, że na dole była tylko alejka, i do tego pusta.

Zane nie puścił jej, ale oparł ją o siebie i wytarł jej spocone czoło chusteczką. Zabrała mu tę chustkę i wytarła sobie usta, czując, że w środku skręca się ze wstydu. Absolwentka renomowanej szkoły szwajcarskiej zanieczyszcza miejsce publiczne!

Zane nadal jej nie puszczał i nagle uzmysłowiła sobie, że on tak jakos czule objął ją ramionami i mruczy jej coś do ucha. A potem jego usta przesunęły się po jej włosach. Jedna silna dłoń spoczęła na jej łonie, dłoń tak duża, że całe to łono zakryła. Kolana Barrie zrobiły się dziwnie miękkie, jak z waty, a jej głowa, tak niechcący, oparła się o jego ramię.

- Kochanie? Już lepiej? - szepnął i przycisnął usta do jej skroni.
- Możesz iść czy zanieść cię do samochodu?

Nie była w stanie zebrać myśli, żeby udzielić mu logicznej odpowiedzi. A Zane widocznie doszedł do wniosku, że dał jej dostatecznie dużo czasu na podjęcie decyzji, bo wziął ją na ręce i w ten oto miły sposób Barrie pokonała drogę powrotną do samochodu.

Tu została usadowiona na swoim miejscu. Zane nawet ułożył jej nogi, jak należy i wygładził spódnice, po czym zaofiarował się:

- Przyniosę coś do picia.

- Tak, ba... bardzo proszę - wyjąkała. - Tylko bez kofeiny.

- Przez moment będziesz sama. Obserwuj wszystko, co dzieje się dookoła. A jeśli coś cię zaniepokoi, naciśnij klakson.

Skinęła głową. Zane odblokował zamek i zatrzasnął drzwi, zostawiając Barrie w kokonie ciszy.

Wolałaby trochę świeżego powietrza, ale rozumiała przecież, że nie powinna teraz stać sama, na zewnątrz, na widoku. Oparła głowę na zagłówek i zamknęła oczy. Mdłości przeszły równie szybko, jak się pojawiły. Mimo to w środku trzęsa się jak galareta. Czuła się słaba i trochę oszołomiona nagłym wybuchem czułości Zane'a. Choć nie powinno to jej tak zaskakiwać. Nosila jego dziecko. I to zresztą skłoniło Zane'a, żeby ją odszukać. A kiedy zorientował się, że jest jej niedobrze - dolegliwość w końcu naturalna w jej stanie - okazał jej miłą troskę. I jeszcze raz zademonstrował, jak szybko potrafi podejmować decyzje w nieoczekiwanych okolicznościach.

Nagle drgnęła. Usłyszała ciche stukanie w szybę, a ponieważ wpadła w stan dziwnego półsnu, nie sądziła, że Zane wróci tak szybko. Ale zobaczyła za szybą zieloną puszkę, wyjętą zapewne z lodówki, bo na puszcze lśniły kropelki wody. I nagle uświadomiła sobie, że chce jej się okropnie pić. Otworzyła szybko drzwi, wyrwała mu puszkę z ręki i zanim Zane usadowił się na swoim miejscu, zdążyła wypić do dna. Westchnęła zadowolona i usłyszała z boku cichy śmiech. Ten śmiech szybko ucichł, Zane utkwiał wzrok w bocznym lusterku.

- Już jedzie - powiedział. - Nasz nowy samochód.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Wychodziła za niego za męża, bo chciała, aby ją chronił. Ta myśl nie dawała Zane'owi spokoju podczas całego długiego lotu do Las Vegas. Barrie siedziała obok niego cichutko. Na jego pytania odpowiadała monosylabami i co pewien czas dyskretnie ziewała. Ogólnie sprawiała wrażenie osoby, która była w wielkim kłopotcie, a teraz napięcie opadło i jej ciało poddało się zmęczeniu. A w końcu oparła głowę na jego ramieniu i zapadła w spokojny głęboki sen.

Zane pomyślał, że ciąża daje jej się we znaki. Była, co prawda, jeszcze niewidoczna, ale Zane wiedział, jak źle czują się kobiety w pierwszych miesiącach błogosławionego stanu. Jego bracia mają już przecież sporą gromadkę małych Mackenziech. Shea i Loren męczyły się bardzo, tylko Caroline, matki pięciu synów, nic nie ruszało. A teraz, proszę bardzo, również Zane Mackenzie będzie miał potomka. Zane poczuł przyływ wielkiej radości. To będzie jego dziecko, jego własne. Miał wielką ochotę wziąć Barrie na kolana, na pewno by jej nie obudził. Ale w zatłoczonym samolocie należało się powstrzymać od takich demonstracji czułości. Trzeba poczekać na upragniony moment, kiedy po ceremonii ślubnej skryją się w pokoju hotelowym.

Pragnął tej rudej sówki. Chyba jeszcze bardziej niż za pierwszym razem.

Kiedy otworzyła mu drzwi i spojrzał w te szeroko otwarte, pełne zdumienia oczy, ledwo się powstrzymał, żeby nie porwać jej w ramiona. Niestety, na horyzoncie pojawił się pan ambasador.

Nie powinien był tak długo zwlekać, trzeba było wcześniej zjawić się u Barrie. Kiedy zaczął już samodzielnie chodzić. Przecież ona cały czas żyła w strachu i, tak samo jak w Ben Ghazi, pokonywała ten strach ze spokojną determinacją.

A on za wszelką cenę pragnął, żeby ona już nigdy w życiu się nie bała.

Bunny i Spook nadjechali z fasonem podrasowanym przez

Bunny'ego autem marki Oldsmobile 442 z 1969 roku. Barrie na ich widok z radosnym piskiem wyskoczyła z samochodu. Chłopcy z SEAL-u wyściskali ją serdecznie i obracali nią dookoła jak laleczką. Zane z zadowoleniem zauważył, że obaj bardzo dyskretnie byli uzbrojeni, o czym świadczyły ich luźne koszule wyłożone na spodnie. Znak, że za paskiem od spodni albo pod pachą wsunięta jest broń. Zwykle chłopcy z jednostki poza służbą nie nosili broni. Zane przedstawił kumplom krótko sytuację, pozostawiając im wolną rękę. W końcu nie był już ich dowódcą. Ale chłopaki zrobili tak, jakby on sobie tego życzył. On zresztą też miał pistolet ukryty w futerale pod pachą.

- Panno Lovejoy, spoko, dostawimy panią i szefa w całości - zapewniał Spooky. - To bryka z NASCAR... a bryka Bunny'ego zawsze wykosi na ulicy wszystkie samochody.

- Nie wątpię - przytaknęła uprzejmie Barrie, zerkając z ciekawością na bardzo osobliwy pojazd. Jasnoszara farba pokrywała całą karoserię, łącznie z chromowanymi detalami, które ten samochód zapewne posiadał, kiedy opuszczał fabrykę. Grubość opon była wręcz zastanawiająca, a głuchy, złowrogi pomruk, wydobywający się spod maski świadczył niezbicie, że potężny silnik też nie został zamontowany przez producenta.

- Szyby kulooodporne, wzmocnione metalem - informował dumnie Bunny, razem z Zanem ładując rzeczy Barrie do bagażnika. - Płyta stalowa byłaby za ciężka, nie mógłbym rozwijać takiej szybkości, jak chcę. Dlatego zastosowałem materiał pancerny nowszej generacji, lżejszy i mocniejszy. A teraz pracuję nad ogniotrwałością.

- Czyli rzeczywiście w pańskim samochodzie człowiek może czuć się całkowicie bezpieczny - powiedziała pełna podziwu Barrie, a kiedy już wsiadła razem z Zanem do tego zakamuflowanego czołgu, spytała cichusieńko:

- Zane? A gdzie leży ten Nascar?

Niestety, nie wiedziała, że Spook ma znakomity słuch i nawet z odległości czterdziestu kroków słyszy spadającą kroplę.

- Gdzieś - powtórzył przeciągle, spoglądając na Barrie, jakby spadła z księżycy. - Trzeba spytać, co to jest, panno Lovejoy!

NASCAR to wyścigi samochodów standardowych, które każdy może ulepszyć po swojemu.

Spooky był w szoku, i wcale tego nie krył. Spooky był z Południa, a tam od pieluszek każdy chłopak wie, co to NASCAR.

- Przepraszam - szepnęła Barrie ze skruchą. - Ale wiele lat spędziłam w Europie. A na wyścigach samochodowych to ja w ogóle się nie znam. Słyszałam tylko o wyścigach o Grand Prix...

- Grand Prix - prychnął Bunny. - Tam jeżdżą zabawki, i mogą jeździć tylko po torze. A my ścigamy się po jezdniach i drogach, wszędzie. Nasze wyścigi to prawdziwe wyścigi.

W międzyczasie zdążył wyprowadzić swoje monstrum z parkingu i włączyć się do ruchu ulicznego.

- Rozumiem... a ja chodziłam na wyścigi konne - oświadczyła Barrie, wyraźnie próbując się zrehabilitować. Zabrzmiało to tak dziecinnie, że Zane z trudem ukrył uśmiech.

- I pewnie jeździsz konno - spytał.

- Oczywiście! Kocham konie! - wyznała z entuzjazmem.

- No to pasuje pani do Mackenziego - oświadczył Spooky. - Szefa hobby to hodowla koni.

- Naprawdę?- Twarz Barrie pojaśniała. - Zane A ile ty masz tych koni?

- No... będzie chyba ze trzydzieści.

Barrie aż jęknęła. Zane wiedział, co ją tak zdumiało. Utrzymanie jednego konia kosztuje sporo, a co dopiero trzydziestu! Poza tym konie to przestrzeń zielonych łąk, swoboda, i jakoś to nie pasowało do oficera Marynarki Wojennej, który dowodził jednostką specjalną.

- To nasz rodzinny biznes - wyjaśnił Zane, a jego głowa jednocześnie obracała się na wszystkie strony.

- Teren czysty, szefie - uspokoił go Bunny. - O ile nie namierzą nas radarem, ale to chyba niemożliwe.

- Jasne. Bez przesady.

Zane odprężył się. Pewnie, że niemożliwe. Namierzenie pojazdu Bunny'ego i wysłanie za nim „ogona” wymagało trochę czasu, i raczej okazałoby się nieefektywne. Bunny kluczył po mistrzowsku, śmigał przez zaulki, zawracał, zakręcał, objeżdżał. I tak, w ten oto

sposób, dojechał na lotnisko w zawrotnym tempie. Na lotnisku Bunny i Spooky ubezpieczali ich możliwie jak najdłużej, to znaczy do momentu, gdy Zane i Barrie zbliżali się już do punktu kontrolnego. I kiedy Zane, ze swoim pistoletem pod pachą, spokojnie przechodził pod nosem ochroniarzy, Spooky i Bunny zajęli się kolejnym zadaniem. Mieli wrócić na parking i odstawić wóz do wypożyczalni, ale nie do punktu na lotnisku, gdzie wypożyczył go Zane, tylko do agencji w Dulles. Następny drobny wybieg, o tak, na wszelki wypadek.

I teraz, kiedy Zane i Barrie siedzieli bezpiecznie w samolocie, Zane podjął pierwszą decyzję. Przede wszystkim trzeba poprosić Chance'a, aby zorientował się, czy ambasador Lovejoy faktycznie jest w coś wplątany. Chance potrafi dotrzeć do takich informacji, że Agencja do Spraw Bezpieczeństwa Wewnętrznego powinna spalić się ze wstydu. Ze względu na Barrie, Zane życzyłby sobie, aby wszelkie jej podejrzenia okazały się niesłuszne. Jeśli jednak okaże się, że William Lovejoy zdradził swój kraj, wtedy będzie musiał za to gorzko zapłacić.

Barrie spała słodko, dopóki koła samolotu nie uderzyły o płytę lotniska. Wtedy nagle otworzyła oczy, wyprostowała się i popatrzyła na Zane'a wzrokiem raczej mało przytomnym. Jej ciągła ospałość zadziwiała ją samą. Z jednej strony czuła, że należy to potraktować z dystansem. Po prostu taki to już los przyszłych matek. A poza tym ten sen bardzo się jej przydał. Czuła się silniejsza, naładowana energią, tak teraz potrzebną w obliczu kolosalnej zmiany, jaka miała nastąpić w jej życiu.

- Najpierw muszę wziąć prysznic i przebrać się- oświadczyła stanowczym głosem. Wiedziała, że śluby w Las Vegas odbywają się nieco pośpiesznie i sporo różnią się od typowej ceremonii ślubnej.

Trudno, potrafi obejść się bez pompy, ale to nie znaczy, że ma wychodzić za mąż niedomyta i w wymiętej spódnicy.

Zane wcale nie oponował.

— Jasne! Jedziemy do hotelu. Mnie też przydałoby się ogolić i odświeżyć.

Na jego twarzy widać było lekki zarost i Barrie pozwoliła sobie na jedno malutkie wspomnienie. Wtedy, w Ben Ghazi, też był

nieogolony... znów poczuła na nagich piersiach delikatne drapanie jego zarostu... rozkoszne... Zarumieniła się, a chłodne powietrze, wlatujące przez mały otwór nad jej głową, nagle przestało ją wystarczająco chłodzić...

- Barrie?- Źle się czujesz - spytał, spoglądając na jej płonące policzki.

- Nie. Po prostu jest mi trochę gorąco - odparła, w końcu zgodnie z prawdą, ale jednocześnie rumieniąc się jeszcze bardziej. Nieświadomie dotknęła swoich piersi. A Zane nie spuszczał z niej przenikliwych oczu. I nagle niepokój w jego oczach znikł, a więc domyślił się i Barrie poczuła gwałtowną ochotę zapaść się pod ziemię, jak najgłębiej. Bo wzrok Zane'a bezbłędnie powędrował w dół, właśnie do jej piersi.

- To one są aż tak wrażliwej - wymruczał.

Sadysta! Siedzą w środku samolotu, wśród tłumu ludzi, zrywających się z foteli i zmierzających ku wyjściu, a on zadaje jej tak intymne pytanie! I patrzy na nią tak, jakby zaraz miał zamiar zedrzeć z niej tę wymiętą sportową bluzkę!

- Barrie Czy tak?

- Tak... - potwierdziła cichutko, nie uświadamiając go do końca, że jej całe ciało zrobiło się już nadwrażliwe, i z powodu ciąży, i z powodu jego bliskości, i z powodu tej świadomości, że on wkrótce będzie jej mężem. I ona po raz drugi będzie leżeć w jego ramionach.

- Najpierw ślub - powiedział cicho Zane, jakby rozmawiał z jej myślami. - Bo jak zaczniemy... to do jutra nie wyjdziemy z hotelu.

Stewardesa poprosiła pasażerów, aby pozostali na swoich miejscach, dopóki drzwi samolotu nie zostaną otwarte. Jak zwykle, pasażerowie zignorowali prośbę i jak jeden mąż powstali z foteli. Zaczęło się gremialne wyciąganie podręcznego bagażu ze schowków lub spod foteli, a ci, co byli najszybsi, tłoczyli się już w przejściu między rzędami foteli. Zane wstał też, i też sięgnął do schowka nad głową. Kiedy unosił ręce, poły marynarki rozchyliły się i przed oczyma Barri błysnęła metalowa kolba pistoletu. Zane prawie natychmiast potrząsnął ramieniem, i poła opadła na swoje miejsce. Był to ruch, który zapewne wykonywał wiele razy, dlatego zrobił to bezwiednie.

Wiedziała, że jest uzbrojony. Słyszała przecież, jak zgłaszał to ochronie lotniska. Ale podczas lotu, kiedy człowiek zwykle tępieje od beczynności i nudy, jakby zapomniała o grozie sytuacji. A teraz, niestety, widok pistoletu przywrócił ją całkowicie do rzeczywistości.

W hali lotniska brzęczało jak w ulu. Chłodne spojrzenie Zane'a bez przerwy lustrowało ludzi dookoła, i zawsze - Barrie zauważyła to już wcześniej - starał się, aby ona szła przy ścianie, on ustawiał się z drugiej strony, osłaniając ją własnym ciałem. Przypomniała sobie, że on już kiedyś tak ją osłaniał... I wtedy też, kiedy pchnął ją na dno łodzi, a kula przeszła jego bok. I nagle zapragnęła podsunąć go pod tę ścianę i osłaniać własnym ciałem, żeby już nikt... żeby już nigdy...

- Zatrzymaj się - powiedział nagle. Barrie zmartwiła z przerażenia.

- Za...zauważyłeś coś

- Nie, nie. Czekamy na kogoś.

Spojrzał na nią. W jego szaroniebieskich chłodnych oczach zapaliła się jakaś cieplejsza iskierka.

- Brawo, panno Lovejoy! Spisuje się pani bardzo dzielnie. I kto by się tego spodziewał po rozpieszczonej panience!

Rozpieszczona panienska... Też wymyślił... Jednak nie zdążyła wystąpić z błyskotliwą ripostą, bo zaczepił ich jakiś starszy mężczyzna w garniturze, z nadajnikiem w rękę.

- Przepraszam, szeryf Mackenzie?

- Tak, to ja - odparł Zane.

- Travis Hulsey, ochrona lotniska - przedstawił się mężczyzna. - Zgodnie z pańskim życzeniem bagaż pana został zabezpieczony. Proszę za mną.

A więc pomyślał nawet o tym! Barrie była zachwycona. Porwanie na lotnisku byłoby raczej niemożliwe, wszędzie kręciła się ochrona. Ale porywacze mogli przecież czatować na nią już przy stanowisku, gdzie wydaje się bagaż. A potem wyszliby za nią z lotniska i śledzili, czekając na dogodny moment. A Zane to wszystko przewidział i udaremnił.

Pan Hulsey wyprowadził ich przez boczne drzwi. Na trotuarze grzecznie stały trzy walizki Barrie i torba podróżna Zane'a. Przy krawężniku czekał samochód, a przy samochodzie wyprężony na

baczność młody człowiek, ubrany co prawda po cywilnemu, ale jego włosy ostrzyżone były krótko, jak u żołnierza.

- Sir! Pilot Zacharias melduje się na rozkaz!

- Spocznij! - powiedział Zane, wyraźnie walcząc z uśmiechem. - Czy ty, chłopcze, przypadkiem nie mylisz mnie z moim bratem?

Pilot Zacharias wykonał „spocznij” i uśmiechnął się szeroko.

- Przepraszam, sir, ale w pierwszej chwili nie byłem pewny.

- W porządku. Powiedz mi tylko jedno. Czy jesteś na przepustce? Nie chciałbym, żebyś poświęcał dla mnie swój wolny czas.

- Sir! Zgłosiłem się dobrowolnie. Pan generał okazał mi kiedyś wielką życzliwość. I jestem szczęśliwy, że mogę się teraz na coś przydać bratu pana generała.

Brat generała? Barrie ze zdziwienia uniosła brwi. Ho, ho! Najpierw trzydzieści koni, a teraz brat generała... Ponownie uświadomiła sobie, że bardzo mało wie o swoim przyszłym mężu.

- Barrie? Pilot Zacharias jest tak uprzejmy, że poświęca nam swój wolny czas i swoim prywatnym wozem zawiezie nas do hotelu. Pilocie Zachariasie, oto moja narzeczona, panna Barrie Lovejoy.

Barrie uśmiechnęła się miło i uściśnęła silną dłoń pilota Zachariasia. Młody człowiek aż palił się do tego, żeby być użyteczny. Otworzył szybko bagażnik, a kiedy Zane sięgnął po walizkę, niemal wyrwał mu ją z ręki.

- Sir! Pan pozwoli, że ja się tym zajmę.

Zane z coraz większym rozbawieniem spoglądał na krzątającego się młodego pilota.

- Jestem już w cywilu, chłopcze, i wystąpiłem z Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych...

- Ale nadal jest pan bratem generała. I...

Młody człowiek zamilkł, a potem wyrzucił z siebie to, co frapowało go najbardziej:

- Sir! Pan naprawdę był w SEAL-u?

- Zgadza się.

- No, nie...

Pilot Zacharias aż westchnął i bardzo szeroko otworzył drzwi swego chevroleta. Zane i Barrie z ulgą wsiedli do przestronnego

wozu ze wspaniałą klimatyzacją. Na dworze żar lał się z nieba, a tu po prostu było chłodno. Ruszyli i wkrótce okazało się, że młody pilot zna Las Vegas jak własną kieszeń. I doskonale wiedział, jak jechać i unikać głównych ulic. Dlatego zatoczył wielkie koło i wjechał w Paradise Road, na północ od lotniska. Przez całą drogę zabawiał swoich pasażerów bardzo miłą rozmową, taką jak trzeba, o pogodzie, ruchu ulicznym i turystach.

Niebawem dojechali do hotelu. Barrie czekała cierpliwie u boku Zane'a, kiedy pan w recepcji wprowadzał ich dane do komputera. Nie miała pojęcia, że zjawili się tam jako państwo Glen i Alice Tempie. I zignorowała znaczący uśmiezek recepcjonisty, który na bank był przekonany, że ma do czynienia z kolejną parą kochanków, którzy w Las Vegas urządzili sobie schadzkę. I bardzo dobrze, niech tak sobie myśli, cymbał jeden, przynajmniej nie będzie się nimi interesować.

W windzie nie byli sami. Barrie więc skrupulatnie trzymała język za zębami, tak samo jak wtedy, kiedy szli do swego apartamentu. Apartament okazał się tak samo luksusowy, jak apartamenty w znanych jej hotelach europejskich. Nawet bardzo luksusowy, a ona jeszcze kilka godzin temu denerwowała się, czy jego stać będzie na taki właśnie hotel.

Odczekała, aż boy hotelowy, zachwycony napiwkami, zniknie za drzwiami. Wtedy wyprostowała się, skrzyżowała ręce na piersiach i zmierzyła Zane'a wzrokiem:

- Koniki?- - spytała słodko. - Rodzinny biznes? A braciszek generałem Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych?

- No tak - mruknął Zane, zajęty odpinaniem futerału z bronią. - Tak się złożyło.

- Czyli ja po prostu wcale ciebie nie znam!

Złożył na stoliku broń i futerał, potem rozpiął swoją torbę i wyjął z niej garnitur.

- Nie, Barrie. Ty mnie znasz, nie znasz tylko wszystkich szczegółów o mojej rodzinie, ale nie mieliśmy jeszcze czasu, żeby o tym pogadać. Nie mam zamiaru niczego przed tobą ukrywać. Odpowiem na każde twoje pytanie.

- Zane! Ale ja wcale nie muszę wszystkiego dokładnie

wiedzieć...

Zane zaczął rozpinać koszulę.

- Kochanie! Ale ja i tak obiecuję, że złożę ci dokładny raport. Ale nie teraz. Teraz leć pod prysznic, ja zajmuję drugą łazienkę. Potem bierzemy ślub, wracamy i wskakujemy do łóżka, a za... jakąś godzinkę będziemy mogli pogadać.

Barrie odruchowo spojrzała na łóżko, właściwie łoże o wymiarach królewskich.

- Sądzisz, że w tym hotelu jesteśmy całkowicie bezpieczni?- - spytała.

- Wystarczająco, aby skupić się na pewnych rzeczach.

- Aha.

Znów spojrzała na łóżko i wzięła oddech. Bardzo głęboki oddech.

- A może... może zmienić trochę kolejność? Łóżko, potem pogadamy, a ślub jutro rano?

Ręka Zane'a zawisła w powietrzu.

- Faktycznie. Ja nawet cię nie pocałowałem.

- No właśnie.

- Barrie... Nie! - Jego głos był teraz inny, lekko zachrypnięty, jakby bardzo wzruszony. - Barrie, nie pocałowałem cię, bo się bałem. Gdybym zaczął, żadna siła nie oderwałaby mnie od ciebie. A ja zdaję sobie sprawę, że między nami wszystko odbywa się na odwrót. Od samego początku. Kiedy zobaczyłem cię po raz pierwszy, byłaś naga. I już wtedy chciałem cię mieć. A teraz chcę... jak diabli. Ale nie pozbyliśmy się jeszcze kłopotów. Rozumiesz, gdyby mnie zabili... Dlatego chcę, żebyśmy wzięli ślub jak najprędzej. Nikt nie wie, co zdarzy się jutro, a ja chcę naszemu dziecku dać nazwisko... Mackenzie. Będziecie oboje mieli rodzinę, oparcie... rozumiesz, gdyby coś się stało...

Zielone oczy Barrie zaśniły od łez. Patrzyła na mężczyznę, którego już raz dosięgła kula z jej powodu. On ma rację. Ona go zna, nawet jeśli jeszcze nie wie, jaki jest jego ulubiony kolor, czy jakie ukończył szkoły. Ona wie już to, co najważniejsze. Jakim człowiekiem jest Zane Mackenzie. Dlatego tak gorąco go pokochała. I to nieważne, że on jest zatrzważająco opanowany i skryty, że jego czujne oczy zauważą wszystko i bardzo trudno będzie mu zrobić

jakaś miłą niespodziankę w dniu jego urodzin. Nie szkodzi, ona sobie z tym wszystkim poradzi.

On gotów jest oddać za nią życie. A ją niechaj stać będzie przynajmniej na szczerość. - Kocham cię, Zane.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Miał na sobie ciemnoszary garnitur, czarne buty i czarny kapelusz. Barrie była ubrana na biało. W długą sukienkę o prostej, klasycznej linii, bez rękawów i bez żadnych ozdób. Ciemnokasztanowe włosy zwinęła w węzeł i upięła z tyłu głowy. Wyglądało to nieco surowo, dlatego wyciągnęła kilka pasm włosów i pozwoliła im luźno opadać wokół twarzy. A w uszy wpięła kolczyki z malusieńkich perełek.

Szykowała się w łazience koło sypialni, Zane zajął łazienkę za salonikiem. Oboje gotowi byli uczynić ten ważny krok, dzięki któremu zostaną małżeństwem.

A przedtem, kiedy tak otwarcie wyznała swą miłość, po twarzy Zane'a przemknął wyraz wielkiego zadowolenia, takiej męskiej satysfakcji.

- Ja nie znam się na miłości - oświadczył tak spokojnie, że zapragnęła rzucić się na niego i porządnie nim potrząsnąć. - Ale nigdy jeszcze nie pragnąłem tak żadnej kobiety, jak ciebie. Wiem, że to małżeństwo będzie małżeństwem na zawsze. Będę opiekował się tobą i naszymi dziećmi. I co wieczór będę wracał do domu, do ciebie. Zrobię wszystko, żebyś była szczęśliwa.

Nie było to wyznanie miłości, niewątpliwie jednak była to deklaracja oddania się jej bez reszty. W oczach Barrie znów zalśniły łzy, w ciągu ostatnich dni pojawiające się tam bardzo często. Tym razem były to łzy szczęścia. O, tak. Jej pełen rezerwy wojownik kocha ją niewątpliwie, skoro aż do takiego stopnia pozwolił sobie uzewnętrznić swoje uczucia. Przez tyle lat nieustannie trzymał je na wodzy, w sytuacjach pełnych napięcia, nierzadko zagrażających życiu, których by nie przetrwał, gdyby zabrakło mu największego opanowania, precyzji myślenia i zdolności do błyskawicznego podejmowania decyzji. A miłość nie ma nic wspólnego ani z opanowaniem, ani z precyzją. Jest uczuciem, i to uczuciem nieprzewidywalnym, wobec którego człowiek staje się bezbronny. Dlatego Zane do tego uczucia podchodził z taką samą ostrożnością, z jaką podchodzi się do bomby.

- Nie płacz, Barrie. Przysięgam, że będę dobrym mężem.
- Wiem - odparła i wtedy to rozeszli się do oddzielnych łazienek, żeby przygotować się do ślubu.

Zamówili taksówkę i pojechali do jednej z mniejszych kaplic, gdzie uroczystość nie była celebrowana tak „taśmowo”, jak gdzie indziej. Zawarcie małżeństwa w Las Vegas nie wymagało specjalnego zachodu, ale Zane zadbał o pewną oprawę. Kupił dla Barrie bukiet kwiatów i podarował jej bransoletkę, złotą, podobną do łańcuszka, bardzo gustowną. Barrie nałożyła bransoletkę na prawą rękę, a kiedy razem z Zanem stanęli przed sędzią pokoju, ta bransoletka zaczęła palić ją jak ogień, bo nagle skojarzyła się jej z kajdankami. Zane ustawił się z lewej strony i wziął ją za rękę. Uścisk jego dłoni był niby delikatny, mimo to czuła, że uwolnić się z tego uścisku było raczej niemożliwe.

Z pozoru wszystko to wyglądało bardzo cywilizowanie, jednak Barrie od pierwszej chwili wyczuwała w nim tę męską, najpierwotniejszą żądzę posiadania. Posiadł już ją fizycznie, teraz czynił to w świetle prawa. Ona ponadto nosiła w łonie jego dziecko. Jego męska satysfakcja była bardziej niż wyczuwalna. I kiedy powtarzali słowa przysięgi, Barrie miała całkowitą pewność, że te więzy połączą ich na zawsze.

Zane miał w zanadru jeszcze jedną niespodziankę, zadbał bowiem o jeszcze jeden, jakże ważny symbol. Kiedy nadszedł odpowiedni moment, wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki dwie złote obrączki. Obrączka Barrie była trochę za duża. Kiedy Zane wsuwał ją na serdeczny palec Barrie, spojrzeli na siebie i obojgu przemknął po twarzy porozumiewawczy uśmiech. Dobrze, że ta obrączka była za duża, przecież niebawem palce przyszłej matki nie będą już takie szczupłe. Potem Barrie wsunęła drugą obrączkę na serdeczny palec jego lewej ręki i nagle ona poczuła w sobie coś bardzo pierwotnego. Po prostu dziką radość. Ze on tak naprawdę należy już do niej.

Złożyli podpisy na akcie małżeństwa, dokument został poświadczony, wszelkim formalnościom stało się zadość i można było wracać taksówką do hotelu.

- A teraz kolacja — oznajmił Zane, prowadząc Barrie do hotelowej restauracji. - W samolocie niczego nie tknęłaś, a według

czasu wschodniego jest dobrze po północy.

- Możemy zamówić do pokoju.

- Nie, Barrie, boję się, że wtedy na jedzenie nie będzie czasu...

Nie ręczę za siebie.

Jego spojrzenie było bardzo wymowne. Na pewno zależało mu, żeby się posiliła, ale trzeba było też przyznać, że potrafił uwodzić. I Barrie, naturalnie, natychmiast uświadomiła sobie, że tuż po kolacji wróci do apartamentu i będą się kochać, i ona zniknie pod tym ciężkim, wspaniałym męskim ciałem... i już teraz nie może się tego doczekać.

To, co pojawiło się przed nią na talerzu było zupełnie nieistotne. Ważne, że potrawa była lekka, łaskawa dla żołądka, skłonnygo teraz do mdłości. Piła tylko wodę. I nie poznawała siebie, bo jej prawie już oszalałe z tęsknoty ciało zmuszało ją do zachowań niedwuznacznych. Rzuciła Zane'owi uwodzicielskie spojrzenia, jej wzrok najczęściej spoczywał na jego wargach, nogi pod stołem wykonywały jakiś dziwny nerwowy taniec. A spojrzenie jej męża robiło się coraz cięższe, nie było w nim ani cienia chłodu, charakterystycznego dla oczu Zane'a Mackenziego.

- Kelner! - krzyknął nagle i kelner, pojmując w lot, poleciał po rachunek.

Zane naskrobał pośpiesznie swoje fikcyjne nazwisko i numer pokoju. Barrie podziwiała w duchu jego przytomność umysłu. Bo ona była zdolna myśleć tylko o jednym.

Drugi rozkaz skierowany był do niej.

- Idziemy!

Chwyił ją za łokieć i przefrunęła przez salę restauracyjną, w sekundę byli przy windzie.

Winda właśnie nadjechała, drzwi otworzyły się, wysiadło kilka osób. Zane wstawił Barrie do windy i choć widział, że kilka osób nadchodzi pośpiesznie, wszedł szybko do środka i nacisnął guzik. Winda cicho zamknęła drzwi i posłusznie ruszyła, a on odwrócił się do żony.

Patrzył na nią tak, jak głodny tygrys patrzy na świeże mięso, ale Barrie nie bała się oswojonych tygrysów, cofnęła się więc o krok i poinformowała dźwięcznym głosem:

- O! Już zaraz będziemy na naszym piętrze.

- Tak. Zaraz...

Podchodził do niej coraz bliżej... Barrie, naturalnie, nie miała szans na ucieczkę, ale przecież wcale nie miała zamiaru uciekać. Ona chciała tylko, aby jej mąż był doprowadzony do takiego samego szaleństwa, do jakiego ją doprowadzał. Oczywiście, że to się już stało. Jego silne ramię objęło jej kibić i uniosło ją w górę. Granitowe ciało przyparło ją do ściany...

Cichy dzwoneczek oznajmił, że winda ma zamiar zaraz się zatrzymać. Zane wymaszerował na korytarz, nie pozbywając się drogocennego ciężaru. Barrie objęła go za szyję, czując rozkoszny dreszcz za każdym razem, gdy jej rozpalone ciało wyczuwało ruch stalowych mięśni Zane'a. Nie dbała o to, czy ktoś mijał ich w korytarzu. Nareszcie była z Zanem. A tak długo nie było go przy niej... przecież była chora z tęsknoty. Ale teraz już był przy niej, a jego witalność wręcz go rozsadzała. I zaraz, jeszcze tylko chwila, i będą się kochać, on weźmie ją tak żarliwie jak wtedy...

Nagle poczuła, że stoi pod ścianą. Zane położył palec na ustach, nakazując milczenie, w jego drugim ręku zobaczyła pistolet. Wyciągnął kartę magnetyczną, otworzył drzwi. Nie, uchylił je tylko i bezszelestnie wsunął się do środka. A z Barrie całe pożądanie wyparowało w jednej sekundzie. Stała, wbita plecami w ścianę, zmartwiała z przerażenia. Oczy miała zamknięte, całą uwagę skupiła na tym, aby cokolwiek usłyszeć. Ale z apartamentu nie dochodził najmniejszy szelest. Cisza... Błogosławiona cisza... Przecież nawet najmniejszy szmer mógł oznaczać śmierć Zane'a. Boże, ona tego nie wytrzyma...

- Wszystko w porządku.

Powiedział to spokojnym, normalnym głosem.

I zanim zdążyła pomyśleć, znów była w jego ramionach.

- Przepraszam, wiem, że się przestraszyłaś - mrucał cicho w jej włosy, wnosząc ją do sypialni.

- Ale musiałem sprawdzić, nie wolno mi ciebie narażać.

Postawił ją na podłodze, a ona poczuła, że ogarnia ją furia.

- Mnie?! - krzyknęła. - Tylko mnie? A ciebie wolno narażać?- Zane! Czy zdajesz sobie sprawę, jak ja się boję o ciebie? Czy ty

myślisz, że ja nie widzę, jak ty mnie ciągle osłaniasz, jak ryzykujesz swoim życiem?

Na ramiona Zane'a posypał się grad uderzeń. Biła go zapamiętale. A ona przecież nigdy jeszcze nikogo nie uderzyła.

- Zane! Do diabła! Zrozum, że ja chcę cię mieć żywego! Chcę, żeby nasze dziecko miało ojca! I chcę mieć z tobą dużo dzieci! Ty musisz żyć! Słyszysz?

- Słyszę.

Chwytał obie jej rozszalałe pięści i przycisnął sobie do piersi.

- Barrie, przecież ja chcę tego samego. Ale zrozum, że muszę robić wszystko, żebyście oboje, ty i junior, byli bezpieczni.

No i furia znikła, ustępując tak samo szybko, jak się pojawiła. Teraz Barrie walczyła ze łzami, trapiąca nagłym poczuciem winy. Nigdy nie była skora do płaczu, ale burza hormonów, zapewne wywołana ciążą, zmieniła ją w prawdziwą bekse. Jednak nie chciała płakać przy mężu. On i tak obarczony był wielką odpowiedzialnością. Po co mu taka żona, co będzie za każdym razem wpadać w histerię, kiedy on po prostu pójdzie sprawdzić teren?

Jednak łzy były i w jej oczach, i w jej gardle, dlatego głos miała słabiotki i drżący, kiedy zapytała:

- A dlaczego... junior?

- Bo to na pewno będzie junior. Moja siostra Maris jest jedynym potomkiem płci żeńskiej, którego udało się spłodzić moim rodzicom, czyli starszym państwu Mackenzie. A młodsze pokolenie Mackenziech, jak na razie, naprodukowało tylko samych chłopaków.

Ułożył ją na łóżku. Niecierpliwa ręka sięgnęła do zamka jej sukni.

- Chcę, żebyś przedstawiła mnie juniorowi.

- Chwileczkę, wezmę tylko prysznic...

To był jej mąż, a mimo to Barrie czuła, że spali się ze wstydu, kiedy będzie ją rozbierał. Od tamtej strasznej chwili, kiedy porywacze obnażyli ją brutalnie, bała się swojej nagości. Mimo że po tych strasznych godzinach przeżyła w ruinach w Ben Ghazi chwile wielkiej namiętności i zapamiętała się w kochaniu... Mimo tego uraz pozostał.

Prysznic brała szybciotko i ubierała się w mig. Do przeszłości należały te rozkoszne chwile, kiedy po długiej kąpieli, nie śpiesząc się, dogadzała swojej skórze, nacierając ją pachnącym balsamem.

No i Zane ją rozbierał. Bo chciał mieć ją nagą. Sukienki już nie było, a skąpa, przyozdobiona koronkami bielizna minimalnie zakrywała ciało. Staniczek rozpinany był z przodu. Zane rozpiął go, miseczki rozsunęły się, ukazując wypukłości piersi. Barrie odruchowo skrzyżowała ramiona.

- Dalej syndrom czarnej koszuli?- - spytał cicho Zane.

Jakżeż on wtedy wszystko zauważył i zapamiętał, że trudno jej było rozstać się z czarną koszulą.

W sypialni było już mroczno. Zane zapalił lampkę i Barrie leżała w małym kręgu światła. Jej twarz była ukryta w cieniu.

Skinęła nieznacznie głową, potwierdzając to, co on już wiedział. I dlatego patrzył teraz na nią z wielką powagą.

- Barrie, nie możemy cofnąć tego, co się stało.

Jego ciepłe palce pogłaskały leciutko kawałeczek piersi, wyglądający z koronek.

- Ale możemy zostawić to za sobą, i iść do przodu. Przeszłość zachowuje się w pamięci. Ona zostaje w nas, wpływa na nas, i zmienia. Ja pamiętam do dziś twarz pierwszego człowieka, którego zabiłem. Nie żałuję tego, co zrobiłem. To było zwykłe ścierwo. Jego bomba zabiła dziewięć osób. To byli ludzie, którzy krótko przedtem przeszli na emeryturę i chcieli zrobić sobie przyjemność... Wybrali się na wycieczkę statkiem... A potem ten drań chciał zabić mnie, cholernie chciał mnie zabić. I jego twarzy nigdy nie zapomnę. Ale nie żałuję tego, co zrobiłem. To było słuszne, a ja stałem się przez to silniejszy. Uwierzyłem w siebie, uwierzyłem, że potrafię zrobić to, co należy. Potem zabiłem wielu innych, ale ich twarzy nie pamiętam, tylko tamtego, pierwszego. I jestem zadowolony, że wtedy zwyciężyłem.

Barrie, wpatrując się w jego surową twarz, pomyślała, że Zane, jak zwykle, ma rację. Ona też się zmieniła. Była w śmiertelnym niebezpieczeństwie, z którym przez tyle długich godzin musiała zmierzyć się sama. I to zmieniło ją na zawsze. Stała się silniejsza, bardziej przedsiębiorcza. Przecież zanim Zane zjawił się

niespodzianie w Wirginii, ona miała już gotowy plan, jak ocalić siebie i jeszcze nienarodzone dziecko. Zdecydowana była porzucić wygodne życie, do którego była przyzwyczajona, zdecydowana była wziąć los w swoje ręce.

Więc niby dlaczego ma się wstydzić swojej nagości przed swoim mężem?

Powoli podniosła rękę, pogłaskała równiutką kreskę blizny na jego kości policzkowej.

- A pan... dlaczego się nie rozbiera?

To był pomysł. Jej nagość zostanie zrównoważona jego nagością. I skrępowanie zniknie.

Brwi Zane'a powędrowały w górę.

- Wedle rozkazu.

Oczywiście, że wiedział, o co chodzi. A ona zafundowała sobie dodatkową przyjemność, patrząc, jak jej piękny mężczyzna wyluskuje się z ubrania. Najpierw z marynarki. Potem odpina futerał, ukryty pod ramieniem, i razem z zabójczą bronią układa na stoliku przy łóżku. Aby była w zasięgu ręki. A potem, na dywan, obok sukienki i marynarki, miękko opadła biała koszula.

Blizna na brzuchu była jeszcze świeża, czerwona i pomarszczona. I widać było wyraźnie ślad po cięciu skalpelem, kiedy to chirurg pokładowy starał się zatamować krwotok i uratować Zane'owi życie.

Barrie wyciągnęła rękę, jej palce delikatnie przesunęły się wzdłuż tej świeżej blizny. I pomyślała, jak łatwo w życiu jest stracić coś bardzo drogiego. Ona omal nie straciła Zane'a.

- Nie myśl o tym - powiedział cicho, chwytając ją za rękę. - To już nigdy się nie zdarzy.

- Zawsze może się zdarzyć.

- Nie. Nigdy już się nie zdarzy. - Musnął ustami jej palce.

I zajął się swoimi butami. Ściągnął jeden but i usłyszała jedno głuche uderzenie o podłogę. Potem drugie uderzenie, a na końcu szelest zdejmowanych spodni.

Przysiadł na łóżku nagi, pokryty tylko własną opaloną skórą. Chyba czuł się w niej bardzo swobodnie. A ta jego skóra była taka gładka, taka lśniąca... Palce Barrie natychmiast wypróbowały tę gładkość na jego ramionach, a potem na szerokiej piersi...

- Gotowa?

Nie odpowiedziała nic, tylko lekko poruszyła ramionami. Miseczki staniczka rozsunięły się na boki. To była jej odpowiedź. Zobaczyła, jak źrenice Zane'a rozszerzają się z podniecenia.

- Widzę już tu juniora - powiedział cicho, głaszcząc jej piersi. - Jesteś nadal taka szczupła, twój brzuch jest zupełnie płaski. Ale twoje piersi mówią prawdę. Są większe, sutki są ciemniejsze. I masz tu takie żyłki. Jak niebieskie rzeczki pod białym atłasem.

Pieścił jej piersi dłonią i językiem. Barrie aż mruzczała z przyjemności.

- Są takie wrażliwe? - pytał Zane.

- Tak. Czasami nie mogę wytrzymać w staniczku - wyznała zarumieniona.

I wtedy pocałował ją. Powoli i dogłębnie, a jego ręce ślizgały się po jej ciele, pozbawiając go i staniczka, i koronkowych fig.

- Dziś zrobimy wszystko, czego nie zrobiliśmy przedtem - szeptał.

- Nie musimy niczym się martwić, nie musimy być czujni, ani uważać, żeby nie narobić hałasu. I czasu mamy mnóstwo. I ja ciebie całą zjem, ty mały zielonooki rudzielcu!

Powiedział to tak... tak jakoś żarłocznie. A ona, zamiast zadrzeć ze strachu, oplotła rękoma jego szyję, pragnąc już, natychmiast poczuć na sobie jego ciężar, ale jej wybieg nie zdał się na nic, bo Zane miał inną koncepcję. Chwytał jej ręce, ułożył nad głową, tak, jak to ona zrobiła z jego rękoma wtedy, w Ben Ghazi. I delectował się nią. Powolutku, z rozmysłem. Pieścił jej piersi, póki nie krzyknęła, póki nie poprosiła, aby przestał. Potem prosiła, żeby nie przestawał, niech robi tak dalej. Więc dalej dręczył jej piersi, potem brzuch, a potem jego pieszczoty były coraz śmielsze, coraz bardziej wyrafinowane. A Barrie na moment zdziwiła się w duchu. Jak mogła przypuszczać, że ten mężczyzna weźmie ją w sposób żarliwy i nieskomplikowany...

Potem nadeszła chwila najcudowniejsza, najbardziej wyczekiwana, kiedy ich ciała zespoliły się w jedno. Palce nieprzytomnej z rozkoszy Barrie wpiły się w plecy Zane'a, jej biodra się uniosły, a z jej gardła wydobył się jęk...

Kiedy już wróciła na ziemię, na krótko zmorzył ją sen. Obudziła

się i zobaczyła, że Zane leżał wyciągnięty na plecach, ona na nim, z twarzą wtuloną w jego szyję. Zane wyłączył lampkę i w pokoju zrobiło się ciemno, tylko przez szparę w zasłonach sączyło się kolorowe światło neonów Las Vegas. Te ciemne zasłony na moment obudziły przykre wspomnienie. Straszny pokój w Ben Ghazi, ból, samotność i ciemność... Nie, to przeszłość, która nie będzie nią rządzić. Teraz Zane jest jej mężem, a jej ciało, tak cudownie znużone, jest dowodem na to, że ich małżeństwo zostało skonsumowane bardzo ucziwicie.

- Zane?- - mruknęła, ziewając prosto w jego szyję. - Nie śpisz? - To opowiedz mi o swojej rodzinie.

- Teraz?

- A tak, teraz. Nie śpimy oboje, to możemy pogadać.

- Moglibyśmy zabawić się inaczej...

Barrie zachichotała.

- Tego nie wykluczam, ale trochę później. Teraz opowiadaj, bo jestem okropnie ciekawa.

- Dobra. A więc tak... Mój ojciec jest pół-Indianinem, a matka nauczycielką. Mieszkają w domu na wzgórzu, niedaleko Ruth w stanie Wyoming. Ojciec hoduje i układa konie. Jest w tym niezrównany. Ja nie widziałem nikogo, kto robiłby to lepiej. No, może tylko moja siostra, Maris. Ale ona, jeśli chodzi o konie, jest prawdziwą czarownicą.

- Czyli konie to rzeczywiście wasz rodzinny biznes.

- Zgadza się. My wszyscy wychowaliśmy się w siodle. Ale tylko Maris zajęła się tym zawodowo. Joe wstąpił do Akademii Wojskowej, latał na myśliwcach. Michael jest hodowcą bydła. A Josh też latał, jak Joe, ale w siłach Marynarki Wojennej. Ja i Chance ukończyliśmy Akademię Marynarki Wojennej. Też lataliśmy na samolotach różnego typu, ale w naszym przypadku było to potrzebne tylko po to, aby przemieścić się do miejsca docelowego, to wszystko. Chance był w wywiadzie marynarki, ale parę lat temu rzucił to.

Barrie miała bardzo dobrą pamięć do nazwisk. Przejrzała szybko w pamięci zakodowaną listę różnych nazwisk i jej senność znikła, jak ręką odjął.

- Zane! - krzyknęła, unosząc się na łokciu. - Czy twój brat to generał Joe Mackenzie z Naczelnego Dowództwa... z Pentagonu?

- Zgadza się.

- No to ja spotkałam kiedyś twojego brata, chyba rok temu, na imprezie charytatywnej w Waszyngtonie. Był z żoną, Caroline.

- Tak. Dobrze ich namierzyłaś - pochwalił ją Zane łaskawie. - Joe i Caroline mają pięciu synów. A Michael i Shea dwóch, Josh i Loren trzech. Nasz junior będzie jedenastym wnukiem Mary i Wolfa Mackenziech... - Jego ręce już zaczynały pieszczotliwy taniec na jej plecach.

- Resztę opowiesz mi później - szepnęła.

Zaśmiał się cicho, silne ręce zsunęły ją na białe prześcieradło, a słodki, niebywały ciężar już układał się na niej...

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Barrie obudził atak mdłości, bardzo silny i gwałtowny. Wyskoczyła

z łóżka i pognała jak szalona do łazienki. Wpadła tam w ostatniej chwili. Kiedy atak minął, osunęła się na podłogę i zamknęła oczy, niezdolna wykrzesać z siebie choć iskierek energii, aby przejąć się przynajmniej tym, że kompletnie naga siedzi skulona na zimnej podłodze. Albo tym, że jej superczujny mąż, naturalnie, wiedział już o jej przypadłości. Słyszała, jak odkręcał kran, moczył ręcznik, a potem ten cudownie chłodny ręcznik spoczął na jej rozpalonym czole.

- Zaraz wracam - uprzedził i wyszedł, a Barrie natychmiast poczuła się lepiej, jak zwykle, gdy jej organizm pozbył się nie milego sobie balastu.

Pozbierała się z podłogi, wypłukała wodą usta i zastygła przed lustrem, kontemplując swój rozczochrany wygląd. Zane zjawił się ze znajomą zieloną puszką, już otwartą. Barrie - można by powiedzieć, że zgodnie ze zwyczajem - wyrwała mu puszkę z ręki i wypila do dna. Jak jakiś nowicjusz z college'u, zapijający się piwem.

- Zane? Mam nadzieję, że nie musiałeś szukać w hotelu automatu?

- Nie. Mamy tu w saloniku barek, czymś tam zapełniony. Jest jeszcze jedna puszka. Przynieść ci?

- Nie...

Wzrok Barrie z lubością przesunął się po wspaniałym nagim ciele męża.

- Ja nie należę do kobiet, które tracą głowę po dwóch puszkach Seven-up, ale...

- Ale już po jednej!

Spodziewała się, że mąż, jak zawsze gotów do czynu, porwie ją na ręce i zanieśie do łóżka. Przeliczyła się, bo apetyt Zane'a był tak szalony, że domagał się zaspokojenia natychmiastowego. Barrie doznała więc kilku upojnych chwil na niewielkiej przestrzeni między wanną a kabiną prysznicy, po czym, znów bez sił, osunęła się na chłodną terakotę. Obok rozłożył się Zane.

- No, no - aż cmoknął z uznaniem. - Myślałem, że zabawimy się dopiero wtedy, jak wejdziemy pod prysznic. Ale nie doceniłem pocziwego Seven-up! Działanie piorunujące! Mnie wystarczył już sam widok, jak ty ciągniesz z tej zielonej puszkki.

Pocałował ją i poprzestał na pocałunku.

- Jak ze śniadaniem?- - spytał, podnosząc się z podłogi. - Zamawiamy do pokoju czy schodzimy do restauracji?

- Do pokoju.

Była potwornie głodna. Weźmie więc szybko prysznic, ubierze się, a śniadanie tymczasem zjawi się w saloniku. Przekazała Zane'owi, na co ma ochotę jej żołądek, potem on dzwonił, a ona przeglądała swoje stroje, zastanawiając się, cóż to dziś na siebie włożyć. Zdecydowała, że najlepsza będzie jedwabna sukienka, trochę wymięta, co prawda, ale nie szkodzi. Powiesi ją na chwilę w łazience i gorąca para wygładzi zagniecenia.

Długo stała pod prysznicem, rozkoszując się strugami ożywej wody. Niestety, na sukience kilka zagnieceń nadal było widocznych. Nie zakręciła więc wody, przeciwnie, nastawiła na najbardziej gorącą. Na kołeczku koło drzwi wisiał gruby welurowy szlafrok z logo hotelu wyszytym na kieszonce na piersiach. Barrie z lubością otuliła się w mięciutkie okrycie niebywałych rozmiarów i wyszła z łazienki, aby sprawdzić, czy długo jeszcze trzeba czekać na śniadanie.

Z saloniku dobiegał głos Zane'a. Aha, czyli obsługa hotelowa działa sprawnie i śniadanie już przyniesiono. Barrie przeszła przez sypialnię, uzmysławiając sobie nagle, że słyszy tylko jeden głos. I rzeczywiście. Kiedy wkroczyła do saloniku, był tam tylko jej mąż. Siedział na poręczy fotela, na wpół obrócony od niej i rozmawiał przez telefon. I było ewidentne, że jednocześnie nasłuchuje, czy woda leje się z prysznica, czy nie.

— Dobra, a więc pilnuj jej ojca, no i naturalnie tych, co pilnują jego - mówił Zane cicho do słuchawki. - Chcę ich zgarnąć wszystkich za jednym razem, a potem już niech wymiar sprawiedliwości zajmie się tym wszystkim.

Barrie czuła, że cała krew odpływa jej z twarzy. Jęknęła i twarz Zane'a natychmiast zwróciła się w jej stronę. Oczy straciły niebieskość, były tylko szare, zimne i kłujące jak lód.

- No, dobra - rzucił jeszcze do słuchawki, zanim ją odłożył. - Tutaj wszystko pod kontrolą. A ty trzymaj rękę na pulsie.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Włosy Zane'a były suche, czyli prysznic jeszcze nie brał. Kiedy ona znikła w łazience, on chwycił za słuchawkę i puścił maszynę w ruch. Złowrogą maszynę, która wtrąci jej ojca do więzienia. Barrie czuła, jak kolana uginają się pod nią, a w gardle robi się nieprawdopodobnie sucho.

- Zane, co ty zrobiłeś?- - szepnęła.

Wstał i spokojnie, bez pośpiechu, zaczął zbliżać się do niej.

Barrie cofnęła się o krok, zaciskając poły szlafroka. Jakby to one mogły ją obronić.

- A dlaczego ta woda tam tak leci? - spytał Zane, spoglądając w kierunku łazienki.

- Sukienka była wygnieciona - odparła sztywno. - To taki stary sposób... A ty... z kim rozmawiałeś?

- Z Chancem, moim bratem.

- Dlaczego mówiliście o moim ojcu?

- Chance pracuje w wywiadzie. Ale nie dla FBI ani dla CIA, tylko dla jednej z agencji rządowych.

- Od jak dawna twój brat śledzi mojego ojca?

- Chance nie robi tego osobiście, on tylko kieruje ludźmi.

- Bez różnicy. Od jak dawna to robi?

- Zaczął wczoraj wieczorem. Zadzwoiłem do niego, kiedy byłaś pod prysznicem.

Przynajmniej nie próbował kłamać ani kręcić.

- Zane, jak mogłeś coś takiego zrobić?

- Bez problemu - powiedział zimnym, ostrym głosem. - Nie zapominaj, że pracuję w wymiarze sprawiedliwości, a przedtem byłem w Marynarce Wojennej. Zawsze służyłem temu krajowi. I nie będę tolerował zdrady, nawet jeśli zamieszany jest w to twój ojciec. Prosiłaś, żebym chronił ciebie i nasze dziecko. I ja właśnie to robię. Jeśli chcesz zlikwidować gniazdo żmij, musisz wyłapać je wszystkie, co do jednej.

A Barrie czuła, jak krew pulsuje jej w skroniach, a świat dookoła staje się mniej wyraźny. Boże wielki, to niemożliwe, żeby ojciec miał iść do więzienia! Czy ona kiedykolwiek wybaczy to Zane'owi? Czy wybaczy sobie, że była wobec niego szczerą?- Powinna się była zastanowić, pomyśleć, jakiego rodzaju człowiekiem jest Zane. Była

głupia, bezdennie głupia.

W jej głowie szumiało coraz bardziej, słyszała jeszcze, jak przez mgłę, że Zane mówi coś do niej, domaga się czegoś. Nagle zobaczyła przed sobą jego ręce.

- Nie... nie dotykaj mnie...

Jej głos był taki słabiutki, że ledwo słyszała go sama.

- Akurat - burknął Zane. Wziął ją na ręce i złożył w pomiętej pościeli. I tak, jak poprzedniego wieczoru, przysiadł na brzegu łóżka. Nachylił się, jedną rękę oparł z drugiej strony Barrie. A ona, pod tym żywym mostem, szybko powróciła do przytomności. Pierwszą rzeczą, którą zobaczyła, były jego oczy, utkwione w jej twarzy.

Chciała naturalnie wpaść w straszliwy gniew, ale nie potrafiła. Rozumiała doskonale motywy Zane'a, rozumiała, dlaczego to zrobił, ale czuła okropny rozrywający ból. Jej ojciec... Nie, niezależnie od tego, jak bardzo kochała Zane'a, nie mogła znieść myśli, że jej ojciec może być aresztowany za takie ohydne przestępstwo. Ludzie karani są za różne przewinienia. Za kradzież, oszustwa, jazdę samochodem po pijanemu. Ale zdrada własnego kraju jest chyba najgorszą hańbą.

A fakty świadczą przeciwko ojcu. Bo dlaczego, mimo porwania i dalszego zagrożenia Barrie, nie zaalarmował ani CIA, ani FBK. Dlaczego nie domagał się zajęcia tą sprawą, przysłania jakichś agentów do ochrony córki- W Wirginii nie działo się nic, prócz tego, że i ojciec, i ona żyli w ciągłym strachu. W końcu Barrie odjechała z prawie obcym mężczyzną. Ojciec został sam, miotający się w jakiejś złowrogiej pajęczynie...

- Zane, błagam! Przecież to mój ojciec. Trzeba go jakoś ostrzec, pomóc mu, żeby wycofał się ze wszystkiego. Ja wiem, że nie ma powodu, abyś darzył go sympatią, ale ty przecież wcale go nie znasz. Zachował się wobec ciebie okropnie, ale sądził, że tak będzie lepiej dla mnie. On mnie bardzo kocha. Zane, on był zawsze najlepszym z ojców. A kiedy żegnałam się z nim, dał mi swoje błogosławieństwo... - Głos Barrie załamał się, z jej piersi wydobył się krótki, urywany szloch. Zdołała się jednak opanować. - Zane! Ja przecież znam mojego ojca najlepiej. Wiem, że jest snobem, ale to nie znaczy, że jest złym człowiekiem. Pomóż mu, Zane, błagam

cię...

Chwycił ją za rękę, schował jej szczupłą dłoń w swojej dużej, silnej dłoni.

- Nie, Barrie, najpierw trzeba wszystko wyjaśnić - powiedział swoim spokojnym, równym głosem. - I może się okazać, że twój ojciec niczego złego nie zrobił. Ale jeśli jest inaczej... - Wzruszył ramionami. Jakby potwierdzając, że w tej sytuacji nie będzie żadnej opcji. On nawet nie kiwnie palcem. - Nie uprzedzałem cię, że skontaktowałem się z Chancem, bo chciałem cię oszczędzić. Zdaję sobie sprawę, że będziesz bardzo cierpiała, jeśli twego ojca trzeba będzie aresztować. Dlatego nie chciałem, żebyś martwiła się na zapas. W ciągu ostatnich miesięcy miałaś wystarczająco dużo przykrych przeżyć. A dla mnie osobiście... Dla mnie priorytetem jesteś ty i dziecko. I nie zawaham się przed niczym, żeby zapewnić wam bezpieczeństwo.

Wpatrywała się w niego oczyma pełnymi łez, była bowiem świadoma, że natrafiła na mur nie do przebicia. Dla Zane'a honor nie był pustym słowem. Był sposobem na życie. Ale istniał jeszcze jeden sposób, żeby do niego dotrzeć.

- Zane? A gdyby to chodziło o twojego ojca?

Po ciemnej twarzy przemknął cień, a więc trafiła w czułe miejsce.

- Nie wiem - wyznał szczerze. - Mam nadzieję, że próbowałbym też robić to, co do mnie należy... Ale tak do końca nie wiem.

Koniec. Niczego więcej nie musiał jej wyjaśniać. Teraz Barrie miała już pewność. Musi działać sama. Tak. Ona sama ostrzeże ojca. I nie ma co marzyć, że uda jej się zadzwonić z telefonu w apartamencie. Zane do tego nie dopuści. Dlatego trzeba za wszelką cenę wymknąć się z hotelu.

Zsunęła się z łóżka. Zane nie zatrzymywał jej, choć przyglądał jej się uważnie, jakby bał się, że ona zemdleje albo znowu zwymiotuje. Albo uderzy go w twarz. Zważywszy na jej ciążę, każde z tych zachowań byłoby uzasadnione. Ale na każde z nich szkoda teraz czasu. Zaciągnęła szelnie poły wielkiego szlafroka, tak jak kiedyś otulała się w jego czarną koszulę.

- Powiedz mi, a co dokładnie robi twój brat? - Jeśli naprawdę zamierzała ojcu pomóc, musi zdobyć jak najwięcej informacji. Nie

wiedziała, czy robi dobrze, ale teraz nie chciała się nad tym zastanawiać. Z konsekwencjami zmierzy się później. Zdawała sobie sprawę, że nie działa rozsądnie, że idzie tylko za głosem serca. I stawia na zaufanie. A czy może być inaczej? Ona знаła ojca najlepiej, wiedziała, że nie wolno jej przestać wierzyć w jego uczciwość i poczucie honoru.

I niezależnie od tego, jakby się nie różnił od swego zięcia, którym wzgardził, łączyło ich jedno. Poczucie honoru. Wpisane na stałe do kodeksu postępowania.

Zane wstał z łóżka i wreszcie odpowiedział na jej pytanie.

- Co mój brat robi? Myślę, że tego nie musisz wiedzieć.

Po raz pierwszy poczuła, że wzbiera w niej gniew. Odwróciła się bez słowa, wróciła do łazienki i regularnym kopniakiem zatrzęsnęła za sobą drzwi. W łazience było już jak w saunie. Barrie zakręciła prysznic, włączyła wentylator i przystąpiła do oględzin sukienki. Wszystkie zagniecenia znikły. Zrzuciła szlafrok. Bieliznę, na szczęście, przyniosła wcześniej do łazienki. Ubrała się błyskawicznie. Wilgotny jedwab sukienki przylegał do ciała, obciągnęła tu i tam, ale to przecież nieważne. Szkoda czasu. Przetarła ręcznikiem zaparowane lustro, przejechała szczotką po włosach i zrobiła lekki makijaż. Musi przecież wyglądać jak najbardziej normalnie.

O, Boże! Ten wentylator jest głośny i ona może nie słyszeć, kiedy wjadą do pokoju z tym śniadaniem. Poza tym trzeba przypomnieć sobie, gdzie leży torebka, no i dotrzeć do niej tak, aby Zane tego nie spostrzegł. Zane miał słuch nadzwyczajny, teraz też na pewno nasłuchuje, co ona tu robi. Ale ta jego czujność ma wielki plus. Kiedy kelner wjedzie ze śniadaniem, Zane będzie obserwował każdy jego ruch. I to jest ten jedyny moment, kiedy będzie mogła wymknąć się niepostrzeżenie z apartamentu. Ale czasu ma niewiele. Kiedy kelner sobie pójdzie, Zane zaraz zacznie ją wołać, a potem zapuka do drzwi łazienki.

Nie ma sensu czekać na windę. Lepiej zbiec schodami. No tak, ale na dole może już czekać Zane, który właśnie skorzystał z windy...

Uchyliła drzwi, cichutko, łudząc się, że Zane nie usłyszy. Niestety.

- A co ty tam robisz?

Wyglądało na to, że Zane stoi w podwójnych drzwiach, łączących sypialnię z salonikiem.

- Makijaż - warknęła i nie mijając się z prawdą, otarła pot z czoła i od nowa zaczęła się pudrować.

Gniew minął, ale pomyślała, że lepiej, jeśli on będzie myślał, że ona jest wściekła. Do kobiety w ciąży i do tego wściekłej należy podchodzić bardzo ostrożnie.

Usłyszała ciche stukanie, niewątpliwie do drzwi, wiodących z saloniku na korytarz.

- Śniadanie dla państwa! - zawołał ktoś, wyraźnie z hiszpańskim akcentem.

Barrie błyskawicznie znów odkręciła wodę, żeby zagłuszała jej ruchy. Przez szparę w drzwiach widziała sypialnię, otwarte drzwi do saloniku, a w saloniku Zane'a podchodzącego do drzwi prowadzących na korytarz. Pod ramieniem Zane'a zauważyła znajomy futerał. No tak, szanowny małżonek zamierza się skupić teraz wyłącznie na kelnerze.

Wysunęła się z łazienki, nie podejmując ryzyka, aby zamknąć drzwi za sobą. Potem szybko przemknęła pod ścianą sypialni, żeby zniknąć z pola widzenia Zane'a. Cud prawdziwy - na krzeselku, tuż obok, leżała torebka. Chwyciła ją z ulgą, wsunęła stopy w pantofle i znieruchomiła, wsłuchując się w odgłosy dobiegające z saloniku.

Wózek zaturkotał, czyli kelner wjechał ze śniadaniem. Na pewno widok dwumetrowego faceta z pistoletem pod pachą podziałał na niego deprymująco. Głos kelnera był wyraźnie zdenerwowany, a to na pewno jeszcze bardziej wzmogło czujność Zane'a, który teraz niewątpliwie jak jastrząb śledził każdy ruch nieszczęśnika.

A więc nadeszła pora na wykonanie zadania. Barrie udało się bezszelestnie podejść do nieomkniętych, podwójnych drzwi. Ostrożnie spojrzała przez szparę i poczuła, jak jej kolana miękną, z tej wielkiej ulgi. Zane stał plecami do drzwi i obserwował kelnera. Czyli wybieg z wodą, lejącą się do umywalki, okazał się bardzo skuteczny. Zane, śledząc Barrie, zadowalał się tylko słuchem, wzrok zarezerwował dla kelnera.

Barrie nabrała głęboko powietrza i przystąpiła do operacji

najtrudniejszej. Cichusieńko, na palcach, przekroczyła przestrzeń widoczną z saloniku przez szparę w drzwiach. Jej serce dygotało ze strachu, bała się, że w którymś momencie poczuje na ramieniu ciężką dłoń. A jednak wszystko poszło dobrze i udało jej się dotrzeć do drzwi sypialni, wychodzących na korytarz. Podtrzymała łańcuch ręką, żeby nie zadzwieczał, kiedy będzie opuszczała go na dół. Potem przysunęła się jak najbliżej do drzwi i precyzyjnie, jakby otwierała kasę pancerną, przekreśliła gałkę zasuwki. Zasuwka pisnęła, ale cichutko, prawie niedostłyszalnie nawet dla Barrie. Potem objęła palcami dużą gałkę klamki, zamknęła oczy i pomodliła się do tej drugiej klamki, żeby była cichutko, bo inaczej Barrie będzie ugotowana. A poza tym trzeba było sekundę poczekać, bo korytarzem właśnie ktoś przechodził, rozmawiając głośno. I jeśli teraz uchyli drzwi, Zane natychmiast wyłapie zmianę w natężeniu dźwięków, dochodzących z korytarza.

Wydawało jej się, że przy tych drzwiach majstruje już co najmniej od dziesięciu minut, a to zapewne była tylko jedna. Z salonu nadal dobiegał szcęk naczyń rozstawianych przez kelnera. Głosy na korytarzu ucichły. Droga wolna.

Barrie przekreśliła gałkę, wysunęła się na korytarz i prawie umierając ze strachu, cichutko zamknęła za sobą drzwi. I pędem ruszyła do windy. Nikt nie wołał za nią, nikt nie gonił wielkimi susami. Dobiegła do windy i nacisnęła guzik. Światelko się zapaliło, i paliło się nadal, ale sekundy mijały, a ona nie słyszała upragnionego, cichutkiego szumu nadjeżdżającej windy. Więc znów zanosła błaganie:

- Kochana moja windo, proszę, bardzo proszę, pośpiesz się...

Usłyszała turkotanie wózka, a więc kelner wychodził z apartamentu... Jej serce biło jak oszalałe, oczy były wbite w drzwi windy, a usta nadal szeptały błagalne zaklęcia.

Nareszcie. Cichutki dzwoneczek i drzwi windy rozsunęły się. Jednocześnie usłyszała ryk Zane'a Mackenziego, sadzącego korytarzem jak wielki gepard. Błyskawicznie wsunęła się do windy, naciskając jednocześnie „ruszaj” i „zamknij drzwi”. I aż cofnęła się, widząc rękę Zane'a, próbującego zablokować drzwi. Winda jednak, zgodnie ze swym planem, drzwi zamknęła i ruszyła na dół. Barrie

jeszcze przez chwilę widziała pięść, walącą w przeszklone drzwi i słyszała dosadne przekleństwa.

Oparła się o ścianę, ukryła twarz w dłoniach. Boże, jaki on był wściekły! Jego oczy były jak dwa reflektory. Teraz na pewno gna jak szalony schodami w dół, ma jednak do pokonania dwadzieścia pięter. Ale jeśli ktoś już wcześniej ponaciskał guziki windy... Jeśli winda zatrzyma się choć raz, Zane dogoni ją na ulicy, a jeśli winda zatrzyma się dwa razy - dopadnie ją w holu. Jeśli trzy razy - będzie czekał na dole, przy drzwiach windy. Barrie stanie twarzą w twarz z prawdziwą furią. Trudno, nie może bać się Zane'a, bo przecież wcale nie ma zamiaru go opuszczać. Ostrzeże ojca i wróci do apartamentu. I nie lękała się, że Zane ją uderzy. Była pewna, że nigdy tego nie zrobi. Ale świadomość tego wcale nie odprężyła jej do końca. Bo mimo że jej nie zbije, i tak jej nie przebaczy, że ostrzegła ojca. I być może, na zawsze zaprzepaściła szansę, że Zane ją pokocha.

Z tą przykrą świadomością pokonywała drogę w dół. Winda nie zatrzymała się w drodze ani razu. W holu kręciło się parę osób. Barrie przemknęła do drzwi i wyszła na hałaśliwą ulicę. Natychmiast oślepiło ją słońce, prawie białe, jak na pustyni. Musiało być już ponad trzydzieści stopni, choć do południa daleko. Barrie wmieszała się w potok turystów, maszerujących żwawo mimo upału.

Doszła do skrzyżowania, przekroczyła jezdnię i szła dalej, nie mając odwagi obejrzeć się za siebie. Jej rude włosy łatwo można było dostrzec z daleka, nawet w tłumie, dlatego starała się iść między osobami wyższymi od siebie.

A Zane na pewno jest już w holu, szybko omiótł wzrokiem ludzi i te automaty z napojami, i wypadł na ulicę...

Przyspieszyła kroku i minawszy jeszcze kilka przecznic, zaczęła rozglądać się za jakąś budką telefoniczną. Odszukanie telefonu nie było problemem, gorzej było ze znalezieniem akurat wolnego. Bo było tak, jakby wszystkim turystom zachciało się dzwonić od samego rana. Barrie stała cierpliwie, gorące słońce paliło ją w tył głowy, kiedy starsza pani o niebieskawych włosach przekazywała komuś drobiazgową instrukcję, kiedy nakarmić jej ukochanego

kotka, kiedy rybki, a kiedy podlać kwiatki. W końcu zaszczebiotała „Pa, pa, kochanie!” i obdarzywszy Barrie przemiłym uśmiechem, poszła sobie. Barrie doskoczyła do telefonu jak żbik, bojąc się, że ktoś ją ubiegnie.

Wsunęła kartę, wystukała numer i zaczęła odliczać sekundy. Na wschodnim wybrzeżu była pora lunchu, ojciec mógł po prostu z kimś się umówić i wyjść z domu. A może pojechał na golf. Mógł być praktycznie wszędzie, tylko nie w domu. Próbowwała sobie przypomnieć, gdzie on ostatnio najczęściej bywał, ale z tym miała wielkie trudności. W ciągu ostatnich miesięcy jej stosunki z ojcem były tak napięte, że ona właściwie nie miała pojęcia, dokąd ojciec chodzi, z kim spotyka się towarzysko, a z kim w celach politycznych.

- Halo?

Głos ojca był tak ostrożny, że w pierwszej chwili nie poznała go.

- Halo? - powtórzył i zabrzmiało to jeszcze bardziej ostrożnie.

Barrie mocniej przycisnęła słuchawkę do ucha, próbując opanować drżenie rąk.

- Halo? Tatku, to ja! - zawołała.

- Barrie! Córeczko! Głos ojca ożywił się. I mogła sobie wyobrazić, jak pojaśniała teraz jego twarz., jak prostuje się za tym swoim biurkiem.

- Tatku, nie mogę długo mówić - powiedziała, starając się, aby jej głos brzmiał jasno i wyraźnie. Żeby ojciec od razu pojął, o co chodzi. - Tatku, musisz być bardzo ostrożny. Uważaj na siebie. Bo o wszystkim już wiadomo. Rozumiesz?- Słyszysz mnie dobrze?

W słuchawce na chwilę zapadła cisza, po czym ojciec odpowiedział opanowanym głosem:

- Dobrze, córeczko, rozumiem. A ty jesteś bezpieczna?

- Tak - odparła, choć nie była tego pewna. Niebawem miała stanąć twarzą w twarz ze swoim mężem, który będzie na nią wściekły... No tak, ale przecież z jego strony nie groziło jej żadne prawdziwe niebezpieczeństwo.

- Barrie, uważaj na siebie. Wkrótce odezwę się do ciebie.

- Pa, tatku - wyszeptwała, powiesiła słuchawkę na widelkach i ruszyła w drogę powrotną.

Zdażyła zrobić około dziesięciu kroków i poczuła na ramieniu silną dłoń, której teraz obawiała się najbardziej. Nie zauważyła, kiedy podszedł. Po prostu nie było go jeszcze przed ułamkiem sekundy. A teraz już był, jakby wynurzył się z tłumy, jak rekin z oceanu. I niezależnie od wszystkiego poczuła ulgę, że go widzi, że oszczędził jej męki oczekiwania, pewnie coraz większej w miarę zbliżania się do hotelu.

Tym niemniej był to szok, bo poczuła, że słabnie. Oparła się o niego, a on objął ją w pól.

- Nie wolno ci wychodzić na takie słońce bez nakrycia głowy - powiedział surowym tonem.

- Szczególnie wtedy, gdy jesteś na czczo.

Tylko tyle, ani słowa więcej. Był całkowicie opanowany, jego furia ochłodziła, już ją pokonał. Tak, pokonał. Bo nie była na tyle naiwna, aby przypuszczać, że znikła całkowicie. Po prostu wziął furię pod kontrolę. On to potrafi.

- Musiałam ostrzec ojca - wyznała zmęczonym głosem. - A nie chciałam dzwonić z hotelu.

- Rozumiem.

Niby rozumiał, a powiedział to takim tonem, jakby zaklął. I szybko dowiedziała się dlaczego.

- A może i szkoda, że nie zadzwoniłaś z hotelu, bo tak się składa, że dziś rano do Las Vegas przybyła dość dziwna grupka ludzi, no i mogli ciebie namierzyć. Te twoje włosy. Rude zawsze rzucają się w oczy. Te prawdziwie rude, bo jest ich tak niewiele. I Barrie nagle poczuła się winna, że natura obdarzyła ją włosami właśnie tego feralnego koloru.

Ale przede wszystkim ogarnęło ją przerażenie.

- Zane? - szepnęła. - Oni są tutaj? Porywacze?

- Na pewno nie tamci z Ben Ghazi. Inni. Tu toczy się niezła gra, mała, i obawiam się, że to wszystko kręci się wokół ciebie.

Słońce prażyło niemiłosiernie, upał rósł z minuty na minutę. Każdy następny krok wymagał od Barrie coraz większego wysiłku. A w jej głowie kołatała się jedna myśl. Że są teraz na ulicy, i może ona przez tę swoją głupią ucieczkę z hotelu naraża teraz i Zane'a, i siebie na niebezpieczeństwo...

- I może tak właśnie jest - dokończyła swą myśl na głos. - Jestem rozpieszczoną, nierozsądną damulką. Mam więcej tych swoich rudych włosów na głowie niż rozumu. Ale ja naprawdę nie chciałam...

- Wiem - przerwał Zane i, o dziwo, jakoś tak mocniej przygarnął ją do siebie. - Ale ja wcale nie twierdzę, że masz więcej włosów niż rozumu. Za to twierdzę, że masz prawdziwy talent, żeby wymykać się po angielsku. Mało komu udałooby się zwać mi sprzed nosa z tego hotelu. Chyba tylko Spooky dałby radę. No i może Chance. Nikt więcej.

Wrócili do hotelu, na swoje dwudzieste piętro. Na stole w saloniku czekało śniadanie. Zane zamknął starannie drzwi na zamek i popchnął lekko Barrie w kierunku stołu.

- Jedz! - rozkazał. - Musisz zjeść przynajmniej tosta z dżemem. I koniecznie pij dużo wody.

Sam przysiadł na oparciu fotela i sięgnął po telefon. Barrie usiadła za stołem i posłusznie sięgnęła po tosta. Dokładnie posmarowała go dżemem. Jadła powolutku, przeżuając dokładnie, żeby nie zdenerwować swojego żołądka. I popijała metodycznie wodą. Tymczasem Zane zaczął rozmowę przez telefon, o dziwo, nie wyczyniając żadnych numerów, żeby Barrie niczego nie słyszała. A ona natychmiast zorientowała się, że Zane rozmawia ze swoim bratem, Chancem.

- Jeśli już ją namierzyli, to mamy jakieś pół godziny - mówił Zane. - Powiedz wszystkim, żeby byli w stanie gotowości. A ty zachowaj dystans. Cześć!

- A dlaczego dystans? - spytała Barrie z buzią pełną tosta.

- Chance ma zwyczaj pakować się tam, gdzie nie musi. I już nieraz się sparzył.

- Ale ty taki nie jesteś?

- Nie. Może tylko... czasami... sporadycznie.

Był spokojny. Jeszcze spokojniejszy niż zwykle.

Ale to była cisza przed burzą. Barrie otarła usta serwetką.

- W porządku. Czuję się już lepiej. A teraz powiedz, co się dzieje.

- Chance mówi, że dzieje się dużo. I musimy po prostu czekać.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Zane liczył, że będą czekać może pół godziny albo i dłużej. A telefon zadzwonił o wiele wcześniej.

- Roger?- - rzucił Zane do słuchawki i prawie natychmiast ją odłożył. – Barrie? Oni właśnie wchodzą. Musisz przejść na inne piętro.

Chwycił ją za rękę, zmusił, aby poderwała się z krzesła. Spojrzał przelotnie na jej twarz, pobladłą, stężałą. Poczwała na brzuchu ciepłą, silną dłoń.

- Musisz, Barrie.

Tak, tak trzeba. Ze względu na dziecko zmusi te swoje zeszywniałe ze strachu nogi, aby przeniosły ją w bezpieczne miejsce.

Przykryła dłoń Zane'a swoją dłonią.

- Tak, już idę, Zane. Ale nie sądzisz, że powinnam mieć ze sobą broń?

Zawahał się chwilę, potem przeszedł szybko do sypialni, gdzie stała jego torba. I wrócił z pistoletem.

- To kompakt, pięciopistoletowy. Umiesz się z nim obchodzić?

Barrie wzięła pistolet, wyczuła pod palcami gładkość drewna.

- Gdzieś tam kiedyś strzelałam, co prawda nie z pistoletu, ale poradzę sobie.

Udzielił jej jeszcze kilku wskazówek, potem znów chwycił za rękę i pociągnął za sobą na korytarz. Przebiegli parę kroków, Zane otworzył drzwi na klatkę schodową i ruszył do góry, popychając Barrie przed sobą.

- Zaprowadzę cię do pokoju na trzydziestym drugim piętrze. Masz tam czekać, dopóki nie przyjdę ja albo Chance. Jeśli ktoś inny otworzy drzwi, nie wahaj się. Strzelaj.

- Ale ja nie wiem, jak wygląda Chance!

- Czarne włosy, oczy jasnobrązowe. Wysoki i bardzo przystojny. Taki przystojny, że na jego widok kobiety po prostu tracą oddech. Zatyka je...

Natomiast Barrie zatkało, kiedy doszli do trzydziestego drugiego piętra. A Zane nie był nawet lekko zdyszany.

- A skąd wiesz, które pokoje są puste? - spytała Barrie, kiedy szybko przemierzali korytarz wysłany miękką wykładziną.

- Wczoraj wieczorem jeden z ludzi Chance'a wynajął ten pokój na swoje nazwisko. Podczas kolacji niepostrzeżenie wsunął mi do

ręki kartę magnetyczną do zamka.

Zatrzymał się przed pokojem numer 2334, otworzył drzwi, zajrzał do środka.

- Wchodź, Barrie, szybko.

Barrie weszła, Zane został na korytarzu.

- Zamknij starannie drzwi, załóż łańcuch. I siedź tu cicho.

Odwrócił się, szybkim krokiem doszedł do klatki schodowej. Barrie, stojąc w progu, patrzyła za nim. Zatrzymał się.

- Barrie! Nie słyszę, żebyś zamykała drzwi.

Cofnęła się szybko. Przekreśliła zamek, założyła łańcuch i wolnym krokiem ruszyła przez ładny, schludny pokój. Zatrzymała się dokładnie na samym środku. Znieruchomiała. Stała w ciszy, złowrogiej, przejmującej, czując, że tam, w środku, rozsypuje się na tysiąc kawałków.

Ona tego wszystkiego dłużej nie wytrzyma. Zane poszedł, znów pakuje się w niebezpieczną sytuację, i to z jej powodu. A ona nie może iść razem z nim, to znaczy za nim, wpatrzona w jego szerokie plecy. Ona musi być osobno. Ze względu na dziecko, które nosi w swoim łonie, została odesłana w bezpieczne miejsce. A mężczyzna, którego kocha, właśnie wystawia się na kule.

Usiadła na podłodze, objęła rękoma brzuch i kiwała się w przód i w tył. Po jej policzkach spływały łzy. Nigdy jeszcze nie odczuwała tak strasznego lęku, jak teraz, kiedy bała się o Zane'a. Ten lęk był nieporównywalny z tym, co odczuwała, kiedy znalazła się w rękach porywaczy. Bała się jeszcze bardziej niż wtedy, gdy go postrzelili. Bo wtedy była przynajmniej razem z nim. I kiedy zaszła potrzeba, mogła mu pomóc. A teraz nic nie może zrobić... Teraz musi tylko czekać, sama...

Nagle rozległ się huk. Drgnęła. Spojrzała w okno.

Niebo było jasne, bez żadnej chmurki. To nie burza. Pochyliła głowę, oparła czoło o kolana, jej plecy drżały od płaczu.

Strzały?- Tak, strzały, jeden za drugim. Głośne, a niektóre ciche, przytłumione. Znów huk, przerwa, i następne, szybko następujące jeden po drugim. I cisza.

Zebrała się w sobie i zdołała przemieścić swoje trzęsące się ciało

do kąta za łóżkiem. Jak najdalej od drzwi. Usiadła pod ścianą, podciągnęła nogi i objęła je rękoma. W dłoniach trzymała pistolet wycelowany w drzwi. Oprócz Zane'a i Chance'a nikt nie wiedział, że ona tu jest. Ale to nie było żadną gwarancją...

Czas włókł się w nieskończoność, a ona nie miała przy sobie zegarka. Małe radio z zegarkiem, ustawione na stoliczku przy łóżku, było odwrócone do niej tyłem, ale nie potrafiła podnieść się teraz z podłogi i zobaczyć, która godzina. Po prostu siedziała... i to z pistoletem w ręku.

Czekała. I umierała. Z każdą kolejną minutą, jaka upływała od chwili odejścia Zane'a, czuła się coraz bardziej martwa. Rozpacz ścieła jej płuca lodem, miała wrażenie, że te płuca już prawie nie pracują. Serce też już chyba stanęło.

Zane...

Nie wraca. Na pewno go postrzelili. Znowu jest ranny. Jej umysł nie był w stanie pomyśleć, że mogłoby się stać coś gorszego. Ale to straszne słowo załęgło się w sercu: Śmierć... Śmieć Zane'a.

Ktoś cicho zapukał.

- Barrie?

Głos jakiegoś mężczyzny... głos znajomy.

- Barrie! To ja, Art Sandefer. Już po wszystkim, Mack aresztowany. Możesz wyjść.

Przecież tylko Zane i Chance wiedzieli, gdzie ona jest... Zane powiedział, że jeśli przyjdzie ktoś inny, Barrie ma strzelać. Ale ona Arta Sandefera zna od lat, szanuje go, jego samego i jego pracę... To przecież szef agencji CIA w Grecji...

Klamka poruszyła się.

- Barrie!

Uniosła się nieznacznie z podłogi, już gotowa biec do drzwi, otwierać...

Nie! Z powrotem osunęła się na ziemię. To nie jest Zane. I to nie jest Chance. I jeśli ona... jeśli ona straciła już Zane'a, to przynajmniej może zrobić jedno. Zastosować się do jego instrukcji. Ściśle. On miał na względzie jej bezpieczeństwo. I ufała mu, jak nikomu innemu na świecie, bardziej niż własnemu ojcu. A już na pewno ufała mu bardziej niż Artowi Sandeferowi.

Na ten dźwięk nie była przygotowana. Jakby ktoś zakasłał. I zamek w drzwiach eksplodował. Art pchnął drzwi i wszedł do środka. W rękę miał pistolet z grubym tłumikiem. Patrzył na Barrie, ona też patrzyła na niego przez całą długość ładnego, schludnego pokoju. Oczy Sandefera były znużone, ale jak zawsze bardzo inteligentne.

Barrie wiedziała już, co ma zrobić. Pociągnęła za cyngiel.

Zane wpadł do pokoju po kilku minutach... Ależ nie! Już po kilku sekundach! Art leżał na podłodze, tuż przy drzwiach. Jedna ręka przyciśnięta do krwawej plamy na piersi, oczy szkliste, nieprzytomne z bólu. W drugiej ręce, wyciągniętej nienaturalnie, ciągle tkwiła broń. Zane kopnął tę rękę, broń wypadła z niej i teraz leżała na podłodze dość daleko od Arta. Więcej uwagi rannemu mężczyźnie nie poświęcił. Przeształ przez jego ciało i rzucił się do najbardziej odległego rogu pokoju. Do Barrie.

Siedziała skulona, jej twarz była ściągnięta, poszarzała. Zane poczuł, że ogarnia go panika, ale zaraz potem odczuł wielką ulgę. Nie, nigdzie nie było widać śladów krwi, a więc Barrie nie jest ranna.

- Kochanie...

Przykucnął, delikatnie odgarnął jej włosy z czoła.

- Barrie, już po wszystkim, naprawdę. Powiedz, co z tobą? Wszystko w porządku?

Nie odezwała się. Tylko spojrzała, ale jakoś tak króciutko... Jej oczy były dziwnie dalekie i rozbiegane.

Usiadł obok niej i przyciągnął ją do siebie. Czuł, że jej serce bije przerażająco powoli. Objął ją więc jeszcze mocniej, ukrył twarz w gęstwinie rudych włosów i szeptał jej, wyszeptywał całą litanię najczulszych słów, kojących, dodających otuchy.

- Co z nią? - zawołał Chance, przestępując przez ciało Sandefera. Za Chance weszło kilku mężczyzn i pochyliło się nad ciałem Sandefera.

Wśród nich Mack Prewett, który ponurym wzrokiem wpatrywał się w swego byłego szefa.

- Będzie dobrze. Ona go tylko postrzeliła.

Bracia spojrzeli na siebie porozumiewawczo. Każdemu trudno zmierzyć się z tym pierwszym razem, kiedy celuje się do człowieka.

Sandefer na pewno przeżyje, zajmą się nim świetni lekarze. Ale Barrie już na zawsze pozostanie świadomość, że ona jest takim człowiekiem, który potrafi pociągnąć za cyngiel i strzelić do drugiego człowieka.

- Skąd on wiedział, który to pokój? - spytał Zane.

Chance przysiadł na brzegu łóżka i pochylił się, opierając łokcie na kolanach.

- Przeciek - powiedział krótko. - Jeden z moich ludzi, nawet wiem, kto. Zajmę się tym.

Nagle Barrie poruszyła się, a jej ręce kurczowo objęły szyję Zane'a.

- Zane... ale ty... - Jej głos był słabutki, ledwo dosłyszalny, zamierający od straszliwego niepokoju.

Zane przymknął oczy, czując, że robią się niebezpiecznie wilgotne. Boże wielki, przecież on przed chwilą przeżywał to samo.

- Nie, nic mi się nie stało - szepnął. - Ale tak bardzo bałem się o ciebie. Zobaczyłem z daleka, jak ten drań tu wchodzi, potem usłyszałem strzał... - Drżał cały z ogromnego wzruszenia. - Ja bardzo chcę tego dziecka. - Jego duża dłoń zasłoniła prawie cały brzuch Barrie. - Ale teraz myślałem tylko o tobie... Gdybym cię stracił...

- Dziecko? - spytał Chance.

Barrie, z twarzą ukrytą na piersi męża, skwapliwie skinęła głową, a Zane, głosem jeszcze zachrypniętym ze wzruszenia, przedstawił ich sobie.

- Barrie, to Chance, mój brat. Chance, to Barrie, moja żona.

Barrie, nie odwracając głowy, wyciągnęła rękę, Chance uściśnął ją lekko, po czym pieczołowicie ułożył z powrotem wokół szyi Zane'a.

- Miło mi poznać cię, Barrie - powiedział. -I jestem zachwycony, że będziecie mieli dziecko. Nasza matka przynajmniej na jakiś czas da mi trochę odetchnąć.

Tymczasem pokój zapełnił się ludźmi. Zjawiła się ochrona hotelu, policja, lekarz i agenci z FBI. Ludzie Chance'a znikli, wtopili się w cień, tam, gdzie było ich miejsce i gdzie pracowało im się najlepiej.

Na brzegu łóżka, obok Chance'a, przysiadł Mack Prewett i zatroskanym wzrokiem popatrywał na Barrie, prawie niewidoczną w objęciach Zane'a.

- Jak ona się czuje? - spytał.
- Dobrze - odparła Barrie.
- Art jest w stanie krytycznym, ale może się z tego wyliże. Jeśli nie, to sporo kłopotów będziemy mieć z głowy - stwierdził zjadliwie.

Barrie zadrzała.

- Barrie, nikomu do głowy by nie przyszło, że ty na tym ucierpisz - ciągnął Mack. - Kiedy zacząłem podejrzewać, że Sandefer pogrywa na różne strony, poprosiłem twego ojca, żeby pomógł mi go usadzić. Twój ojciec się zgodził. Byłem zadowolony, William, jako ambasador, był osobą jak najbardziej wiarygodną. Zna mnóstwo ludzi i ma dostęp do wielu informacji. Art rzucił się na przynętę jak głodny karp. To była delikatna gra, ale jego apetyt rósł, w końcu zażądał czegoś, czego nie mogliśmy mu dać. Ambasador odmówił, no to oni porwali ciebie. Twój ojciec omal się wtedy nie wykończył.

- A więc ci dranie wiedzieli, że my jedziemy do Ben Ghazi - rzucił ostrym głosem Zane.

- Tak. I jedyne, co mogłem wtedy zrobić, to przekłamać datę. Podałem trochę późniejszą.

- A ja... ja nie mogę jeszcze uwierzyć - odezwała się nagle Barrie, odrywając głowę od piersi Zane'a. - Art Sandefer... Ale zrozumiałam to natychmiast, kiedy spojrzałam w jego oczy...

- Art chciał ciebie, Barrie, chciał mieć cię na własność. Twój ojciec miał cię mu oddać... na zawsze. Był pewien, że już dostatecznie wciągnął twego ojca w swoje brudne sprawy i trzyma go w szachu. I wtedy zażądał ciebie.

Barrie zadrzała i znów wtuliła twarz w pierś męża. Czyli wszystko było już jasne. Ten ktoś, kto zlecił porwanie i miał przybyć do Ben Ghazi następnego dnia, to Art Sandefer. Art nigdy by już nie wypuścił jej ze swych rąk. Przecież mogłaby go zadenuncjować. Na pewno faszerowaliby ją narkotykami. Ale najprawdopodobniej Sandefer zgwałciłby ją, potem trzymał dla siebie jeszcze jakiś czas. I zabił. A ojciec...

Nagle dotarło do niej, jak ważna jest jeszcze jedna informacja, którą Mack przekazał przed chwilą.

- Ale mój ojciec jest czysty, prawda?
- Oczywiście, Barrie. Powiedziałem przecież, że pracowaliśmy razem. Jego lojalności nigdy nie można było kwestionować.

- Dzwoniłam dziś do niego.

Mack skrzywił się lekko.

- No cóż... Twój ojciec poczuł ulgę, że kochasz go nadal. Ale my mieliśmy niezły problem, kiedy tak nagle wyrwałaś się dziś z tego hotelu. Zapanowała lekka konsternacja, bo przecież myślałem, że mamy wszystko pod kontrolą.

- Ale jakim sposobem?

- A dzięki mnie - oświadczył Chance.

I Barrie po raz pierwszy spojrzała na swego szwagra uważniej. Musiała przyznać, że pochlebne słowa Zane'a nie miały się z prawdą. Nie widziała jeszcze nigdy tak zniewalająco przystojnego mężczyzny. Choć dla niej, naturalnie, najpiękniejsza na świecie była surowa, pokiereszowana twarz Zane'a.

- Byłem cały czas na miejscu - wyjaśnił Chance. - Zainstalowałem się w innym hotelu, jako Zane Mackenzie. A Art wiedział, że jesteś z Zanem, jego ludzie dojrzeni was przecież w tym wypożyczonym samochodzie, jak jechaliście na lotnisko. Dojrzeni numery, sprawdzili w wypożyczalni, kto brał wóz. Potem śledzili płatności kartą Zane'a Mackenziego. Jednym słowem, wiedzieli, że jesteście w Las Vegas. Do tego momentu Art był bardzo ostrożny, ale kiedy dowiedział się o ślubie, nie zdierżył i zjawił się w Las Vegas. Jego ludzie zasadzili się naturalnie koło hotelu, w którym byłem ja. Pech chciał, że ta nieszczęsna budka telefoniczna jest dokładnie na przeciwko. Ludzie Arta namierzili cię od razu, tak samo widzieli dokładnie, do którego hotelu wróciliście z Zanem.

Tymczasem lekarz przygotował Sandefera do transportu do szpitala. Rannego wyniesiono na noszach. Nikt i nic nie tarasowało już przejścia.

- Panowie...

Zane wstał, nie wypuszczając z objęć Barrie.

- Proszę wybaczyć, ale teraz chciałbym zająć się moją żoną.

Przede wszystkim należało poszukać pokoju, ponieważ apartament przedstawiał prawdziwy krajobraz po bitwie, a to nie był widok dla

roztrzęsionej Barrie.

Taki pokój wkrótce się znalazł. Zane ułożył Barrie na łóżku, rozebrał ją i po chwili, już też nagi, położył się obok i natychmiast ich ciała splotły się ze sobą. Oboje tego potrzebowali, tego najbliższego kontaktu. Obejmowali się jak najmocniej, chłonęli zapach swojej skóry, ogrzewali się nawzajem.

- Kocham cię, Barrie - szeptał Zane, gniotąc jej zębra w żelaznym uścisku. - Ale jestem już całkiem wykończony. Gdyby jeszcze coś kiedyś miało ci zagrażać, ja tego nie przeżyję. Mam nadzieję, że nasze wspólne życie będzie cudownie nudne...

EPILOG

- Bliźniaki! To szok! - powiedziała Barrie, nie kryjąc, że oszołomienie z powodu tej rewelacji wcale nie minęło. - Chłopcy! I to dwóch!

Zane wjechał na drogę, wijącą się po zboczach wzgórz Mackenzie, zwanego Wzgórzem Spełnionych Nadziei.

- Mówiłem, że tak będzie - powiedział, rzucając znaczące spojrzenie na brzuch małżonki, stanowczo zbyt wydatny jak na piąty miesiąc ciąży. - Na pewno rodzaj męski.

- Ale nie mówileś, że ten męski rodzaj będzie zjawiać się parami.

- Fakt. I to będą pierwsze bliźniaki w naszej rodzinie.

I urodzą się tu, w stanie Wyoming. Dwuletnia kadencja szeryfa Mackenziego dobiegła końca, szeryf odmówił startowania w następnych wyborach i wraz z rodziną opuścił Arizoneę. Wrócił do stanu Wyoming i osiedlił się blisko rodzinnego domu.

Przez te dwa lata Chance nie dawał Zane'owi spokoju, namawiając go nieustannie, aby wstąpił do jego - jak to sam określał - organizacji. Barrie nie miała pojęcia, o jaką tu organizację chodzi. W każdym razie, po dwóch latach Zane ustąpił. Pod warunkiem, że nie będzie pracował w terenie. Nie chciał narażać swego życia, skoro miał Barrie i małą Nick, poza tym następnego potomka w drodze. A nawet dwóch, co okazało się dzisiaj. Chance i tak był bardzo zadowolony. Zane miał niesamowity dryg do planowania i przewidywania tego, co najbardziej nieprzewidywalne, i ten dryg będzie można świetnie wykorzystać.

W Dzień Niepodległości na wzgórzu Mackenziech, czyli na Wzgórzu Spełnionych Nadziei, zjeżdżała się cała rodzina. Zane z rodziną przyjechał dwa dni wcześniej. Czwartego lipca było następnego dnia, dziś, trzeciego, Barrie miała wyznaczoną wizytę kontrolną i Zane zawiózł ją do miasta, do lekarza. Zważywszy objętość talii, mogła spodziewać się jakiejś rewelacji. Zane podejrzewał, że Barrie po prostu jest dłużej w ciąży, niż myśleli. A kiedy zobaczyli na ekranie monitora dwa płody, oboje byli w szoku. Nie ulegało jednak wątpliwości, że są tam dwie główki, cztery rączki i cztery nóżki. I że są to na pewno chłopcy.

- A ja nawet nie mam żadnego pomysłu na imiona - oświadczyła smętnie Barrie.

- Nie martw się, mamy na to jeszcze całe cztery miesiące.

- Cztery! Też coś! Nie wyobrażaj sobie, że będę ich dźwigać jeszcze przez cztery miesiące! Nick była o wiele mniejsza. A ja i tak długo się zastanawiałam, zanim zdecydowałam się na drugą ciążę. Ale to miało być jedno dziecko, nie dwoje. Och, Zane! A jeśli oni obaj będą tacy sami jak Nick?

To będzie tragedia, pomyślał Zane. Nick była małym diablątkiem,

zanosiło się na to, że jeszcze rok i cała rodzina przez nią osiwieje. Ta mała osóbką, z bardzo jeszcze ograniczonym zasobem słów, potrafiła w sekundę postawić cały dom na nogi.

Dojeżdżali już na szczyt wzgórza. Przed wielkim rozłożystym domem stało już kilka samochodów. Zane dojrzał ciężarówkę Wolfa, kombi Mike'a i Shei, obok wynajęty wóz Josha i Loren oraz motocykl Chance'a. Joe z Caroline i piątką chuliganów przylecieli helikopterem. O, tak, chłopaków było tu w bród. Od najmłodszego syna Josha, lat pięć, po najstarszego syna Joego, który uczył się już w college'u i przyjechał ze swoją aktualną dziewczyną. A teraz do tego gangu dołączy jeszcze dwóch rzezimieszków.

Wysiedli z samochodu, Zane objął żonę ramieniem i państwo Mackenzie dostojnym krokiem weszli po schodkach na werandę. Barrie należała do kobiet, które w błogosławionym stanie emanują wprost zmysłowością. Nic dziwnego więc, że Zane skłonił głowę i usta małżonków złączyły się w żarliwym pocałunku.

- Ejże, bracie! Wystarczy! - krzyknął wesoło Josh, wyglądając na werandę. - Buzi, buzi, a potem biedna dziewczyna podwaja swoją wagę!

- To nie od „buzi, buzi” - odkrzyknął Zane i obaj bracia wybuchnęli wesołym śmiechem.

Telewizor był włączony. Maris, Josh i Chance oglądali transmisję z zawodów hippicznych, wydając z siebie na przemian okrzyki aprobaty i rozczarowania. Wolf i Joe dyskutowali żywo z Michaelem o hodowli bydła, ambasador i Caroline spierali się w kwestii natury politycznej. Mary i Shea, otoczone wianuszkami rozbrzykanych młodszych dzieci, usiłowały przekazać im zasady jakiejś nowej, wspaniałej zabawy.

Tylko Loren, oaza spokoju wśród pełnych temperamentu Mackenziech, jak zwykle siedziała prościutko, z miłym uśmiechem na twarzy.

- No i jak tam? - spytała, spoglądając znacząco na brzuch Barrie.

- Bliźniaki - oznajmiła Barrie, a w jej oczach, skierowanych na Zane'a, pojawił się rodzaj wyrzutu. - Kochany, może ty im powiesz, co jest tego przyczyną?

W wielkim pokoju zapadła cisza, jakby makiem zasiał. Wszystkie głowy obróciły się w jedną stronę, ku przyszłej matce. Twarz ambasadora - stroskana, twarz Mary - jaśniejąca.

Zanim ktokolwiek zapytał, Zane podał dodatkową, istotną informację:

- Będą dwa chłopaki.

Przez pokój przebiegł cichy szmer, bardzo łatwy do rozszyfrowania. Wielkiej, wprost przeogromnej ulgi, którą Josh wyraził słowami:

- Chwała Panu Bogu! Bo co by to było, gdybyśmy mieli jeszcze dwa takie stworzonka jak Nick?

Nick! Głowa Barrie zaczęła obracać się we wszystkie strony.

- Gdzie ona jest?

Chance, rozwalony na kanapie, natychmiast usiadł prosto. Wszyscy dorośli zaczęli bacznie się rozglądać, z narastającą paniką w oczach.

- Przed chwilą tu jeszcze była – poinformował Chance. - Chodziła po pokoju i ciągnęła za sobą but ojca.

Nie było chwili do stracenia. Barrie i Zane natychmiast ruszyli na poszukiwanie córeczki.

- A kiedy to było? - wołała Barrie, już z daleka.

- Jakies dwie minuty temu! Nie dłużej - odkrzyknęła Maris, sprawdzająca na czworakach stan faktyczny pod kanapą. - Kiedy zajeżdżaliście przed dom!

Barrie aż jęknęła. W ciągu dwóch minut czarnowłose diablątko z buzią aniołka potrafiło zręcznymi łapkami zrujnować co najmniej połowę domu.

- Nick! Mary Nicole! - wołała błagalnym tonem. - Wyjdz! Ukaż się, gdziekolwiek jesteś!

Wołanie Barrie czasami skutkowało. Ale najczęściej - nie.

Do poszukiwań włączyła się cała rodzina, niestety, słodkie dzieciątko przepadło bez śladu.

Kiedy Nick przyszła na świat, cała rodzina nie posiadała się z zachwytu i wszyscy, konsekwentnie, bezwstydnie ją rozpieszczali. Nawet rozhukani bracia stryjeczni zafascynowani byli filigranowym najmłodszym potomkiem rodu Mackenziech. Wyglądała jak Pebble

ze starych kreskówek o Flinstonach. Po ojcu odziedziczyła ciemne włoski i lekko skośne, niebieskie oczy, w jej wydaniu słodkie i niewinne. Tak samo jak cudne dołeczki po obu stronach różowych usteczek. Nick miała cztery miesiące, kiedy usiadła, sześć, kiedy zaczęła raczkować. W wieku ośmiu miesięcy stanęła na własnych nogach, i w tej samej chwili cała rodzina postawiona została w stan największej gotowości, który trwał do dziś...

Długi but z cholewami, należący do Wolfa, znaleziono pod serwantką, w której na najwyższej półce ustawiona była ukochana kolekcja porcelanowych aniołków Mary. Na ścianie obok widniały podejrzane smugi. Zane wydedukował, że jego mały skarb próbował sprowadzić aniołki na ziemię, celując w serwantkę rzeczonym butem. Ale but okazał się zbyt ciężki dla małej rączki. Na szczęście.

Po ojcu Nick odziedziczyła również upór, niewyczerpane siły witalne oraz zdolność planowania swoich przedsięwzięć. I w wieku zaledwie dwóch lat tę ostatnią cechę potrafiła wykorzystać znakomicie. Kiedyś Alex, drugi z kolei syn Joego, zauważył w rękach małej, ni mniej ni więcej, tylko nóż. Odebrał go natychmiast. Nick dostała napadu strasznej złości, której kres, niestety, mógł położyć tylko klaps, wymierzony ojcowską ręką. Potem Nick płakała długo i gorzko, a wszystkim, naturalnie, ścisnęły się serca. Nick płakała rzadko, z reguły tylko wtedy, kiedy w sytuacji ostatecznej wymierzone zostały jej kary, to znaczy klaps albo zakaz ruszania się z krzeselka przez jakiś czas. I tym razem więc łzy lały się strumieniami, a kiedy szloch ucichł, Nick, rzucając groźne spojrzenia na Alexa, posunęła do mamy. Mama, jak to mama, przytuliła i pocałowała. Potem Nick na chwilę oparła się o ojcowskie kolana, na znak, że mu jednak wybaczają - i udała się do kuchni.

Zane widział wszystko przez otwarte drzwi. Nick elegancko poprosiła babcię Mary, żeby dała jej coś do picia. I Mary wręczyła jej jedną z zielonych, plastikowych butelek z łagodnym napojem bez kofeiny, kupowanym specjalnie dla małej Nick. Był to, naturalnie, Seven-up, napój tak miły sercu jej rodziców. Nick zwykle nosiła butelkę ze sobą, co pewien czas z wielkim skupieniem odkręcając zakrętkę i wypijając kilka łyków. Ten proces trwał zwykle kilka

godzin.

Ale tym razem Nick nie pozwoliła babci poluzować zakrętki. Z butelką w objęciach wymaszerowała z kuchni, po czym dyskretnie przystanąła pod ścianą koło drzwi i parę razy mocno potrząsnęła butelką. W końcu z rozkosznym uśmiechem podeszła do Alexa i poprosiła:

- Proszę, otwóś. - I profilaktycznie cofnęła się o kilka kroków.

- Nie! - krzyknął Zane, zrywając się z krzesła, naturalnie o ułamek sekundy za późno.

Alex zdążył już otworzyć butelkę i teraz prychał i kichał, zlany napojem Seven-up niemal od stóp do głów. A Nick klaskała w rączki i śmiała się radośnie. On w końcu też ryknął śmiechem, a Nick się upiekło, w myśl zasady, że nie wolno karać za czyny, które doprowadziły ciebie niemal do łez, oczywiście ze śmiechu.

Teraz Zane, przypomniawszy sobie historyjkę z Seven-up, próbował znęcić Nick za pomocą innego, również lubianego przez nią napoju.

- Nick! Może chcesz pić? Tatuś kupił Popsicle!

Odpowiedzi żadnej, tylko od strony werandy dobiegł go tupot czyichś młodych, rączych nóg.

- Wujku! Wujku! - wołał od drzwi Sam, lat dziesięć, drugi z kolei syn Josha i Loren. - Ona jest na dachu.

Pierwszy wybiegł Zane, za nim, naturalnie nieco wolniej, Barrie, obejmując rękoma ogromny brzuch. W mgnieniu oka cała rodzina, pobladła z przerażenia, wyległa na podwórze.

Nick była na górze. Na szczycie dachu siedziała ze skrzyżowanymi nóżkami, jak maciupeńka Indianka. I powitała wszystkich radosnym:

- Ahoj!

Barrie czuła, że już osuwa się na ziemię, ale uniemożliwiło to szczipłutkie, lecz pełne determinacji ramię teściowej.

Odkrycie sposobu, w jaki Nick dostała się na dach, nie nastęczało żadnych trudności. O ścianę domu oparta była drabina, a Nick odznaczała się przecież, między innymi, nieprawdopodobną zwinnością.

A Zane mógłby przysiąc, że kiedy podjeżdżał pod dom, tej drabiny

tam nie było. Teraz, w każdym razie, zaczął wchodzić po niej, i choć jego oczy, utkwione w dziecku, płonęły, ruchy jego były spokojne, aby, broń Boże, nie przestraszyć małej.

Twarzyczka Nick spochmurniała.

- Nie! - pisnęła. - Tata nie!

Wstała i zobaczył jej stopki kilkanaście centymetrów od krawędzi dachu.

Zane zastygł bez ruchu. Nick nie ma ochoty zejść, ona na tym dachu czuje się tak samo bezpiecznie, jak w swoim łóżeczku.

Z dołu dobiegł go zduszony szept Barrie:

- Zane...

Nick zrobiła jeden krokczek i pogroziła ojcu paluszkami.

- Tata nie. Tata na dół.

Tak. Tata na dół. Bo niezależnie od tego, jakby nie był szybki na tej przeklętej drabinie, i tak nie zdąży.

- Chance! - warknął.

Chance tylko czekał na sygnał. Śliczny, ukochany wujek Chance, nie śpiesząc się, zbliżył się do ściany domu, uniósł głowę i uśmiechnął się serdecznie do malutkiej akrobatki. W zamian obdarzony został jeszcze bardziej rozkosznym uśmiechem.

- Ujek Dance*?! Ujek, ujek – zaszczebiotała Nick.

- Ach, ty mały antychryście! - odparł aksamitnym głosem Chance. - Zaczynam tęsknić za chwilą, kiedy będę mógł zamknąć cię za kratkami! Będziesz miała wtedy sześć lat!

** Dance (ang.) - taniec.*

- Dlaczego wujek tak ją nazywa? - zaprotestował płaczliwym głosem Benjy, najmłodszy syn Josha. - Ona nazywa się Nick!

- Ujek Dance! - pisnęła jeszcze raz Nick i rozłożywszy rączki, zaczęła wykonywać płaś na cześć wujka, który kojarzył jej się z tańcem. Kroczek w tył i wspięcie się na paluszki. Kroczek w przód...

Wujek podjął wyzwanie. Też rozłożył ręce

- Ślicznie to robisz, skarbie! Skocz do wujka! Potańczymy razem! No, skocz!

Jeszcze raz pokazała w uśmiechu małe, bielutkie ząbki i skoczyła. Prosto w ramiona wujka. Wujek przytulił, po czym natychmiast

oddał to roztańczone stworzenie rozdygotanemu ojcu. Do Zane'a doskoczyła Barrie i cała rodzina złączyła się w pełnym szczęścia uścisku.

- Joe! - rozległ się dźwięczny głos Caroline.

- Wybaczam ci ostatecznie, że nie dałeś rady zostać ojcem córki.

Kolejny głos był ponury i złowieszczy. Głos Josha.

- Sam?- Ciekaw jestem, skąd wzięła się tu ta drabina?

Sam spojrział na swoje buty. Joe i Mike, z marsowym obliczem, zaczęli rozglądać się za własnym przychówkiem.

- Który z was, do diabła, wpadł na pomysł, żeby włączyć na dach?! - ryknął Mike. I cała siódemka chłopców wbiła wzrok w ziemię, niezdolna spojrzeć swoim ojcom w twarz.

Josh chwycił za drabinę, której miejsce było w szopie, i rzucił krótki rozkaz:

- Marsz!

Ruszył pierwszy do szopy, za nim powlokła się dwójka młodzieniaszków, aby z pokorą przyjąć zapłatę za swój czyn. Mały Benjy, obejmując kurczowo nogi matki, patrzył z przerażeniem na swoich starszych braci. Mike w milczeniu wskazał chłopcom szopę. Ruszyli powoli, z ociąganiem. Joe uniósł tylko brew i trójka jego najmłodszych przyłączyła do smutnego pochodu.

Za młodzieżą ruszyła trójka wysokich, barczystych mężczyzn.

- Mama place? - pytała ze współczuciem Nick, głaszcząc Barrie po policzku. - Tata bzytki.

- Jasne, że brzydki - przytaknął Zane. - Wysmaruje ci pupę klejem i przykleję cię do krzeselka. Na amen.

Barrie, z oczyma jeszcze pełnymi łez, roześmiała się głośno.

- Wszyscy marzyli o dziewczynce, no to i macie dziewczynkę!

- O tak, jesteśmy bardzo szczęśliwi - powiedział Wolf, wyciągając ręce po ukochaną wnusię. — Gdyby jeszcze tylko Chance...

- Nie ma mowy! - zaprotestował z ogniem „ujek Dance”. - Z taką prośbą zwróć się do Maris. Ja nie mam najmniejszego zamiaru bawić się w ojca!

Mary uśmiechnęła się słodko.

- Pożyjemy, zobaczymy, syneczku!